

OPINIE KRYTYCZNE

pismo lewicy

Od Redaktora

Seweryn Żurawicki: O markowskiej teorii rozwoju

Wiesław Mysiek: Na drodze do państwa wyznaniowego

Adam Łopatka: Prawa człowieka

Stefan Stakos: Powrót cenzury?

Zdrisław Marsoc: Którędy droga

Roman Broszkiewicz: Rok 1993 - Lewica

Henryk Chołaj: Z okazji 500 lecia spotkania dwóch światów

O KSIĄŻKACH

J. Ładosz: Dlaczego rozpadł się socjalizm

S. Dziabała: W poszukiwaniu socjalistycznej alternatywy

W. Zastawny: Wokół Polskiego wariantu

DOKUMENTY: Warszawskie Porozumienie Lewicy

Z ŻYCIA LEWICY

SPIS TREŚCI

Od Redaktora	1
Sewryn Żurawicki: Czy marksowska teoria rozwoju społecznego jest aktualna?	3
Wiesław Mysłək: Na drodze do państwa wyznaniowego	27
Adam Łopatka: Prawa człowieka - jakie dla kogo?	43
Stefan Stakos: Powrót cenzury?	53
Zdzisław Marzec: Którędy droga?	58
Roman Broszkiewicz: Rok 1993 - Lewica	69
Henryk Chołaj: Z okazji 500 lecia spotkania dwóch światów	72

O KSIĄŻKACH

Jarosław Ładosz: Dlaczego rozpadł się socjalizm	78
Stefan Dziabała: W poszukiwaniu socjalistycznej alternatywy	95
Właysław Zastawny: Wokół "Polskiego wariantu"	102

DOKUMENTY

Warszawskie Porozumienie Lewicy	108
---------------------------------	-----

Z ŻYCIA LEWICY 115

LISTY DO REDAKCJI 116

OD REDAKTORA

Oddajemy do coraz szerszego grona naszych Czytelników kolejny, 4. numer pisma. Jest to możliwe jedynie dzięki Wam, dzięki Waszemu zainteresowaniu, pismo wydajemy bowiem, jak pisaliśmy w 1. numerze, siłami społecznymi, bez zaplecza finansowego. Jedynie sprzedanie poprzedniego numeru umożliwia przygotowanie kolejnego.

Staraliśmy się również być wierni zasadzie wyrażonej w 1. numerze - pisaliśmy wówczas: *"Nie chcemy nikogo agitować, przekonywać ani zwalczać - sytuacja jest bowiem zbyt skomplikowana, by bez narażenia się na śmieszność, agitować dzisiaj za "jedynie słusznym" stanowiskiem czy poglądem."* Stąd znaleźć można na naszych łamach publikacje wyrażające różne poglądy, od bliskich socjaldemokracji do komunistycznych. Jesteśmy otwarci na wszystkie opcje lewicowe i chcielibyśmy, by pismo nasze było forum wymiany poglądów, dyskusji i ideowych sporów. Czy nam się to udaje - osądźcie sami drodzy Czytelnicy i zwróćcie się swymi uwagami z redakcją.

W numerze bieżącym, Seweryn Żurawicki w artykule zatytułowanym *"Czy marksowska teoria rozwoju jest aktualna?"* przeciwstawia się modnemu ostatnio traktowaniu marksizmu jako teorii przestarzałej lub, co gorsza, antyhumanistycznej, odpowiedzialnej za wypaczenia i klęskę socjalizmu. Autor przeprowadza porównanie marksowskiej teorii rozwoju społecznego z współczesnymi kierunkami w socjologii i ekonomii, wykazując, że nauki te stają bezradne wobec nowych problemów społecznych.

Wiesław Mysłek w publikacji zatytułowanej *"Na drodze do państwa wyznaniowego"* analizuje tendencję do podporządkowania funkcji państwa Kościołowi. Na konkretnych przykładach wskazuje na rosnącą ekspansję kościoła rzymsko-katolickiego w życie publiczne i państwowe. Odwołuje się do doświadczeń okresu międzywojennego.

Interesujący, nie tylko dla prawników, jest artykuł Adama Łopatki pt. *"Prawa człowieka - jakie dla kogo?"* Przedstawia on w nim genezę praw i wolności obywatelskich, zasady ich działania w świecie, postęp w wprowadzaniu niektórych praw we współczesnej Polsce, jak i zarysowujący się regres na obszarze innych praw wynikający z propozycji zmian konstytucyjnych i zgłoszonych do Sejmu projektów niektórych ustaw. Podobny temat podejmuje Stefan Stakos w publikacji, której tytuł - *"Powrót cenzury?"* - wyjaśnia jej zawartość.

Zdzisław Marzec w wypowiedzi zatytułowanej *"Którędy droga"* ocenia rolę tzw. skrzydła reformatorskiego w PZPR i przestrzega przed kontynuowaniem na lewicy tradycji tej, jak ją określa, kapitulanckiej linii. Jednocześnie zarysowuje

zasady, którymi kierować się powinna współczesna lewica, by sprostać wyzwaniom współczesności.

Zastępca przewodniczącego Rady Krajowej Ruchu Ludzi Pracy - Roman Broszkiewicz w artykule *Rok 1993 - Lewica* uważa, że 1993 rok będzie rokiem przełomowym i na tym tle wyraża obawy, czy polska lewica jest dostatecznie przygotowana do tej sytuacji.

Inny rodzaj spraw podejmuje Henryk Chołaj, krytycznie ocenia on rozprawę F.Engelsa *"Pochodzenie rodziny, własności prywatnej i państwa"*, w której to pracy Engels za L.H.Morganem traktował odkryte ludy amerykańskie za barbarzyńskie. Jest to fragment większej całości poświęconej 500 leciu odkrycia Ameryki.

W dziale *O książkach* prezentujemy wnikliwą recenzję Jarosława Ładosza poszukiwanej książki Jacka Tittenbruna *"Upadek socjalizmu realnego w Polsce"*. Nie jest to tylko typowa recenzja oceniająca książkę, ale głębsza wypowiedź na temat dyskusji o przyczynach klęski realnego socjalizmu w Europie. W tym samym dziale Stefan Dziabala recenzuje wydaną przez Ossolineum Księgę Pamiętkową poświęconą nie żyjącemu już, wybitnemu socjologowi i publicyście politycznemu - Julianowi Hochfeldowi. Autor skupił się głównie na rozprawie W.Brusa, który prognozuje, że jedynie szwedzki model socjalizmu ma szansę urzeczywistnienia się. Władysław Zastawny zaś na kanwie opublikowanej nie dawno książki Andrzeja Wasilewskiego zatytułowanej *"Polski wariant Od AK do KC"* snuje rozważania o aktualnych zagrożeniach.

W dziale *Dołumenty* przedrukowujemy Oświadczenie i Deklarację Warszawskiego Porozumienia Lewicy.

Od tego numeru wprowadzamy nowy dział *Z życia lewicy*, w którym informować będziemy o tym co się dzieje w różnych, bardziej czy mniej sformalizowanych ugrupowaniach lewicowych w Warszawie. Niestety nie byliśmy w stanie, ze względu na cykl wydawniczy, ustosunkować się do II Kongresu SdRP, wrócimy do tego wydarzenia w następnym numerze.

Seweryn Żurawicki

CZY MARKSOWSKA TEORIA ROZWOJU SPOŁECZNEGO JEST AKTUALNA ?

1. Wstęp

Problemy stosunków międzyludzkich w takich czy innych gromadach przyciągały uwagę ludzką już w odległej starożytności. W miarę jak procesy cywilizacyjne i kulturowe zaczęły być poddawane coraz głębszej analizie, coraz częściej pojawiały się próby ontologicznego tłumaczenia tych zjawisk. Próby takie czyniono w starożytności nie tylko w Grecji, ale i w Indiach, Chinach czy w jeszcze innych ośrodkach, gdzie rodziły się kielki filozofowania. Jednak socjologia jako nauka zrodziła się późno, w europejskim kręgu cywilizacyjnym za ojca socjologii uchodzi August Comte - zapożyczający zresztą wiele myśli z wywodów (fizyki socjalnej) C.H. Saint-Simona.

Z chwilą pojawienia się usystematyzowanych rozważań nad zachowaniem człowieka w zbiorowiskach ludzkich, szybko poczęły narastać coraz to nowe problemy. Poczęto rozgraniczać byt indywidualny i byt społeczny człowieka, wyróżniać zbiorowości homogeniczne i heterogeniczne, cywilizację materialną i kulturę, zaczęto zastanawiać się nad rolą procesów technologicznych, nawyków, formą przekazywania wiedzy, nad tworzeniem się hierarchii wartości, tworzeniem się instytucji, wzajemnym przenikaniem się różnych kultur itd., itp.

Stwierdziwszy, że zbiorowiska ludzkie (Gemeinschaft) nie od razu przekształcały się w społeczeństwa, poczęto zadawać sobie pytanie, jak dokonywał się ten proces w czasie i przestrzeni, pojawił się problem świadomości społecznej, czym jest stawanie się i trwanie, w jakim stopniu przeszłość rzutuje na teraźniejszość i przyszłość, poczęto badać różne formy aktywności społecznej, zachowania zbiorowe itp. Na przestrzeni ostatnich stu kilkunastu lat socjologowie poczynili szereg badań empirycznych zarówno mikro jak makrostruktur społecznych. Mogłoby się wydawać, że współczesna socjologia może udzielić odpowiedzi na szereg żywotnych kwestii dotyczących aktualnych form perspektywy ludzkiego bytowania. Okazuje się jednak, że nauce tej nie udaje się jeszcze ciągle nakreślić syntetycznego obrazu mechanizmów poruszających współzycie ludzkiego gatunku.

ludzka nie znajduje odbicia w jakiejś powszechnej solidarności). Zadawalają się oni stwierdzeniem, że świat ludzki pozostaje rozdarty. Nie jest to znamię zresztą tylko socjologii, odczucie, że nasza cywilizacja ujawnia groźną kruchość czy wręcz dekadencję, przy jednoczesnym niebywałym wzroście sił wytwórczych, jest dość powszechne. Już Husserl wskazywał, że w wywodach eksponujemy dane a nie działania, co powoduje czysto pozytywistyczne traktowanie zjawisk, że zarówno bierny empiryzm czy abstrakcyjny racjonalizm trawia nadal współczesną socjologię, chociaż coraz częściej pojawiają się sprzeczwy, ale bez realnych skutków. Intencjonalność (termin użyty przez Husserla) Levinas określił jako akt nadawania sensu, świadomym scaleniem wyników empirii pod kątem celowości (poznajemy, by skutecznie działać a nie tylko by tłumaczyć - co tak silnie eksponował w swych wywodach jeszcze Marks!). Współcześni socjologowie, jeśli idzie o faktografię mogą odnotować niewątpliwie spore osiągnięcia. Precyzyjnie określają poszczególne grupy społeczne, kręgi kulturowe, jaka jest zawartość społeczności etnicznych czy terytorialnych, jaki bywa wpływ tradycji a jaki nowatorstwa, opisują procesy przemijania wzorców, zajmują się "rolami" społecznymi, układami hierarchicznymi a niektórzy nawet dokonują enumeracji konfliktów społecznych i opisują rozpad więzi społecznych. Niestety wszystkie te wysiłki nie dają pogłębionej odpowiedzi na pytanie dlaczego i w jakim kierunku zmierzają procesy przeobrażeń społecznych. W takim ujęciu współczesna socjologia spada właściwie do roli rzemiosła, niewątpliwie bardzo pożytecznego w ustalaniu faktografii, ale wiedzy obciążonej impotencją poznawczą a co za tym idzie mało przydatną w ukierunkowywaniu działań społecznych, w ich świadomym sterowaniu.

Czy w takiej sytuacji można przekreślać dorobek naukowy Karola Marksa?

Coraz częstsze są dziś głosy - chociaż nigdy ich nie brakowało - że marksovska koncepcja przebudowy społecznej jest błędna, utopijna i wręcz szkodliwa a co życie rzekome potwierdziło naocześnie kompromitacją "realnego socjalizmu". Trudno zaprzeczyć, że realny socjalizm był dzieckiem poronionym. Nie wynika stąd jednak, że dokonana przez Marksa analiza formacji kapitalistycznej była chybiona i że "in the long run" przeobrażenia typu socjalistycznego przestały być dziejową koniecznością. Grzebanie marksovskiej teorii rozwoju społecznego jest grubo przedwczesne a pomijanie jej walorów poznawczych wręcz szkodliwe dla zrozumienia i dalszego analizowania ro-

zwojowych trendów w historycznie formujących się strukturach społecznych.

Wprawdzie sam Marks wielokrotnie podkreślał, że najlepszym weryfikatorem każdej teorii jest praktyka, ale samo pojęcie praktyki jest nierozłącznie związane z czasokresem, który podporządkowujemy tej praktyce. W odróżnieniu od nauk przyrodniczych, w których możemy posługiwać się eksperymentem "hic et nunq", w dociekaniach nad rozwojem społecznym doświadczeń dostarcza wyłącznie historia, a ta nie zawsze bywa rychliwa. Jeśli budownictwo socjalizmu w ZSRR i w krajach satelickich na przestrzeni siedemdziesięciu kilku lat (co w historii jest ledwo mgnieniem) nie sprawdziło się i to w szczególnie skomplikowanych warunkach, to moc dowodliwa takiej praktyki nie przekreśla przesłanek teorii Marksa, lecz skłania raczej do dociekań, jakie przyczyny mogą spowodować takie czy inne dewiacje. Nawet w naukach przyrodniczych jeden nieudany eksperyment nie obala teorii a zmusza do tropienia popełnionych błędów i odpowiednich korekt czynników warunkujących dany eksperyment (dopiero wielokrotność nieudanych zabiegów obala teorię!).

Markowska teoria rozwoju, na podstawie historycznych faktów dowiodła, że formacja kapitalistyczna ongiś postępową w stosunku do poprzednich, jest również uwikłana w sprzeczności i jest tylko etapem w dalszych rozwojowych przemianach, że więc prędzej czy później musi ustąpić kolejnej, o innym układzie sił. Marks nie bawił się w futurologa, nie przesądzał, jak w szczegółach będzie wyglądać epoka postkapitalizmu, wskazywał tylko, od jakich sprzeczności przyszła formacja będzie musiała się oswobodzić w swych fazach rozwojowych. Nigdy też nie twierdził, że proces przemian dokonuje się linearnie, bez zakrętów, nawrotów, gładko, i bezboleśnie. W jakimś sensie nawiązywał w tym względzie do Hegla, który twierdził, że jeśli klasy panujące w danej formacji same nie rozumieją, że przeżyły swój wiek, zostaną nieuchronnie zmiecione przez rewolucję. Ataki więc na markowską teorię rozwoju społecznego przy pomocy argumentów o-partych na losach "realnego socjalizmu", biją mimo celu. Walory metodologiczne i epistemologiczne markowskiej teorii rozwoju nie zostały bynajmniej podważone, nikt bowiem jak dotąd nie wykazał, że stosunki kapitalistyczne są sprawiedliwe, że nie rodzą polaryzacji społecznej, kryzysów, wojen i ekologicznego zagrożenia. Co najwyżej apologetci kapitalizmu mogą zasadnie twierdzić, że na obecnym etapie "zły kapitalizm" jest lepszy od "realnego socjalizmu" i to nie pod wszystkimi względami, skoro coraz liczniejsze stają się głosy przeciw-

ko dehumanizacji stosunków międzyludzkich nawet w "kapitalizmie o ludzkim obliczu"

Nie wdając się w problemy onto i filogenezy rodzaju ludzkiego nie trudno zauważyć, że ludzkie działania noszą dziś w większości wypadków świadomy charakter i że ludzie współcześni w swych wolicjalnych działaniach szukają racjonalnego uzasadnienia w przeświadczeniu, że poprzez przypadki przebijają drogę jakieś prawidłowości, które trzeba uchwycić, by zdyskontować je dla własnych takich czy innych celów. Życie przyuczyło człowieka, że zaspokajanie własnych potrzeb i aspiracji wymaga społecznej synchronizacji albo walki. Może to być źródłem frustracji, konfliktów czy alienacji, ale jest nieuchronną rzeczywistością.

Współczesna myśl społeczna ma wielorakie oblicze, ale z grubsza rzecz biorąc zarysowują się w rozważaniach na temat "kondycji" ludzkiej i stosunków międzyludzkich dwa nurty: nurt pragmatyczno-utylitarny oraz nurt fideistyczny. Oba negocjują z reguły w zjawiskach społecznych jakieś uchwytne obiektywne prawidłowości. Pierwsi hołdując płytkiej empirii poprzestają na ferowaniu "dojutrowskich" prawdopodobieństw - drudzy, w przeświadczeniu o boskiej proveniencji głoszą fatalizm (ale jednocześnie odpowiedzialność jednostki z racji wolnej woli, jaką Bóg obdarzył człowieka).

Marks w swej teorii rozwoju społecznego wychodzi ze zgoła innych założeń, uważa bowiem, że zachowanie ludzi jest zdeterminowane obiektywnie trendem rozwojowym. Nie pojawia się jako "deus ex machina", lecz jest wynikiem sprzężeń zwrotnych o charakterze teleonomicznym, jako skutek aktywnych działań ludzkich.

Zarówno pragmatycy jak i fideiści przywiązują małą wagę do analiz kauzalnych i zadowolają się twierdzeniem "post hoc est propter hoc" a fideiści skłonni są w ślad za św. Augustynem twierdzić, że człowiek jest "jako ten liść na wietrze". Nie jest to przypadkiem, bo każda myśl zachowawcza afirmuje "status quo". Marks wykrywając dynamikę rozwojową nie bezpodstawnie twierdził, że ludzie tworzą sami swą historię, lecz nie dowolnie a w sposób uwarunkowany obiektywnie i że zmieniając historię zmieniają się i siebie samych. Jeśli nie potrafimy udzielić odpowiedzi na pytanie skąd i dokąd zmierza ludzkość, to nie znaczy, byśmy nie byli w stanie stwierdzić, że ruchliwa i zmienna powierzchnia życia nie jest sterowana głębokim nurtem prawidłowości wyrębiających sobie drogę przypadkowości.

Przeciwnicy Marksa próbują obalić twierdzenie, że byt określa świadomość, stoją bowiem na stanowisku, że jest wręcz odwrotnie. Mamy tu do czynienia z grubymi uproszczeniami, Marks przez byt ludzki rozumiał całokształt czynników modelujących ludzką egzystencję, przypisywał tylko potrzebom materialnym w przeważającej ilości przypadków priorytet. Marks nie był nigdy zwolennikiem wulgarnego materializmu ekonomicznego.

2. Marksizm a realny socjalizm¹

Życie dowiodło, że przełomy historyczne splatają żywiol ze świadomością społeczną w sposób nierównomierny. Znalazło to swe odbicie we wszystkich poczynaniach rewolucyjnych. Tak było ze zrywami mas pracujących na przełomie XIX i XX wieku, tak było i w rewolucji październikowej 1917 roku. Każdy jednak zryw rewolucyjny nadwątlął "status quo". Rewolucja październikowa była wynikiem splotu szeregu okoliczności. Dokonana w kraju jeszcze napół feudalnym, w swym rewolucyjnym planie nie była pomna, jak trudno jest budować socjalizm na zachwaszczonych rudymetami przeszłości glebie, nadto w walce o swe zwycięstwo znalazła się w warunkach otoczonej twierdzy a nie kolebki rewolucji światowej. Musiało to prędzej czy później prowadzić do różnych sprzeczności, w które popadł "realny socjalizm". Takiego historycznego zygzaku nie mogła przewidzieć marksowska teoria, nie dlatego, że jakoby była z gruntu niesłuszna, lecz dlatego, że spadek po carskiej Rosji powodował, że "czerwona rewolucja" musiała na swe barki brać i wysiłek zapełniania luk kapitalistycznego niedorozwoju Rosji, w rezultacie czego "komunizm wojenny" musiał ustąpić "nowej ekonomicznej polityce" a ta nosząc dwoisty charakter przygotowała grunt pod swoisty kapitalizm państwowy, określany "socjalizmem realnym".

Jakkolwiek próbowano niewątpliwie przez czas długi wdrażać i postulaty socjalizmu na niektórych odcinkach sowieckiej rzeczywistości, to jednak okazało się, że była to syzyfowa praca, bo i świadomość społeczna celu wśród szerokich mas a nawet w przywódczej elicie zwolna, ale nieustannie, poczyniała ustępować miejsca egoistycznym interesom, zwłaszcza tworzącej się biurokratycznej nomenklatury. Te deformacje postulatów marksowskiej teorii nie były wynikiem jej wewnętrznej logiki, lecz okoliczności, których nie tylko Marks przewidzieć nie mógł. Marks wskazywał, że teoria może stać się siłą materialną gdy owdądnie masami, ale marksowską teorię w dobie "real-

¹ 1) Źródły pochodzą od redakcji

nego socjalizmu" nie tyle wdrażano, ile indoktrynowano "per fas et nefas" na siłę i strachem. Prymitywna propaganda otępiała, a nie rozwijała samodzielność myślenia. Przeciwna między słuszną teorią a niesłuszną praktyką dawała fatalne owoce. Odżywały pod pozorną jednością myślenia, rudymenty "starego", dwulicowość pokrywała fakt odżywiania zacofania, religianctwa, niesnasek narodowościowych itp.; koszty socjalistycznego budownictwa wypierane były na rzecz coraz większych zbrojeń, idea braterstwa narodów nienależnie coraz bardziej pod brzemieniem sowieckiej mocarstwowej megalomanii, "obronna twierdza" przekształcała się coraz bardziej w potencjalny ośrodek agresji (przyczyny zresztą były tu nader złożone!) zwłaszcza po zwycięstwie nad hitleryzmem. Czy za to wszystko można winić teorię Marksa?

W wyniku potęgujących się coraz bardziej komplikacji zewnętrznych i wewnętrznych "realny socjalizm" przybierał aspiracje mocarstwowe, nie wiele mające wspólnego z teorią Marksa. Nie tu miejsce na rozważania, czy było to nieuniknione, można tylko stwierdzić, że nie tak rozumiał Marks rozprzestrzenianie się idei socjalistycznych. Gdyby Marks był dziś przy życiu, najpewniej potraktowałby "realny socjalizm" jako odmianę "koszarowego komunizmu", który był przedmiotem jego ostrej krytyki i zapewne uznałby jego pojawienie się, jako wielką, choć nie pierwszą tragedię rozwoju ludzkości. Rewolucja październikowa doczekała się, jak francuska 1789 roku, swego thermidora i swego bonapartyzmu, tylko w jeszcze bardziej zwyrodniałej postaci. Szczytne hasła "wolność, równość, braterstwo" nie pierwszy raz w historii blakły w miarę upływu czasu.

3. Współczesna socjologia a marksizm

Krytykom marksowskiej teorii rozwoju społecznego warto przypomnieć jaki był i jest stan nauk społecznych w ujęciu niemarksowskim. Socjologia jest wprawdzie nauką młodą liczącą sobie niespełna jakieś 200 lat (choć kierunki rozważań o społeczeństwie datują się od starożytności), ale jej kształt zarówno dawny jak i obecny nie daje powodów do satysfakcji. Chociaż ilość obserwacji wzmogła się niepomierne, zjawiska makrosocjalne pozostały w jej ramach nierozszyfrowane. Współcześni socjologowie badają chętnie instynkty, fobie, stesy, kontakty pojedynczych ludzi, ich motywacje, sposoby zachowania się (tzw. role), różne zjawiska patologiczne itp., ale pławiąc się w płytkim empiryzmie lub budując modele zachowań, badają tylko powierzchnię zjawisk społecznych. Wzajemne powiązania i sprzężenia

zwrotne są rozpatrywane tylko w mikroskali a dynamika rozwojowa gubi się w rozważaniach o hipotetycznych strukturach społecznych (formie "typów idealnych"), mechanizmach dominacji - kompensacji, asymilacji, dyskryminacji itp. - które jakkolwiek niewątpliwie nader potrzebne - stają się główną domeną zainteresowań a problematyka dynamiki rozwojowej leży albo odłogiem albo przeistacza się w wątpliwej wartości futurologię.

Uchodzący za ojca socjologii A.Comte, uczeń Saint-Simona twórcy "fizyki społecznej" szukając czynników harmonii społecznej analizował morfologię społeczną i dokonał analogii z biologią. Jako model więzi społecznej eksponował religię, szufladkując stadia rozwoju wyróżnił okres teologiczny, metafizyczny i naukowy. Idąc jego tropami J.St.Mill głosi ewolucjonizm, jest wyznawcą nierównomiernej ciągłości, interesuje go struktura i funkcjonowanie zjawisk społecznych. To ostatnie zagadnienie w organicystycznej otoczce staje się też przedmiotem wywodów H.Spencera. Te pierwociny myśli socjologicznej krążą między empirią a fantasmagorią, co zresztą jest zrozumiałe w zaczątkach niemal każdej nauki.

Kiedy socjologia, jako nauka, zdołała nieco okrzepnąć pojawiły się prace V.Parety, który szukając motywacji ludzkich działań wyróżnia obszary "residiów" i "dyrywacji" jako determinanty zachowań człowieka. Zmiany traktuje jako zjawisko falowe a antagonizmy społeczne wywodzi z walki elit i mas. L.Gumpłowicz wprowadza pojęcie determinizmu społecznego, którego motorem są konflikty na tle rasowym. E.Durkheim odrzuca w "faktach społecznych" istnienie jakichkolwiek tendencji, wątpi by nasza świadomość była zdolna odzwierciedlić faktyczną rzeczywistość, rozgranicza "sacrum" i "profanum" w sposobie ujmowania zjawisk społecznych. W. Dilthey sugeruje, że struktury społeczne uruchamia nie tylko "Verstehen", ale w równym stopniu "Nacherlebnis". F.Tönnies wyróżnia dwie struktury "Gemeinschaft", w których procesy przebiegają odmiennie. F.Simmel dostrzegając wielopostaciowość społecznej rzeczywistości, sugeruje, że więzy społeczne splatają się i rozwiązują pulsującymi strumieniami a całość stosunków międzyludzkich nosi charakter quasi-wymiany. Max Weber uważany za myślowego tytana tworzy pojęcie "typów idealnych", jako narzędzie badawcze pozwalające określać na ile realne zjawiska odbiegają od przyjętego wzorca a genezę kapitalizmu uzasadnia nie tyle obiektywnymi warunkami co wpływami religijnymi; szczególną uwagę poświęcał badaniom organizacji i roli biurokracji. Ta enumeracja pierwszych koryfeuszy socjologii potrzebna jest tu tylko po to, by

wykazać, że współczesna socjologia w istocie rzeczy przeżuwa tylko stare komunaty.

W czasach nam bliższych na czoło przejściowo wysuną się funkcjonalizm spleciony ze strukturalizmem (A.Radcliffe-Brown, B.Malinowski), kierunki, które chętnie sięgają do antropologii zapoczątkowując badania antromorficzne. Jeśli w wyżej wymienionych kręgach zainteresowania problematyką makrospołeczną przyświecają tu i ówdzie, to im bliżej naszych czasów te przebłyski stają się coraz rzadsze. Spory wpływ na współczesną myśl społeczną wywarły prace T.Parsonsa, który poszukiwał czynników stabilizujących równowagę społeczną. Sugeruje on, że społeczne interakcje staną się zrozumiałe dzięki "teorii działania", która głosi, że społeczeństwu ludzkiemu właściwa jest dążność do homeostazy, burzonej tylko przejściowo przez chwilowe dewiacje. Wzajemne wiązanie się części grupowych, na które rozpada się społeczeństwo, możliwe jest dzięki instytucjonalizowaniu działań zgodnie ze społecznymi imperatywami, interesuje go też (w późniejszy m okresie) jak dokonują się zmiany społeczne (ale nie co jest ich przyczyną).

Znamienną cechą współczesnej socjologii na Zachodzie jest rozdrobnienie kierunków. Po "neopozytywistach" (O.Nezrath, G.A.Lundberg, B.F.Skunner, P.M.Blau, G.C.Homans, H.Blumer), pojawiła się "teoria ról", "strukturalizm", "interakcjonizm", "socjologia wiedzy", "etnometodologia" prezentowane przez takich autorów jak: R.H.Turner, G.H.Mead, C.L.Straus, D.H.Mertom, Garfinkel, Cicurel, Gofman, Schütz, Manheim i wielu innych. Są to bardziej lub mniej ciekawe przyczynki, które jednak z trudem dałyby się określić jako wkład w szeroko rozumianą teorię. Odrębną grupę stanowią socjolodzy głoszący teorie konfliktu (H.Dahrendorf, L.A.Coser, G.W.Mills). Jeśli większość socjologów eksponuje ciągle procesy integracyjne wiodące do mniej czy bardziej stałej równowagi społecznej, to "teorie konfliktów" wykazują, że koncepcje równowagi społecznej stanowią fikcję, jako że konflikty nie są czasową dewiacją, lecz immanentnym zjawiskiem jako wynik istniejących w społeczeństwie przeciwstawnych sił.

Ósmy zjazd socjologów polskich w Toruniu jesienią 1990 roku zmuszony był przyznać, że cały dotychczasowy dorobek socjologii jako nauki znamionuje ciągle dreptanie w miejscu i zadowalanie się przyczynkami o stosunkowo małym ciężarze gatunkowym. Gwoli sprawiedliwości należy jednak przyznać, że i socjologowie nawiązujący do Marksa nie mają - jak dotąd - wiele nowego do powiedzenia. Jest przy

tym zjawiskiem znamionym (przy niskim poziomie wyników prowadzonych badań), że tzw. niemarksiści, jeśli uznają nawet wagę wywodów Marksa, mają do Marksa stosunek ambiwalentny. Charakteryzując stan współczesnej socjologii możnaby określić jednym słowem - daleko posunięty eklektyzm.

W stosunku do marksowskiej teorii rozwoju społecznego czynione są i z prawa i z lewa supozycje, że jeśli nawet uznać wkład Marksa do wiedzy o społeczeństwie, to teoria ta wymaga dziś szerokich uzupełnień. Jest to niewątpliwie stwierdzenie słuszne, idzie jednak o to w jakim kierunku mają iść te uzupełnienia. Jeśli zarzuca się Marksowi, że nie doceniał kreatywnej roli czynników psychicznych w rozwoju społecznym, to zarzut ten trzeba by zmodyfikować w tym sensie, że Marks nie wyartykułował szeroko tego problemu w swoich pismach ekonomicznych. Odnajdziemy jednak głębokie myśli Marksa i w tej materii w całym szeregu jego listów i brulionów. Jeśli oskarża się Marksa o esencjonalizm, o fideistyczną prognostykę, o nie udowodniony determinizm historyczny, jeśli Popper przeciwstawia Marksowi tezę, że rozwój nosi charakter niepowtarzalny, to sugeruje się jakoby Marks teorię odbicia formułował prymitywnie, jako fotograficzne odbicie rzeczywistości. Dyskredytuje to nie Marksa a niesolidność w odczytaniu jego tekstów. Jeśli R.C.Tucker skłonny jest widzieć w marksizmie rodzaj religii, to bije nie w Marksa, lecz niektórych jego epigonów. Jeśli R.Aron zarzuca Marksowi bałwochwalczy stosunek do historii, bo jego zdaniem historia jest tylko swoistą "grą w kości" o cechach wyłącznie probabilistycznych, to faktycznie sam ucieka od odpowiedzi na temat czynników sprawczych. H.Marcuse dowodzi, że marksowska teza o roli dialektyki jest zbyt dalekim uogólnieniem, bo jego zdaniem może ona dotyczyć tylko rzeczywistości zrealizowanej i nie można jej nadawać charakteru uniwersalnego. Jeśli Marcuse wykazuje, że kondycja ludzka jest poddawana represjom związanym nie tylko z podłożem ekonomicznym, jeśli odrzuca tezę o przewodniej roli proletariatu, jeśli sugeruje, że marksizm to tylko prehistoria teorii rozwoju społecznego, to są w tym ziarna prawdy tylko o tyle, że Marks nie eksplikował do końca swych dostrzeżeń. Jeśli K.Manheim kwestionuje zasadność eksponowania priorytetu ekonomicznego i akcentuje wagę różnych kątów widzenia, to znowu mamy do czynienia z egzegezą litery a nie ducha wywodów Marksa. Jeśli Habermas uważa, że siła Marksa tkwi tylko w warstwie krytycznej jego wywodów, lecz nie w sferze hermeneutyki a jego twierdzenia są nieprzekładalne na normy instrumentalne, to jest to skutek fascynacji Habermasa "poperyzmem". Nie idzie

o obronę Marksa przed każdym zarzutem. Marks był tylko człowiekiem i jako taki miał prawo również do błędów, idzie jednak o zachowanie przy ocenie jego w wkładzie teoretycznym właściwych proporcji. Marks problematyką epistemologii zajmował się tylko incydentalnie i to raczej w pracach wczesnych. Te czy inne zarzuty pod adresem Marksa mają bardzo różny ciężar gatunkowy, ale żadne nie obalają jego myśli przewodniej. W skali porównawczej Marks po dzień dzisiejszy dominuje nad plejadą współczesnych socjologów a to jest sprawą decydującą dla odpowiedzi na pytanie czy w marksowskiej teorii rozwoju społecznego tkwią ciągle żywotne soki pozwalające na właściwą ocenę tego co przed nami.

4. Współczesna ekonomia a marksizm

Jeśli na płaszczyźnie współczesnej socjologii porównania wypadają na korzyść rzekomo przestarzałej teorii rozwoju społecznego, to warto też przyjrzeć się, jak ma się ta sprawa na forum współczesnej myśli ekonomicznej, której Marks poświęcił najwięcej uwagi. "Kapitał" K. Marksa stał się dziełem fundamentalnym dla oceny zarówno jego metodologii dociekań jak i merytorycznych treści (choć, jak wskazywano wyżej, etykieta ekonomisty i tylko ekonomisty jest niewątpliwie w wypadku Marksa krzywdząca). Problematyka ekonomiczna była dla Marksa punktem wyjściowym dla analizy stosunków społecznych a więc dla nakreślenia całej panoramy stosunków międzyludzkich. Nie starczyło mu na to jego pracowitego życia. I dlatego próby sprowadzenia wywodów Marksa ze sfery życia gospodarczego do jakiegoś materializmu ekonomicznego są grubym nieporozumieniem. Marks doskonale rozumiał wagę sprzężeń zwrotnych między "bazą" a "nadbudową". Jeśli wspominam o tym to dlatego, że dla socjologów Marks jest za bardzo ekonomistą a dla ekonomistów za bardzo socjologiem, gdy w rzeczy samej należy ekonomię i socjologię ujmować iunctim.

Klasyki ekonomii A. Smith i D. Ricardo w swych postawach światopoglądowych widzieli to iunctim wyraźnie, co przebijają z ich dzieł, nawet ich wulgaryzatorzy nie skłaniali się jeszcze do postawy, jaką przyjmuje większość współczesnych ekonomistów, którzy naukę ekonomii radziby przemienić w rodzaj prakseologii, co szczególnie jaskrawo uwydatnia się w modelowym traktowaniu tzw. teorii wzrostu gospodarczego i preferowaniu matematycznych algorytmów.

Jeszcze tacy ekonomiści jak J. B. Clark, A. Marshall czy K. Wicksell próbują badać, jak działa cały system gospodarczy, ale nie próbują do-

konywać żadnej ekstrapolacji jaki kierunek rozwoju system może przybrać. Dynamiką gospodarki zajął się dopiero R.F.Harrod, ale w oderwaniu od podłoża społecznego. Modele wzrostu gospodarczego stanowiły konstrukcje czysto myślowe, oparte na tzw. danych, parametrach, warunkach ograniczających i wzorach matematycznych. Więcej realizmu znamionowały koncepcje J.M.Keynesa. Już jednak jego uczniowie będą się skłaniać do wykorzystywania algorytmów matematycznych. Praca J.v.Neumana i W.Leontiefa wręcz preferowały rachunek macierzowy w tzw. teoriach przepływów międzygałęziowych. Ekonomia coraz bardziej przerażać się poczęła w rzemiosło dla celów czysto praktycznych na zlecenie wielkich korporacji. Tzw. modele sekwencyjne stawały się próbami rozmaitych wyliczeń, rozważania ekonomiczne nabrały charakteru czysto ilościowego. Szukano najbardziej efektywnej alokacji gwarantującej "dynamiczną równowagę" między technologią, produkcją i konsumpcją (a raczej zbytem). Podręcznik P.A.Samuelsona "*Economics*" doczekał się milionowych nakładów we wszystkich niemal językach, uznano go niemal za biblię uczącą odnajdywania różnych minimów i maksimów najrozmaitszych konstrukcji modelowych. Do nielicznych skłonnych czerpać, przynajmniej częściowo, z osiągnięć Marksa (zwłaszcza w odniesieniu do zagadnień akumulacji) należała uczennica Keynesa - Joan Robinson. Obok tego dominującego nurtu współczesnej myśli ekonomicznej pojawiać się poczęły także nurty, które zrywając z rolą czysto utylitarną, próbowały częściowo przynajmniej uwzględniać aspekty nie tyle może społeczne, co polityczne działań gospodarczych. Tu wymienić należy Röpkego, F.A.Hayeka, W.Euckena. Neoliberalizm i neoistytucjonalizm stanowiły jednak tylko nieliczne wysepki w morzu ekonomii menedżerskiej. Tzw. *Ordo-Lehre* W.Euckena usiłowała uzasadniać racje tzw. społecznej gospodarki rynkowej (co stanowiło defensywną obronę kapitalizmu (wcielaną w życie przez kanclerza RFN L.Ehrharda). Teorię "kapitalizmu ludowego" próbowali stworzyć A.Bergson czy A.P.Lerner. J.A.Schumpeter był również jednym z nielicznych, który nawiązując do Marksa głosił eutanazję kapitalizmu (zwłaszcza w książce pt.*Capitalism, Socialism, and Democracy*). Nie sądzi on wprawdzie, by zniknięcie kapitalizmu nastąpiło na skutek walk klasowych, a raczej w wyniku zaniku bodźców dla gospodarowania, którego jedynym celem jest pogoń za zyskiem. W innej pracy z 1952 roku (pt.*Aufsätze zur ökonomischen Theorie*) idzie jeszcze dalej i wieści wręcz zwycięstwo socjalizmu, tyle że odracza termin tego zwycięstwa na czasy bardzo

odległe, jednocześnie jednak przewiduje, że dla funkcjonowania gospodarki socjalistycznej będzie nieuchronnie związane z totalitaryzmem.

We współczesnej myśli odnotować też należy J.K.Galbraitha, który uchodzi za "enfant terrible" współczesnej myśli ekonomicznej, nie będąc entuzjastą kapitalizmu wierzy jednak w transformację tego sposobu gospodarowania. Uważa, że konkurencja nieuchronnie wiedzie do monopoli, ale wraz z monopolami pojawia się siła równoważna w postaci związków zawodowych i organizacji konsumenckich, co stwarza nowy układ sił. Sugeruje, że prędzej czy później miejsce kapitalisty zajmować będą eksperci, tworząc tzw. technostrukturę. Dowodzi, że rynek utracił już dzisiaj dawną rolę dobrego informatora, a długofalowe planowanie staje się obiektywną koniecznością. Koncepcje Galbraitha znajdują odzew w enuncjacjach A.Tofflera czy D.Riesmana a E.Küng dowodzi (w pracy z 1972 r. pt.*Wege fuhrende in die okonomische Wissenschaft ins XXI Jahrhundert*), że mechanizm rynkowy jest jeszcze sprawny, gdy idzie o dobra indywidualnej konsumpcji, ale już nie w produkcji i zbycie towarów o kluczowym znaczeniu. Także tzw. neoinstytucjonalizm (C.E.Ayers, B.Heilbrunner, G.Myrdal) uwypuklają społeczne aspekty gospodarki, krytykują koncepcję równowagi ekonomicznej, ale przyznając się do filiacji myślowych z Marksem i z Veblenem nie uważają się za uczniów Marksa.

5. O marksistowską diagnozę

Nikła wydolność i przydatność współczesnej wiedzy o zjawiskach społecznych jest podkreślana przez wielu myślicieli dalekich nawet od marksizmu. Czy fakt słabości współczesnych nauk społecznych ma zachęcać do mumifikacji teorii Marksa? Nie, idzie jednak o to, że nowe zjawiska należy badać nadal zgodnie z metodologicznymi wskazaniem Marksa, jeśli nasza wiedza o procesach społecznych ma posuwać się naprzód. "*Marks nie wiązał ani sobie ani przyszłym działaczom rąk... rozumiejąc jakie mnóstwo nowych problemów wyłoni się w przyszłości...*" (Lenin). Marks uczy nas przekształcać nieznane w poznawane, jak poznawać przyszłość na podstawie poznanych trendów przeszłości i teraźniejszości. Jeśli idzie o socjosferę to wiemy niewątpliwie dziś więcej niż za czasów Marksa, bieda tylko w tym, że nie umiemy tej wiedzy zszytyzować. Marks był zawsze daleki od "wishfull thinking" (chciejstwa), widział w nauce narzędzie do sterowania działalnością ludzi zgodnie z ujawnionymi trendami rozwojowymi, a nie wbrew takowym, i taka postawa powinna nadal cechować docie-

kania nad rozwojem społecznym i tu grosso modo wywody Marksa pozostają ciągle aktualne.

Każda teoria, jeśli chce zachować naukowy status - wyrasta z krytycznej analizy *ex post*, dokonuje ekstrapolacji *ex ante* tylko na podstawie uchwyconego trendu rozwojowego. Czy takie postępowanie badawcze Marksa straciło na aktualności? U schyłku XX wieku, przyszło nam żyć w epoce, którą znamionuje murszenie przeszłości i dojrzwianie przyszłości a co za tym idzie, stajemy się świadkami przemijania dawnego kształtu międzyludzkich stosunków. To tym bardziej dyrektywy badawcze Marksa czyni na czasie. Nie zdarzyło się, jak dotąd, w dziejach ludzkości, by poród tego co "nowe" odbywał się bezboleśnie, jeśli męki porodowe "nowego" możnaby skrócić i złagodzić, to prawidłowa diagnoza jest nieodzowna, a taką wciąż zapewnia w socjoserferze metoda Marksa (choć nie "marksistów"!)

Ślady przeszłości zawsze tłamszą w mniejszym czy większym stopniu kiełki nowego. Jeśli nauka ma temu w jakimś stopniu przeciwdziałać, musi stać się busolą aktywności ludzkiej, i tę właśnie rolę marksowska teoria rozwoju społecznego spełnia. Czy zawsze ze skutkiem - to inna sprawa.

W dobie obecnej zafascynowania komputeryzacją, informatyką, organizacją zarządzania, robotami z pola widzenia gubimy społeczne reperkusje a więc zniekształcamy optykę rozwoju, temu zaccadzeniu marksowska teoria rozwoju może dać skuteczną odtrutkę. Jeśli nie mamy utonąć w płytkim "dojutrowstwie", to musimy zdobyć się na spojrzenia perspektywiczne, wskazujące właściwą strategię działania a w tym marksowska teoria rozwoju społecznego pozostaje wciąż pomocna. Apologeci "kapitalizmu o ludzkim obliczu" niekoniecznie muszą być ludźmi złej woli, nie mogą tylko zrozumieć, że może istnieć "socjalizm o ludzkim obliczu" i że realizację takowego przybliża działalność ludzi oparta na wiedzy jaką daje świadomość zasadności wywodów Marksa, bo trend rozwojowy mogą przyhamować różne perturbacje, ale nie na odwrót.

Fakt, że wielu ludziom żyje się w krajach kapitalistycznych grubo lepiej niż w krajach "realnego socjalizmu", nie zmienia innego faktu - polaryzacji społecznej, jaką niesie struktura kapitalizmu. Ustrój kapitalistyczny ciągle nie jest w stanie uchronić się przed cyklicznymi kryzysami. Ocena, że lepsza jest nierówność bogactwa niż równość nędzy jest grubym uproszczeniem, bo nawet niewątpliwie zły "realny socjalizm" dawał jakie takie zabezpieczenie jutra, darmowe szkolnictwo, opiekę lekarską itp.

Marks nie głosił "koszarowego komunizmu, nie aprobował prymitywnej indoktrynacji, dostrzegał niebezpieczeństwa biurokracji, wyobcowania się wczorajszych elit rewolucyjnych od mas, negatywną rolę nomenklatury i inne schorzenia okresu kształtowania się nowej formacji. Atakuje się chętnie Marksa za jego negatywną ocenę roli własności prywatnej środków produkcji i preferowanie gospodarki planowej wskazując, że gospodarka rynkowa jest efektywniejsza. Jest to atak propagandowo chwytliwy, ale bijący mimo celu, bo Marks w tych sprawach wykazywał dużą ostrożność (vide chociażby uwagi zawarte w *"Krytyce programu gotajskiego"*). Dzisiaj pojęcie gospodarki rynkowej jest wygodnym kamuflażem gospodarki kapitalistycznej, pod pretekstem, że stanowi ona jedyne remedium na niewydolność gospodarki nakazowo-rozdzielczej. Nawet tzw. społeczna gospodarka rynkowa nie likwiduje żywiołowości rynku i wynikających stąd perturbacji. Zresztą rynku w rozumieniu XIX wiecznym obecnie można doszukać się już tylko w sektorach drobnotowarowych a nie wielkoprzemysłowych, prezentowanych przez wielkie korporacje. Marks walczył nie z własnością osobistą, nie z własnością drobnego producenta (skazanego przez sam kapitalizm na zagładę), lecz z klasową dominacją wielkiego kapitału. Nie z rynkiem i pieniądzem Marks stawał w szranki, bo ujmował te kategorie instrumentalnie, ale z ich funkcją społeczną w warunkach kapitalistycznego sposobu gospodarowania. Doceniając historyczną, relatywnie pozytywną rolę kapitalizmu w dobie minionej *"Manifest komunistyczny"* stwierdzał, że *"Burżuazja odegrała w historii rolę w najwyższym stopniu rewolucyjną... w ciągu swego panowania... stworzyła siły wytwórcze bardziej masowe i kolosalne niż wszystkie pokolenia poprzednia razem wzięte..., ale burżuazyjne stosunki produkcji upodobniły burżuazję w czarnoksiężnika, który nie może opanować wywołanych przez siebie potęg"*. Tę świadomość usiłował wdrożyć klasie robotniczej, jako w XIX wieku jedynej realnej sile zdolnej do zburzenia przeżywającego się powoli systemu gospodarowania. Ale na szlak komunizmu nie wiedzie samo pochodzenie klasowe. Marks był też w pełni świadom, że realizacja społecznych przeobrażeń może nastąpić w pełni tylko wówczas, gdy nie tylko rządzi nie będą w stanie żyć po staremu, ale i gdy rządzący nie będą już mogli rządzić po staremu. W jedności świadomości i woli czynu, widział czynnik przezwyciężenia tego co już zmurzała, był bowiem świadom, że władzy nikt nie oddaje z reguły dobrowolnie.

Kiedy Marks podkreśla, że człowiek zmieniając naturę zmienia i siebie samego, to nie chce bynajmniej powiedzieć, że dzieje się to au-

tomatycznie. Różne tradycje, przesady, fobie ciągną wstecz, co lapidarnie Marks określał aforyzmem "umarły ciągnie żywego". Stałą wagę przywiązywał do krzewienia świadomości społecznej przez nauki społeczne.

6. Marksowska teoria rozwoju społecznego - aktualna

Jakkolwiek Marks nie wiele miejsca poświęcił rozważaniom na temat działania mechanizmów adaptacji i ksenofobii, dominacji i dyskryminacji, które tak przyciągają dziś uwagę, to nie znaczy, że sprawy te bagatelizował, napomyka o nich przy różnych okazjach głównego nurtu swych wywodów. Marks doskonale rozumiał, że człowiek tworzy swój świat w sensie dobrym i złym, rozumiał, że cywilizacja wyalienowała człowieka od przyrody, że zrodziła siły pchające jednostkę do wyobcowania się od społeczności, że wreszcie sprowadziła stosunki ludzkie w dużej mierze do maksymy egoistycznej "do ut des" a wymianę usług przekształciła w fetyszyzm towarowy. Nikt lepiej od Marksa nie zdawał sobie sprawy, że przeszłość terażniejszość i przyszłość choć są ze sobą nierozzerwalnie splecione, prezentują różne wartości, rozumiał, że postęp techniczny mieści w sobie nie tylko pozytywne, ale również groźbę dehumanizacji. Jakkolwiek myślenie dialektyczne nie było jego wynalazkiem, potrafił je twórczo zastosować do oceny procesów historyczno-społecznych, i dzięki tej metodzie potrafił rozszyfrować zagadkę rozwoju społecznego.

Zastosowana przez niego metoda badań zjawisk historyczno-społecznych pozwoliła mu ujawnić mechanizm dynamiki rozwojowej ludzkości, uchwycić momenty, gdy "ilość" przekształca się w nową "jakość", uchwycić sprzężenia świadomości i aktywności, zrozumieć jak tworzy się świadomość społeczna i jak następuje jej introjekcja do świadomości intelektualnej, wywołując wolę aktywnego dokonywania przemian. Dialektyka skłaniała Marksa do uznania immanentnych sprzeczności każdej formacji społecznej za podłoże dążności do przemian. Nie kusił się o szczegółowe kreślenie obrazu jutra, bo nie uważał to za możliwe. W odniesieniu do socjalizmu oznaczało to, że wiedział czym postkapitalizm być nie powinien w świetle zarysowujących się tendencji, ale nie był w stanie określić jak będzie wyglądać w szczegółach i kiedy wykształci się w pełni.

Jeśli nieludzkość stalinowskiego etapu w kształtowaniu się socjalizmu odpycha od tej drogi realizacji, to nie oznacza to, że konieczność przeobrażeń społecznych zniknęła ze świadomości ludzkiej. I dlatego marksowska teoria rozwoju społecznego musi odrodzić się jak Fenix z

popiołów. Nie utraciła ona bowiem swej żywotności ani jako narzędzie poznania ani jako siła inspirująca czyn. *"Teoria staje się siłą materialną, gdy ovladnie masami"*, ale tej teorii Marks nie tworzył w dedukcyjnej próżni, tworząc hipotezy mogące ulec falsyfikacji - jak chce K. Popper - na drodze czysto rozumowej. Marks badał źródła i przyczyny zjawisk na podstawie materiału empirycznego, czerpanego z długiej historii rozwoju rekonstruując dynamikę rozwojową, wzajemne oddziaływania, unikał też pochopności interpretacji. Dopiero na tej drodze osiągnąwszy "twardy grunt" przechodzi do formułowania twierdzeń zawierających też warunki ich realizacji "in the long run". Metoda ta okazała się nader płodna w odniesieniu do genezy i kształtowania się kapitalizmu i nadal ma podstawy, by nie mogła być skuteczna w badaniach nad procesem przechodzenia do nowej postkapitalistycznej formacji.

7. Weryfikować a nie ignorować

Na szlak komunizmu wiedzie ludzi nie tylko położenie klasy robotniczej. Kiedy Marks w *"Kapitale"* mówi o absolutnym zubożeniu klasy robotniczej w kapitalizmie, to nie sprowadza tego pojęcia tylko do kwestii materialnych, podkreśla przecież, że zubożenie dotyczy również procesów dehumanizacji, których ten proletariatus (i nie tylko proletariatus) staje się obiektem. Poczucie sprawiedliwości społecznej, przeświadczenie, że bogactwo nie wszystko rozgrzesza, że zniczulica społeczna staje się coraz groźniejszym rakiem - było udziałem sporej grupy ludzi i przed Marksem. Nawet Kościół deklaratywnie nalegał na przeciwstawianie się złu. Ale Marks nie wzywał do biadolenia, lecz wskazywał realne siły mogące prędzej czy później obalić istniejący stan rzeczy. Można się więc zgodzić z J.P. Sartrem gdy pisał *"...wykraczanie poza marksizm może być w najlepszym wypadku powrotem do premarksizmu, w najlepszym myślną już zawartą w marksizmie... Obecny kryzys intelektualny marksizmu pochodzi stąd, że ta filozofia odebrała sobie narzędzia rozumienia rzeczywistości żywych ludzi"*²⁾, ale o to można już oskarżać nie Marksa a jego niedouczonej epigonów.

Czy oznacza to, że zamknęła się możliwość dyskusji z tymi czy innymi sformułowaniami Marksa? Czy wszystko należy sprowadzać do jakiejś nieomylności Marksa i tłumaczyć wszystko "in verba magistri". Na pewno nie, Marks nie wiązał swymi wypowiedziami. Widział potrzebę samodzielnego myślenia i rozumiał, że dynamika rozwojowa niesie problemy, których nie mógł znać i oceniać. Istnieje jednak sze-

²⁾ vide: "Twórczość", kwiecień 1957

reg nieporozumień w interpretacji niektórych wypowiedzi Marksa. Tak np. rodzi się potrzeba prawidłowego odczytania co przez dyktaturę proletariatu rozumiał sam Marks. Czy pojęcie to w ujęciu Marksa było przeciwstawne pojęciu demokracji? Myślę, że nie, świadczy o tym ocena dana przez Marksa Komunie Paryskiej. Formułując tezę, *"oręż krytyki nie może zastąpić krytyki orężem"* Marks kontynuował tylko myśl Hegla, że jeśli klasa panująca przeżywszy swój wiek nie chce dobrowolnie zejść z areny dziejowej, to należy usunąć ją przemocą i tylko tyle. Nie głosił potrzeby (Marksa) kneblowania ust i permanentnego terroru.

Także odnośnie form sterowania gospodarką, powstało szereg nieporozumień. Imputuje się Marksowi, że swoimi wywodami torował drogę społecznemu zniewoleniu, biurokratycznemu planowaniu i tłamszeniu indywidualnej inwencji. Nie jest to prawdą, gdyż przy bezinteresownej społecznej spolegliwości planowanie i inwencja twórcza nie muszą nosić charakteru antagonistycznego. Planowanie w takim czy innym zakresie jest cechą każdego racjonalnego gospodarowania a im większy zasięg gospodarowania tym większa rola informacji, organizacji i planowania, co ma zresztą miejsce w kapitalistycznych koncernach. Planowanie wcale nie musi nosić biurokratycznego charakteru, jakim odznaczało się rzeczywiście planowanie w gospodarce realnego socjalizmu; planowanie nie musi koniecznie wiązać się z systemem nakazowo-rozdzielczym (np. planowanie indykatywne). A sugestie planowego rozdzielnictwa Marks przypisywał dopiero drugiej fazie komunizmu a nie "hic et nunq" (próby takie podejmowano w izraelskich kibucach).

Marksa wielokrotnie wskazywał, że: *"Nawet jeśli jakieś społeczeństwo wpadnie na trop prawa natury rządzącego jego ruchem... nawet wówczas nie może ono przeskoczyć przez naturalne fazy rozwoju ani usunąć ich dekretami"*³.

To, że przewidywanie Marksa nie znalazło pokrycia w radzieckiej rzeczywistości, stanowi najpoważniejszy zarzut, przy pomocy którego próbuje się uśmiercić teorię rozwoju społecznego. Wynikające z tej teorii wnioski jedni skłonni są uznać za nieziszczalną teorię z uwagi na rzekomo wrodzoną człowiekowi psychikę, odrzucającą instynktownie pętające jednostkę nakazy i zakazy. Inni traktują tę teorię jako narzędzie politycznie oparte na hipotetycznych przesłankach. Narzędzie wbrew woli Marksa - posłużyło interesom biurokratycznej elity

³ 3) vide: "Kapitał" t.1., W-wa 1951, s.6.

stanowiącej władzę człowieka nad człowiekiem, a nie dla jego dobra. I jeden i drugi zarzut mają pozornie pełne uzasadnienie w praktyce radzieckiej. Ale oba zarzuty mylnie określają istotny sens terminu "teoria". Teoria żadna nie gwarantuje, że poprawnie wywiedzione wnioski znajdują wcielenie w każdym dowolnym momencie, nawet teorie potwierdzone setkami faktów z zawadą w pewnych takich czy innych okolicznościach, które w chwili kreowania teorii jeszcze nie istniały czy też stanowiły wyjątek od reguły. Każda teoria a tym bardziej teoria społecznego rozwoju sprawdza się w zjawiskach masowych, bo każda prawidłowość przebija sobie drogę przez przypadkowości. W wypadku marksowskiej teorii, zetknęła się ona z jednym wypadkiem wcielenia jej w życie, w warunkach dalekich od założeń przyjętych jako punkt wyjściowy (co w przypadku marksowskiej teorii rozwoju społecznego oznaczało, że start do przemian dokona się w krajach najbardziej rozwiniętych, dojrzałych już do tych przemian a tylko hamowanych przez czynniki opóźniające). "Realny socjalizm" nie mógł więc być weryfikatorem tej teorii. Tak trudno byłoby uznać za obalenie jakiegóż teorii biologicznej tylko na tej podstawie, że eksperyment się nie udał, bo ex post okazało się, że próbówka była zanieczyszczona! Marksowska teoria rozwoju społecznego czeka więc na swego weryfikatora a wydaje się, że współczesny przewrót naukowo-techniczny i zagrożenia ekologiczne nie każą już czekać zbyt długo.

8. Marksizm nie jest utopią

Z marksowskiej teorii rozwoju społecznego próbowano uczynić jakąś odmianę materializmu ekonomicznego, ale Marks nigdy nie twierdził, że podłoże gospodarcze jest jedynym czynnikiem determinującym przeobrażenia społeczne, pożytywał je niewątpliwie za czynnik najważniejszy, ale bynajmniej nie niewrażliwy i na inne bodźce działające na postępowanie jednostek i zbiorowości. Nie można przewidzieć ani rewolucji ani formy prób jej dyskutowania, tak jak nie można z całą pewnością ustalić miejsca i dokładnego czasu kiedy się ma zacząć. Marks nigdy też nie twierdził, że rozwój ma linearny charakter, że dokonuje się bez perturbacji, ale nie staczając się na pozycje agnostyczne, uczył jak sprzęgać myśl i czyn. Tak jak bez teorii grawitacji nie byłoby teorii względności Einsteina czy teorii kwantów Plancka, tak bez marksowskiej teorii rozwoju społecznego nie da się rozwijać badań nad nowymi zjawiskami społecznymi. Oczywiście, ponad wiek dzielący nas od śmierci Marksa przyniósł wiele nowych zjawisk, które trzeba analizować, można i trzeba marksowską teorię rozwoju

społecznego uzupełniać, modyfikować w szczegółach, ale *grosso modo* pozostaje ona trwałym fundamentem dociekań o rozwoju społecznym.

Szukając dróg wyjścia z narastających nowych problemów nie można zignorować osiągnięć marksowskiej teorii rozwoju. Tu nie wystarczą najbardziej nawet uzasadnione ataki na "realny socjalizm", bo nie jest to prawowite dziecko Marksa. Jeśli zgodzimy się z tym stwierdzeniem, że przed ludzkością staje alternatywa: albo stworzenia prawdziwie humanistycznych form współżycia, albo "bellum omnium contra omnes", to bez marksowskiej teorii będziemy szukać rozwiązań po omacku.

Jest rzeczą godną pożałowania, że i w szeregach dawnych zwolenników marksistowskiej teorii rozwoju wkrada się zwątpienie i przekonanie, że Marks był tylko siewcą złudzeń. Ale czy mieć pretensje do Marksa, że poród w 1917 roku wydał na świat płód ułomny, czy znaczy, że następne narodziny przyniosą podobne skutki? Czy ginekologa będziemy winić za przedwczesny poród, względnie niesprzyjające warunki w jakich ten poród się odbywał? Nawet w swych negatywnych aspektach rewolucje pozostają "lokomotywami historii" i nie jest prawdą, że rewolucja październikowa sprowadziła na ludzkość samo tylko zło. "Homo sovieticus" to nie tylko określenie pejoratywne, bo człowiek radziecki ujawnił wiele hartu i samozaparcia, uczynił z zacofanej carskiej Rosji społeczeństwo frustrujące się coraz bardziej, ale dojrzałe; osiągnięcia techniki i w naukach szczegółowych, jeśli nawet ustępują osiągnięciom innych krajów pod wieloma względami, są jednak nieodwracalnym faktem. Tak czy inaczej, nie Marks odpowiada za bieg historii, nie obiecywał przecież nigdy rajy na ziemi, konstatował tylko zjawiska i trendy, stwierdzał, że kapitalistyczna forma współżycia ludzi przeżywa się. Teoria Marksa pozostaje i dzisiaj jedynym remedium na rozprzestrzeniający się w odniesieniu do procesów społecznych nihilizm. Badania zachowań ludzkich w określonych sytuacjach - niewątpliwie zasadne - nie zapełnią luki w badaniach nad perspektywą rozwoju. Nie wystarczy twierdzenie biologów, etologów czy filozofów, że sens świata polega na tym, że dokonuje się wznoszenia form organizacji od elektronu do atomu, do molekuly materii żywej i wreszcie człowieka z jego świadomością. Nie wystarczy twierdzenie, że cywilizacje są śmiertelne. Badania introwersji i ekstrawersji, lęków, stresów, napięć nie mogą oczywiście być uznane za zbędne, ale do spraw tych nie można zawężyć badawczych horyzontów, które rozwiera właśnie marksowska teoria rozwoju.

Żyjemy w tej fazie rozwoju, w której technosfera wyprzedza socjosferę, co w dużej mierze wpływa na dekompozycję utrwalonych wzorców. Rozrost telekomunikacji, informacji idzie w parze ze stagnacją w rozumieniu sensu stosunków międzyludzkich. Rodzi to renesans metafizyki i religianctwa, próby opanowania chaosu rodzą medenizm i różne formy społecznej manipulacji. Rzeczywistość staje się pstrokata, ale nie harmonijna. Komputerowa inteligencja czyni nasze myślenie coraz bardziej jednobokim, nie zdajemy sobie nawet sprawy z tego, że rodzimy nową przyszłość nie wiedząc jaką. Aby uzyskać w tym względzie jakie takie rozpoznanie, konieczne staje się uchwycenie dominujących trendów rozwojowych. I właśnie w tym względzie dorobek marksowskiej teorii rozwoju może być wielce pomocny.

Zarzut utopijności pod adresem Marksa jest wręcz niepoważny. Marksowska teoria rozwoju społecznego nie jest ani doktryną ani religią, jest naukowym osiągnięciem, wiarą w możliwości poznawcze człowieka, znajduje potwierdzenie w realnym życiu. Między nihilistyczny sceptycyzm a działalność poznawczą wciska się hipoteza będąca domniemaniem opartym na empirycznych faktach, ale jeszcze niedostatecznie zweryfikowanych. Hipotezy przeradzają się w teorie, gdy udaje się uchwycić wewnętrzne powiązania faktów i rozwojowe trendy. Ten wymóg marksowska teoria spełnia. Retrospektywne spojrzenie i stwierdzenie określonych trendów rozwojowych daje podstawę do teoretycznych uogólnień i ekstrapolacji. Na tym też polega walor poznawczy poprawnej teorii. Obalić marksowską teorię mogłoby tylko stwierdzenie, że kapitalizm jest zjawiskiem odwiecznym, właściwym samej naturze ludzkiej, czemu jednak przeczy cała historia ludzkości - a więc zarzut utopijności jest demagogicznym chwytem, a nie naukową ripostą.

Marks stale walczył z "fałszywą świadomością" i woluntarystycznym utopizmem. Opowiadał się za autentyczną wiedzą, którą powinna być obdarzona władza. Nie socjotechniczne manipulacje, lecz upowszechnianie wiedzy powinno więc stanowić przesłanki skutecznego działania mającego stwarzać nowe jutro. Jeśli ten kardynalny wymóg nie jest spełniony winę ponosi nie teoria, lecz faktyczne rozmijanie się z nią, aż do opacznych skutków włącznie. Jeśli ktoś wbrew rozeznanym prawom fizyki będzie próbował "perpetum mobile", to nie będziemy przecież oskarżać uczonych fizyków.

Państwowo-biurokratyczny quasi-socjalizm, to nie wcielenie w życie marksowskiej teorii rozwoju, lecz wypaczenie, wynikające w równym stopniu z przyczyn obiektywnych jak i subiektywnych. Marks przestrzegał, że choćby proletariatus obalił nawet polityczne panowanie burżuazji, zwycięstwo jego będzie chwilowe... dopóki nie zostaną stworzone materialne warunki. W warunkach otoczenia kapitalistycznego budowanie socjalizmu okazało się niemożliwe. Upieranie się przy "budownictwie socjalizmu w jednym odosobnionym kraju" musiało prowadzić do wypaczeń. Kiedy powstały, w wyniku wojny, państwa satelickie było już, z przyczyn innej natury, za późno. Rola "realnego socjalizmu" sprowadziła się niestety do doświadczenia jak nie należy wprowadzać socjalizmu w życie - wbrew sugestiom płynącym z teorii Marksa. Nawet w odniesieniu do krajów kapitalistycznych stanowiących czołówkę, Marks wskazywał, że gdyby obalenie tam stosunków kapitalistycznych nastąpiło, to trzeba się liczyć z faktem - że nowe stosunki nie ukształtują się jak za skinięciem różdżki czarodziej-skiej, bo: *"Mamy tu do czynienia... z takim społeczeństwem, które rozwinęło się nie na własnej podstawie a przeciwnie z takim, które rozwinęło się dopiero ze społeczeństwa kapitalistycznego, które pod każdym względem - ekonomicznym, moralnym, umysłowym - nosi jeszcze na sobie znamiona starego społeczeństwa, z którego łona pochodzi."*⁴

Czy z faktu, że na zygzaku historycznym nastąpiła dewiacja od głównego trendu rozwojowego, należy uznać, że to o czym Marks pisał jest bezwartościowym anachronizmem? Jeśli porównać wypowiedzi Marksa z ubiegłego stulecia chociażby z wypowiedziami R. Dahrendorfa, pisarza raczej postępowego, który w wywiadzie dla włoskiego L'ESPRESSO z 22 marca 1992 uważa, że marksizm umarł definitywnie, bo upadł zarówno komunizm jak i socjaldemokracja i historia zaczyna się całkiem od nowa a nowa era jego zdaniem - będzie erą (a zaczątki jej już widzi), w której rola państwa zostanie zawężona do ustalania norm rynkowej konkurencji, by nie dopuścić do dzikiego wysyci-gu o zyski bez ochrony najsłabszych, i jednocześnie twierdzi, że demokracja i wolny rynek wytwarzają próżnię, która jakoś zostanie zapełniona przez nowy bieg historii, - to nicodparcie nasunie się pytanie, kto tu jest utopistą. Nie lepiej ma się sprawa z wypowiedzią K. Poppera, starego krytyka Marksa, który znowu w wywiadzie z 23 marca 1992 dla SPIEGLA twierdzi, że wprawdzie jesteśmy odpowiedzialni wobec przyszłości, ale nie możemy do niej kroczyć drogami

⁴ 4) vide: Działa zbrane, t.II, s.14, W-wa 1949

przeszłości, bo przeszłość jest dana, a przyszłość nie, jako że nie ma żadnych rzekomych praw rozwoju, zostaje więc nam tylko życzenia, by naszym wnukom dzieło się lepiej niż nam dzisiaj. Utopizm zostaje zastąpiony nihilizmem poznawczym.

Marks opowiadał się za próbą podjęcia rewindykacji humanizmu w warunkach rosnących sił wytwórczych i świadomości mas, Lenin podjął próbę rewindykacji humanizmu w sposób przyspieszony, w całkowicie niesprzyjających warunkach a Stalin próbę tę doprowadził do absurdu, by wyprzedzić czas uciekał się do nieludzkich akcji, reedukacji na siłę i zacierania przeciwieństw między teorią a praktyką drogą przymusowej indoktrynacji. Czy winę ponosi tu Marks? Doświadczenia stalinizmu są tragiczną lekcją historii, zmarnowany został rewolucyjny plan, ale nie został zniweczony obiektywny trend rozwojowy. N.Bierdiajew głosił ongiś, że: *"komunizm jest plagą pokutną za zapoznaną prawdę"*. Ch.Peguy, E.Monier czy Teilhard de Chardin a nawet Jan Paweł II stwierdzają, że kapitalizm stał się religią pieniędzy. W krytyce kapitalizmu Marks nie jest odosobniony, nawet w gronie wielu ze swych przeciwników, skąd więc tyle nienawiści? Zachowawcza skłonność, lęk przed burzliwymi zmianami? Tak czy inaczej - pozycja na kolanach przed kapitalizmem i obiektywnie opóźnianie przemian.

W konkluzji można stwierdzić, że ataki na Marksa są wywołane poza naukowymi motywami, magma jaką stała się aktualna rzeczywistość pocnie albo ostygąć, albo będzie zapowiedzią nowej erupcji; w jednym i drugim wypadku, choć nie wiadomo jakim kosztem, przywróci rangę poznawczym walorom marksowskiej teorii rozwoju społecznego. Im prędzej, tym lepiej. Błąkanie się bowiem bez busoli może sprowadzić tylko wydłużenie się mąk porodowych tego co z obecnego chaosu wyłonić się musi z racji obiektywnych tendencji rozwojowych.

9. Zakończenie

Jeśli zrezygnować z wkładu, jaki do dociekań nad rozwojem społecznym wniosła marksowska teoria rozwoju społecznego, zarówno w sensie metodologicznym jak i poznawczym, to volens nolens skazani będziemy na ciągłe dreptanie w miejscu, chociaż wiedzy w swej treści informacyjnej będzie coraz bardziej przybywać. Wynika stąd, że nie dyskryminując bynajmniej sfery faktograficznej, pora uczynić z nagromadzonych faktów odskocznię dla teorii rozwoju społecznego w jej nowoczesnym kształcie, czego oczywista Marksowi nie było dane, nie dla braku intelektualnych sił, ale w wyniku faktu, że w swojej epoce był samoistnym uczonym torującym dopiero drogę symbiozie rozległych

badań faktograficznych (przesiadywał przecież godzinami w bibliotekach w poszukiwaniu danych) a jako działacz umiał wykorzystywać swoje styki w życiu z intelektualną zdolnością tworzenia naukowych syntez, zdolnych ujawnić obiektywne prawidłowości rozwoju stosunków międzyludzkich przebijających sobie drogę przez historyczne przypadkowości.

Marks działacz przesłonił, w uprawianych przez jednych apologii a przez innych w nienawistnej dyfamacji - uczonego. Uczonego dysponującego jednak tylko taką bazą poznawczą, jaka było do dyspozycji w XIX wieku. Jakże jednak różni się od pesymizmu M.Heideggera, K.Jaspersa czy J.P.Sartre'a w widzeniu perspektyw stosunków międzyludzkich, widzeniu opartym nie na wizjach, lecz ujawnionych tendencjach rozwojowych. Marksowi w równym stopniu dalekie było wizjonerstwo jak i nihilizm poznawczy. Współcześni socjologowie orientacji niemarksowskiej czy antymarksowskiej zarzucający Marksovi w najlepszym wypadku utopizm, sami brną - choć są uzbrojeni lepiej od Marksa w fakty, których dostarczyło im nowe stulecie - w szczegółach, nie umiając nieporadnie wyciągać poznawczych wniosków z istotnych szczegółów. Socjologowie współcześnie chętnie operują unikami, zasłaniając się argumentem, że nie do nich a do filozofów należy odpowiedź dokąd zmierza ludzkość.

Warto w tym miejscu może przypomnieć wypowiedzi Sartra, który w swych publikacjach z lat 50-tych w "*Temps modernes*" wysoko oceniał wkład Marksa (nie wchodzimy tu w zagadnienie na ile mariaż egzystencjalizmu z Marksem mógł mieć szanse powodzenia), kiedy pisał na temat świadomości rewolucyjnej. Akcentował tu, że świadomość rewolucyjna nie rodzi się spontanicznie z samej sytuacji, sytuacja musi się sprzęgnąć z projekcją uświadamiającą, w tych latach Sartre nie wahał się stwierdzić, że marksizm jest punktem odniesienia dla całej kultury. A jest to znamienne, bo przecież wiadomo, że sartrowski egzystencjalizm, śladem N.Bierdiajewa, L.Szestowa czy Dostojewskiego widział świat jako coś niepoznawalnego, rzeczywistość jako chaos i głosił bezsens ludzkiej egzystencji. Jaką więc siłą musiała mieć argumentacja Marksa, gdy się z nią, późno bo późno, zaznajomił. Droga współczesniejszego, krytycznego i humanistycznego marksizmu nie jest zamknięta i rację ma Jürgen Kuczynski gdy swemu esejowi wydanemu w tym roku (1992) nadał znamienity tytuł "*Asche für Phenix*" (Z popiołów odrodzi się Feniks) Marksistowska teoria rozwoju społecznego nie stała się bynajmniej martwą literą, wzbogaconą dorobkiem nawet jej przeciwników (gdy idzie o nagromadzone nowe fakty)

SEWERYN ŻURAWICKI

może i chyba będzie stanowić zaczątek nowego myślenia pod hasłem: *"ze starym Marksem ku nowym problemom!"*

Wiesław Mysłek

NA DRODZE DO PAŃSTWA WYZNANIOWEGO

Obawy przed "państwem wyznaniowym" we współczesnej polskiej publicystyce nie mają odpowiednika w przeszłości, bowiem nawet w czasach Druhej Rzeczypospolitej wprawdzie siły demokratyczne krytykowały rosnące uprzywilejowanie Kościoła rzymskokatolickiego w życiu państwowym, ale nie domniemywano, aby dyspozycja państwem przeszła w ręce kościelne. Kategoria "państwa wyznaniowego" zaś oznacza nie tylko przesylenie życia państwowego ideologią określonej konfesji, ale i przechodzenie dyspozycji wieloma obszarami życia państwowego do władz kościelnych. Oczywiście, różni się ono od państwa teokratycznego, bezpośrednio rządzonego przez duchowieństwo, oznacza jednak taki układ stosunków, w którym przedstawiciele Kościoła stają się ostateczną wyrocznią w zasadniczych sprawach normujących życie państwowe i są ostatecznym arbitrem spraw spomych. Taki stan rzeczy zaczyna się stopniowo u nas krystalizować. Ujawniło się to w np. postulatcie Prymasa Polski skierowanym do Marszałka Sejmu, aby na mocy niektórych ustaw sejmowych wprowadzić prawny obowiązek przestrzegania "wartości chrześcijańskich". W tym układzie strona kościelna staje się nadrzędna wobec strony państwowej, o ile ta ostatnia honoruje żądania kościelne. A obecnie stan taki nie należy do rzadkości. Nie można się więc dziwić, iż ze strony publicystyki reprezentującej siły zainteresowane w utrzymaniu autonomii świeckich obszarów życia publicznego podnoszą się głosy ostrzegawcze. Wkrótce mogą bić na alarm.

Doświadczenia minionych dziesięcioleci uświadczają możliwe zaniepokojenie przed kościelnymi aspiracjami do dominującej roli kleru poza Kościołem. Powszechnie sądzono, że to Kościół zagraża autonomii życia świeckiego, lecz instytucje świeckie, ściślej - państwowe, zagrażają autonomii Kościoła. Taką opinię utrwaliły praktyki okresu zwanego powszechnie "stalinowskim", gdy nie tylko eliminowano wpływy kościelne na życie publiczne, ale dążono do podporządkowania i Kościoła, w tym działalności religijnej, polityce państwowej. Religia miała być wprzężona w budowę systemu. Zamyśl ten zrealizowany został fragmentarycznie poprzez powołanie do życia ugrupowań katolików świeckich, deklarujących prosocjalistyczne zaangażowanie i tzw. ruch księży-patriotów. Nie powiodło się to w odniesieniu do wyższej hierarchii kościelnej, mimo nacisków w postaci odosobnienia części biskupów i pozbawienia ich warunków kierowania diecezjami. Od roku 1956 polityka ta

załamana się. Dochodziło wprawdzie w następnych dziesięcioleciach do współdziałania władz kościelnych i państwowych, ale w wąskich dziedzinach i na zasadzie układu partnerskiego, co podkreślało suwerenność Kościoła. Jednocześnie wiele przejawów życia religijnego uzyskało status oficjalnie przez państwo uznanych. Do nich zaliczyć można np. katechizacje, zorganizowaną w okresie po 1961 r. w różnych latach w około 22-24 tysiącach punktów katechetycznych. Liberalizacja polityki państwowej w odniesieniu do Kościoła zaznaczyła się zwłaszcza w tzw. okresie "gierkowskim", gdy państwo poszukiwało moralnego wsparcia ze strony Kościoła i deklarowało współdziałanie dla wspólnego dobra narodu.

Kościół uzyskał więc na długo przed wyborem na tron papieski Karola Wojtyły i jeszcze przed sierpniowym zwrotem w r.1980 taką pozycję w państwie, jakiej nie zdołał uzyskać w żadnym innym kraju socjalistycznym. To znaczy pełną wolność na własnym terytorium i uznanie dla jego aspiracji do oddziaływania na bieg wydarzeń poza Kościołem.

Skutki liberalizacji państwowej polityki w stosunku do Kościoła miały mimo to charakter ograniczony z powodów obiektywnych. Konstytucyjna zasada rozdziału instytucji wyznaniowych od państwowych działała w Polsce inaczej, niż to miało miejsce w krajach zachodnich demokracji parlamentarnych. Po prostu proces upaństwowienia życia publicznego zawęził ogromnie sfery prywatnych inicjatyw, a właśnie tu w przeszłości najczęściej Kościół przejawiał swą pozareligijną aktywność. Upaństwowione niemal całkowicie szkolnictwo, służba zdrowia, placówki kulturalne, działalność wydawnicza, ośrodki rekreacyjne i wiele innych - w myśl zasady rozdziału Kościoła od państwa - były dla Kościoła zamknięte. Oczywiście, wyjątki potwierdzały regułę. Istniało kilkanaście prywatnych szkół katolickich, formalnie funkcjonowało duszpasterstwo wojskowe, duszpasterstwo w placówkach penitencjarnych i w służbie zdrowia, w szpitalach, lecz te wyspy formalnie uznanej kościelnej obecności w życiu publicznym niemal do końca lat osiemdziesiątych gniły w morzu świeckości.

Zasadniczy zwrot w aktywizacji kościelnej w życiu publicznym dostrzec można było już w okresie stanu wojennego, a co więcej - w dużej mierze pod wpływem stanu wojennego. Kolejny polski fenomen, bez odpowiednika w którymkolwiek z pozostałych krajów socjalistycznych, wyrażał się w tym, iż to nie Kościół wkraczał na autonomiczny wobec niego obszar życia publicznego, lecz znaczne obszary tego życia przenosiły się do Kościoła. Znaczna część środowisk twórczych, bojkotując oficjalne struktury życia kulturalnego, szukała dla siebie miejsca w obrębie kościelnego i azylu i mecenatu.

Został stworzony precedens, który inaczej zaowocował w tamtych latach, inaczej zaś owocuje obecnie. Kościół przyznając wielu twórcom prawo azylu,

NA DRODZE DO PAŃSTWA WYZNANIOWEGO

chroniąc ich siłą własnej suwerenności przed ingerencją z zewnątrz i dostarczając środków materialnych - uzyskiwał rosnący wpływ na kierunek działań, które z samej istoty miały świecki charakter. Obecne trudności środowisk kulturotwórczych a zwłaszcza opiniotwórczych w ich relacjach z Kościołem są konsekwencją tego paternalizmu i - w następstwie - nadrzędności decydentów kościelnych w stosunku do środowisk świeckich. *Kościół tamtych lat* - pisał Adam Michnik - *miał twarz przyjaciela i partnera dialogu. A teraz: Episkopat przemówił językiem twardych żądań a na krytyczne uwagi odpowiedział językiem wojny religijnej, krucjaty*¹. Według A. Michnika, Kościół zawarł z elitami sojusz antytotalitarny. Z pewnością dla ówczesnej opozycji Kościół jawił się głównie jako ostoja wolności. Zacierał się obraz Kościoła integrystycznego, dążącego do ekspansji. Tymczasem, jak się okazało - władze kościelne, zgodnie z ich doktryną społeczną, nigdy nie wyrzekły się kształtowania stosunków w środowisku świeckim i to kształtowania w stylu odległym od otwartości wielu dokumentów II Soboru Watykańskiego. To także polska specyfika.

Podkreśliłem wyżej, że Kościół w latach siedemdziesiątych a jeszcze bardziej w drugiej połowie lat osiemdziesiątych uzyskiwał wewnątrz Kościoła absolutną autonomię. Polska Ludowa pozostawiła w spadku dla Trzeciej Rzeczypospolitej tzw. ustawy majowe z 1989 roku regulujące w Polsce stosunki wyznaniowe.² Są to podobnie, jak wiele zjawisk wyżej opisanych, dokumenty precedensowe. W przeszłości państwo zawsze usiłowało stworzyć dla stosunków wyznaniowych takie ramy prawne, które pozwalały mu zachować przynajmniej minimum wpływu na działalność kościelną. Taki np. charakter miał konkordat polski z 1925 roku. Na jego podstawie państwo na przykład miało prawo sprzeciwu wobec propozycji nominacji na stanowiska administratorów parafii czy diecezji. Miało wpływ również na wiele innych obszarów działalności Kościoła. Natomiast ustawy majowe z 1989 roku pozostawiają władzom kościelnym w tych dziedzinach absolutnie wolną rękę - zobowiązując je jedynie do informowania administracji państwowej o podejmowanych decyzjach. Nie sądzę, aby gdziekolwiek w świecie Kościół mógł uzyskać pełniejsze wyzwolenie spod państwowego nadzoru. Jednakże w warunkach Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej nie oznaczało to jeszcze przejścia Kościoła na teren życia publicznego, bowiem pozostawało ono nadal w gestii państwa. Świeckość życia publicznego, utrwalana przez kilka dziesięcioleci codzienną praktyką, stanowiła w najszerszym odczuciu coś naturalnego, była normą zachowań, której nie powimmo się naruszać. W jej ramach, na gruncie jej zasad

¹ *Gazeta Wyborcza*, nr 263/1992 r.

² Por.: Ustawa z 17 maja 1989 r. o stosunku Państwa do Kościoła katolickiego w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Dz.U.1989, nr 29, poz.154

kształtowała się praktyka wyznaniowej i świątopoglądowej obywatelskiej tolerancji. Dla bardzo wielu środowisk świeckość stała się wartością, której należy bronić. Współcześnie, gdy zagrożenie to przekształca się z teoretycznego w jak najbardziej realne, rodzi się również zrozumienie, że nie ma demokracji bez świeckości, która jedynie jest w stanie łączyć ludzi o różnych przekonaniach nie wynosząc jednych, a dyskryminując innych.

Obecnie, relacje między tym co świeckie a tym co konfesyjne charakteryzują się innymi niż przed 1989 rokiem realiami. Do maja 1989 roku został wyczerpany program rewindykacji Kościoła w zakresie wewnątrzkościelnym. Przy tym, nie tylko rewindykowano dawne przywileje, ale i uzyskiwano nowe, głównie przywilej absolutnej wolności od państwowej ingerencji w jakiegokolwiek sprawy wewnątrzkościelne.

Obecnie, roszczenia Kościoła obejmują aspiracje do panowania a przynajmniej do decydującego wpływu na obszary w stosunku do Kościoła zewnętrzne a adresatem kościelnych postulatów będą w pierwszym rzędzie ośrodki władzy, zarówno ustawodawczej jak i wykonawczej, niezależnie od ich ideologicznej "barwy". Przemiany, których jesteśmy świadkami wskazują, iż mogą to być rządy liberalne, bądź "ideologiczne" - to jest nacjonalistyczno-klerykalne i chadeckie.

Po zmianach systemowych, w warunkach nieustannego prywatyzowania i "urynkowienia" życia publicznego Kościół może - w tym stopniu, w jakim pozwoli mu na to środki materialne - opanowywać takie obszary jak kultura, oświata, nauka, działalność społeczna - rozbudowując własną sieć odpowiednich placówek i instytucji. Może to uczynić tak, jak czynią to różne instytucje i organizacje, działające na podobnych, prywatnych zasadach. Wiadomo jednak, że dopływ środków materialnych do Kościoła poważnie się zmniejszył i że obciążenia z powodu wcześniejszego "przeinwestowania" (budowa wielu obiektów sakralnych i innych) ograniczają obecnie dynamikę rozwoju Kościoła poza Kościołem. W przeszłości władze kościelne na rosnącej fali ofiarności wiernych, wzmoczonej z różnych powodów oraz na fali znacznej pomocy materialnej z zagranicy liczyły na utrwalenie tego stanu. Tymczasem obecnie wskazane źródła materialne stopniowo wysychają. Z jednej strony pogłębiające się ubóstwo społeczeństwa, z drugiej spadek zainteresowania Zachodu we wspieraniu Kościoła (dlatego, że odegrał już rolę, jakiej od niego oczekiwano, dzisiaj zaś polityka kościelna rodzi w krajach demokracji parlamentarnej potęgający się krytycyzm, odstręcza od polskich wzorów) powodują, że materialne fundamenty polityki Kościoła katolickiego w Polsce nieco skruszały.

W dążeniu do ekspansji na zewnątrz, w życie publiczne władze kościelne muszą więc orientować się na inne niż rynkowe rozwiązania, gdyż systemu

NA DRODZE DO PAŃSTWA WYZNANIOWEGO

prawnego przez działanie rynku Kościół podporządkować sobie nie może. Kształt systemu prawnego ma istotne znaczenie dla zewnętrznej działalności Kościoła. Jeśli polskie ustawodawstwo nie będzie regulowane przez zasady teologii moralnej, to zachowa i utrwali charakter świecki. Świecki w chwili obecnej oznacza równoznaczność z charakterem liberalnym, a wszystko wskazuje na to, że aktualne władze kościelne najbardziej obawiają się właśnie liberalizmu.

Założeniem polityki kościelnej wobec państwa jest stopniowe przekształcanie całokształtu systemu państwowego w duchu konfesyjnym, przekształcanie systemu prawnego na zgodny z teologią moralną, zmiany w szkolnictwie zapewniające religii dominującą rolę w procesie wychowania i nauczania (idea szkoły wyznaniowej), zredukowanie wolności w twórczości artystycznej i w jej upowszechnieniu do ram określonych dyktatem duchownych, sprowadzenie administracji państwowej do poziomu struktur spełniających rolę "świeckiego ramienia" Kościoła. Jest to już proces zaawansowany i znajduje odbicie nawet w zewnętrznych przejawach, np. w sposobie zachowania się przedstawicieli państwa wobec kleru. Trudno wyobrazić sobie na przykład, aby w czasach II Rzeczypospolitej premier prosił o przyjęcie przez prymasa. Było odwrotnie. Trudno wyobrazić sobie też, aby w czasie oficjalnych uroczystości świeckich witano dostojników kościelnych przed państwowymi. A obecnie z reguły tak właśnie się dzieje. Często czołobitność polityków wobec hierarchii kościelnej rodzi wrażenie stosunku wasalnego służb państwowych wobec kościelnych. To są tylko zewnętrzne przejawy skali uzależnień.

Różne fakty wskazują, iż rozwój wydarzeń zmierza w kierunku alternatywnych rozstrzygnięć: państwo wyznaniowe lub państwo świeckie. Tertium non datur. To, czy program budowy państwa konfesyjnego zostanie zrealizowany zależy wszakże od wielu czynników. Najpierw od tego, czy orientacja prokonfesyjna znajdzie dostateczne oparcie społeczne, czy raczej zderzy się z ruchem obrony zasady świeckiej suwerenności państwa. Od tego także, kto będzie w najbliższym czasie dysponował państwem, a więc czy siły prokonfesyjne, czy raczej autonomiczno-laickie. Od tego następnie jak będzie przyjmowany program konfesjonalizacji życia państwowego poza Polską, głównie w krajach zachodnich. Od tego wreszcie na ile program konfesjonalizacji zyska oparcie, a na ile napotka sprzeciw w samym Kościele, wśród duchowieństwa i wśród świeckich katolików.

Z wymienionych czynników, najważniejszy to charakter władzy i to, kto będzie jej dysponentem. Jeżeli dyspozycja państwa znajdować się będzie w rękach grup liberalnych, to bieg wydarzeń może prowadzić stopniowo do stanu, jaki charakteryzuje zachodnie demokracje parlamentarne.

Przedstawiona wyżej alternatywa znajduje swoje potwierdzenie w dziejach nowożytnych i najnowszych, to jest w okresie, gdy rodziła się i utrwalala formacja kapitalistyczna. I w tym okresie, podobnie jak wcześniej, każde państwo, każda władza państwowa dążyły do uzyskania pozycji nadrzędnej w stosunku do Kościoła. Jeśli zaś rządy nadawały wyznaniowe znamię zyciu państwowemu i publicznemu, to równocześnie strzegły suwerenności państwa na własnym terytorium. Przykładów jest wiele. W XIX wieku wiele państw określaných mianem "katolickich" akceptowało co prawda zasady wypracowane przez Kościół dla organizacji zycia publicznego i panującego w nim porządku prawno-moralnego, ale zarazem zapewniało sobie wpływ na najważniejsze problemy zycia kościelnego, w szczególności na obsadę władz kościelnych. I tak np. Austria, Hiszpania i Francja postęgiwały się ekskluzywą, to jest prawem wykluczania w trakcie konkławy niepożądanych kandydatów na papieski tron. Z prawa tego monarchie korzystały wielokrotnie. Ostatni raz weto w imieniu cesarza Austro-Węgier zgłosił na konkławę w 1903 roku krakowski biskup, kardynał J. Puzyna. Sprzeciwił się wyborowi profanckiego kardynała M. Rampolli i wskazał kandydaturę kardynała Sarto, który też został wybrany, przyjmując imię Piusa X³.

Mussolini po objęciu władzy we Włoszech nadzielił Kościół przywilejami większymi, niż to czyniły uprzednio rządy chadeckie. A jednocześnie rządy faszystowskie stosowały blokady i represje tam, gdzie Kościół chciał w zyciu publicznym odgrywać rolę samodzielną. Spośród państw faszystowskich tylko Portugalia Salazara nie budziła z tego stanowiska oporów Kościoła i zyskała sobie nawet w oficjalnej propagandzie kościelnej miano "idealnego państwa katolickiego".

I monarchie absolutne i państwa totalitarne (z wyjątkiem III Rzeszy) nadzielały Kościół przywilejami, ale jednocześnie uzależniały go od siebie. Były dla niego świeckim ramieniem a on wzajemnie pełnił rolę sakralnego ramienia świeckiej władzy.

Nic dziwnego, że dopóki nie powstało państwo socjalistyczne, kościelne krytyki wobec państw absolutystycznych i autorytarnych pojawiały się okazjonalnie, sporadycznie, rodziły się w sporach o konkretne sprawy i wraz z nimi wygasaly. Najostrzejszy przejaw takiej krytyki, to encyklika z 1937 roku "*Mitt brennender Sorge*" ogłoszona przez Piusa XI - traktująca o hitleryzmie. Jednakże nie kwestionowano w niej prawomocności hitlerowskiej władzy ani też sposobu sprawowania rządów, czy stosunków ekonomiczno społecznych. Pa-

³Z. Obertyński: *Kardynał Puzyna und sein Veto*. (w:) *Festschrift Franz Leidl*, 1971, z. III, s. 177 iin.; E. Komar: *Kardynał Puzyna (moje wspomnienia)*, Kraków, 1912, s. 86 iin.

NA DRODZE DO PAŃSTWA WYZNANIOWEGO

piez skoncentrował się na krytyce ideologii nazistowskiej, określonej w encyklice jako "neopogańska".

Dopiero państwo socjalistyczne zostało przez Kościół zakwestionowane we wszystkich przejawach jego działalności. Konflikt z tym państwem miał charakter trwały, stanowiska były biegunowe, co nie znaczy, iż nie dążono z obydwu stron do jakiegoś modus vivendi, do koegzystencji nie wykluczającej nawet współdziałanie w sprawach uznanych przez obydwie strony za skierowane na budowę zrębów wspólnego dobra społeczeństwa. Przeważały jednak konflikty i sprzeczności.

Inaczej kształtowały się stosunki Kościoła z państwem opartym na zasadach właściwych demokracji parlamentarnej, niezależnie od tego jakie tym państwem kierowały koalicje bądź pojedyncze partie - liberałów, konserwatystów, socjaldemokratów, chrześcijańskich demokratów itp. Współczesne państwo honoruje utrwaloną już praktyką dziesięcioleci strukturę władzy w państwie demokracji parlamentarnej. *"Nie da się rozstrzygnąć ogólnie, jaki jest najwłaściwszy ustrój państwa... - pisał Jan XXIII - (...) Niemniej jednak uważamy za zgodny z ludzką naturą taki ustrój, w którym działają trzy rodzaje władz, odpowiadające trzem głównym zadaniom władzy publicznej"*. Mimo tego uznania, Kościół obwarowuje je zastrzeżeniami, które przyznają mu pozycję nadrzędną w stosunku do władz świeckich. Jeżeli - pisał - Jan XXIII: *"...sprawiający władzę w państwie wydają prawa, względnie nakazują coś wbrew temu [duchownemu - W.M] porządkowi, a tym samym wbrew woli Bożej, to ani ustanowione w ten sposób prawa, ani udzielone kompetencje nie zobowiązują obywateli, gdyż >bardziej trzeba słuchać Boga niż ludzi<. Wtedy w rzeczywistości kończy się władza, a zaczyna potworne bezprawie."*⁴

W państwie demokracji parlamentarnej konflikty z Kościołem są permanentne, ponieważ państwo takie w swojej polityce honoruje wiele zasad liberalnych, z jakimi Kościół ciągle nie chce się pogodzić. Odnoszą się one do sfery porządku publicznego, do prawodawstwa, szkolnictwa, obyczajau, wolności sumienia.

Konflikt Kościoła z liberalizmem, pojmowanym zarówno jako ruch polityczny, jak i - szerzej - jako prąd umysłowy trwa od dawna. Jeszcze od czasu, gdy we Francji pojawił się humanistyczny libertynizm, prekursor liberalizmu. Apogeum protestu Kościoła przeciwko porządkom honorowanym przez liberalizm przypada na drugą połowę XIX wieku. W 1864 roku Pius IX ogłosił

⁴ *Pacem in terris*, n.67-68. Z kontekstu wynika, że chodzi o władzę ustawodawczą, wykonawczą i sądowniczą (por.n.69)

⁵ Tamże, n.51

wykaz błędów popełnionych, zwany "Syllabusem"⁶. Papież piętnował m.in. racjonalizm, socjalizm, komunizm, potępił zasadę mówiącą, że władcy świeccy ("Królowie i Książęta") są wyjęci spod jurysdykcji kościelnej, potępił prawo wolnego wyboru religii, odrzucał pogląd, że w konflikcie władzy świeckiej i kościelnej, ta pierwsza ma pierwszeństwo, "Syllabus" uznał za potępione poglądy, iż ustrój szkół publicznych podlega władzy państwowej i w ogóle potępił zasadę rozdziału Kościoła od Państwa, dalej potępił sądy głoszące, że prawa obyczajowe nie wymagają sankcji Bożej a nauka filozoficzna i moralna oraz prawodawstwo państwowe powinny uwolnić się od kościelnego autorytetu. "Syllabus" potępia zasadę oddzielenia sakramentu małżeństwa od umowy cywilnej oraz uznania przez państwo rozwodu, a także regułę, że między chrześcijanami małżeństwo może być zawarte tylko na gruncie umowy cywilnej. Odrzucono także prawo do publicznych praktyk religijnych wyznawcom innych religii. Kończy się "Syllabus" teżą potępiającą pogląd, że: *"Biskup Rzymski może i powinien pogodzić się i dostosować do postępu, liberalizmu i współczesnej cywilizacji"*.

Z czasem, w miarę jak ugruntowywało się przekonanie o anachronizmie wymienionych potępień, papicstwo stopniowo wycofywało się z nich, najczęściej bez oficjalnego weryfikowania wcześniejszego stanowiska. Częściowo nastąpiło to w dobie II Soboru Watykańskiego, gdy np. uznano autonomię "rzeczy ziemskich", co traktuje się powezcchnie jako przyznanie słuszności zasadzie rozdziału Kościoła od Państwa. Prawdą jest jednak, że wszędzie tam, gdzie katolicyzm zajmuje uprzywilejowane miejsce i gdzie ma szansę na to, aby stać się religią państwową nie spotyka się to ze strony Kościoła ze stanowiskiem negatywnym. Przeciwnie, wszędzie gdzie Kościół posiada możliwość dokonania wyłomu w świeckości życia publicznego, z reguły z możliwości tej korzysta. Zarówno w dobie Drugiej Rzeczypospolitej, jak i Trzeciej Rzeczypospolitej możemy znaleźć nie mało przykładów potwierdzających tę obserwację.

Poczynając od II Soboru Watykańskiego rozpoczął się proces intensywnego przystosowania Kościoła do współczesnej cywilizacji, co wyraża się w kościelnej afirmacji dla rozwoju i postępu. Jednak idee liberalizmu nadal traktowane są przez Kościół jako obce mu, sam zaś liberalizm jako ruch umysłowy, postzegany jest przez władze kościelne jako zjawisko groźne, gdyż prowadzi do rozwoju cywilizacji konsumpcyjnej, indywidualizmu, religijnego zubożenia i "zwyrodnienia obyczajów". Liberalizm jest groźny, gdyż ze swej istoty jest antymonopolistyczny w praktycznie wszystkich przejawach ludzkiego życia, podczas gdy Kościół dąży do wtłoczenia tego życia w ramy przez niego określone. Liberalizm, związany tradycyjnie z parlamentarną demokracją

⁶ Por. *Syllabus i jego pokłosie*. Wyd. ANS, 1988, s. 30-40

NA DRODZE DO PAŃSTWA WYZNANIOWEGO

stwarza wzory, które część katolików usiłuje przenieść na teren samego Kościoła, zdemokratyzować go, uwolnić od feudalnych obciążeń w sposobie sprawowania władzy wewnątrz Kościoła. Kontestacyjne ruchy w Kościele wyraźnic na to wskazują i nie dają się do końca spacyfikować. Trudno się dziwić, skoro obecnie autokratyzm kościelny pozostaje w Europie bodaj jedynym dysonansem na kontynencie, który przeżywa systemowe transformacje właśnie w kierunku utrwalenia się demokracji parlamentarnej ze wszystkimi jej następstwami.

* * *

W Polsce, koła kościelne pragną nadać taki kierunek transformacji ustrojowej, by uwieńczyć ją powstaniem państwa wyznaniowego i pełną konfesjonalizacją życia publicznego. Pełną, to znaczy taką, w której ośrodki kościelne będą miały decydujący wpływ na różne obszary życia publicznego,

Orientacja ta prowadzi do trwałego konfliktu z ugrupowaniami broniącymi świeckości państwa, rozdziału Państwa od Kościoła, wolności sumienia i światopoglądowego pluralizmu. Racje moralne są po stronie tych ugrupowań, gdyż nie dążą one do pozbawienia Kościoła czegokolwiek, a bronią tylko autonomii tego, co Kościół zamierza sobie podporządkować. Partie i ruchy prolaickie często różnią się programami politycznymi i społeczno-ekonomicznymi, ale zbliża je i prowadzi do współdziałania obrona laickości życia publicznego. Współdziałanie to zapewne będzie się utrzymywać i rozwijać w miarę tego, jak coraz bardziej będą eskalować zamachy na świeckość i coraz bardziej będą się potęgować zagrożenia demokracji.

Koła kościelne ze swej strony atakują siły prolaickie. Ich zwalczanie służy realizacji planu podboju obszarów pozakościelnych. Nie jest to tylko krytyka werbalna. Żąda się sankcji. Tak np. nie tylko krytykuje się prof. T. Zielińskiego - Rzecznika Praw Obywatelskich, ale i żąda pozbawienia go pełnionej funkcji. Chodzi o usunięcie poważnej bariery w realizacji ekspansji konfesyjnej w świecie laickim.

Równolegle podjęte zostały próby podważenia utrwalonych już w praktyce życia społecznego zasad wzajemnej tolerancji różnych wyznań i światopoglądów. W ubiegłych dziesięcioleciach właśnie z środowisk katolickich, w tym również kościelnych, wyszła idea uznania przez państwo zasady pluralizmu światopoglądowego, światopoglądowej demokracji i światopoglądowej neutralności państwa. Chodziło o otwarcie drogi do życia publicznego różnym ugrupowaniom wyznaniowym, politycznym i społecznym. Obecnie zasadę tę próbuje się zreinterpretować w taki sposób, aby jej odczytanie nie tylko nie przeszkadzało kościelnym dążeniom do dominacji światopoglądowej, lecz dążenia te wspierało. Wydawnictwo archidiecezji war-

szawskiej, dwutygodnik: "Przegląd Katolicki" napisał: "Dopóki pluralizm oznacza jedynie >wielość< światopoglądów, dopóty jest on pochwałą różnorodności, odzwierciedla bogactwo ludzkiej myśli. Ale jeżeli traktuje się go opacznie, >równoważność<, to nobilituje się jedynie mało znaczące światopoglądy, nie mające często do zaoferowania nic ponad krzykliwe hasła⁷". Mentalność "jedynych właścicieli prawdy" prowadzi do postawy pogardy wobec wszystkich inaczej myślących. Aby ich nie "nobilitować" trzeba dać im odczuć, że mogą się cieszyć, jeśli będą ledwie tolerowani i trzeba pozabawić ich mrzonek co do jakiegóś światopoglądowej równoprawności w życiu państwowym...

Dotychczasowe przejawy konfesjonalizacji życia publicznego wskazują na to, że jest to proces eskalujący. Jego realizacja polega na przechodzeniu od jednej kwestii do drugiej, opanowywaniu coraz to nowych dziedzin życia.

Przykładów dla zilustrowania tej opinii jest dużo. Bardzo ważne ze stanowiska Kościoła było wkroczenie na teren szkoły - po dwudziestu ośmiu latach nieobecności w tej instytucji, tj. od ustawy o rozwoju szkolnictwa z lipca 1961 r. Ważne to było z wielu powodów. Zwalniano w ten sposób pomieszczenia domów katechetycznych, a więc można je przeznaczyć na inne cele. Otwierano możliwość bezpośredniego wpływania na tok procesu nauczania w szkole publicznej. Stwarzano precedens, który ułatwiał wysuwanie analogicznych postulatów odnośnie innych obszarów życia publicznego.

Przypomnijmy, że w pierwszej fazie chodziło o ułożenie nauczania religii w szkole jako przedmiotu nadobowiązkowego. Zostało to wyegzekwowane rozporządzeniem ministerialnym, co - zdaniem licznych prawników - kłóciło się z konstytucyjną zasadą rozdzielenia Kościoła od Państwa. Mimo to, Trybunał Konstytucyjny, postawiony wobec faktu dokonanego, przyjął, wprawdzie niejednogłośnie, orzeczenie sankcjonujące nauczanie religii w szkole państwowej. Następną fazą, to wprowadzenie ocen z nauczania religii na świadectwa szkolne. Spotkało się to z ostrą krytyką społeczną, gdyż prowadzi do ujawnienia przekonań światopoglądowych w dokumentach funkcjonujących publicznie, a więc narusza zaradkę prywatności tych przekonań. Dalej. Wprowadzono do szkół praktyki religijne i to łącznie z zawieszaniem zajęć na okres kilkudniowych rekolekcji, przy czym często od wychowawców wymaga się kontroli obecności młodzieży w tych rekolekcjach. Głośna też była próba, podjęta wiosną 1992 roku wprowadzenia przez Ministerstwo Edukacji Narodowej obligatoryjnego wyboru między udziałem w lekcjach religii, albo w lekcjach etyki. Na marginesie: mimo, że w zaradzie wycofano się z tego pomysłu w wielu szkołach wcześniej wymagano od młodzieży deklaracji, a tam, gdzie z racji

⁷ "Przegląd Katolicki", 1993, nr 4., s. 7

NA DRODZE DO PAŃSTWA WYZNANIOWEGO

braku nauczycieli etyki prowadzenie tego przedmiotu było niemożliwe usiłowano nawet - w niektórych wypadkach - potraktować udział w nauce religii jako obowiązkowy. Stale rozszerza się więc zasięg kościelnej obecności w szkole publicznej i pogłębia proces uzależnienia szkoły od Kościoła.

Nie jest to bynajmniej proces zakończony. Można oczekiwać, że z czasem będą pojawiać się nowe postulaty, nowe żądania. Najprawdopodobniej odwoływać się one będą do kościelnego stanu posiadania na terenie szkoły państwowej w okresie międzywojennym.

Wprowadzenie Kościoła do szkoły przez wprowadzenie tam nauczania religii to pierwszy wielki krok. Kościoła w życie zewnętrzne, a ściślej w instytucje świeckie, pozostające na zewnątrz z Kościoła. Zrobiono wszakże już kolejne kroki. Podjęto walkę o nowelizację szeregu ustaw, która to nowelizacja umożliwiłaby Kościołowi ingerencję w prywatne, osobiste życie ludzi i wspieranie się w tym - prawem państwowym. Skrajnie restrykcyjny projekt ustawy antyaborcyjnej wyzwolił szeroki ruch protestu, gdyż bezwzględność projektu, rozszerzenie go praktycznie na zakaz stosowania środków antykoncepcyjnych, dowodzi skali zagrożeń, jakie rodzą się w środowiskach inspirujących się a często inspirowanych przez władze kościelne. Podobnie wprowadzenie do ustawy o telewizji i radiofonii artykułów zobowiązujących te środki przekazu, publiczne i prywatne, do przestrzegania "wartości chrześcijańskich" odczuwane jest powszechnie jako próba przejęcia nadzoru nad działalnością tych placówek przez Kościół. Ostatnio podjęto kroki na rzecz nowelizacji ustawodawstwa małżeńskiego w celu ograniczenia rozwodów i zastąpienia ich - separacją. I tu - jak można przypuszczać - mamy do czynienia zaledwie z pierwszą fazą kościelnej ekspansji.

Przeobrażanie ustawodawstwa tak, aby skorelować je z wymogami teologii moralnej w jej polsko-episkopalnej wykładni logicznie prowadzi do zmiany charakteru państwowości i innego niż ma to miejsce obecnie, określenia roli religii, wyznania katolickiego oraz samej instytucji Kościoła. Już obecnie pojawiają się inicjatywy, które po ich zrealizowaniu, rozbudowane o nowe projekty, mogą w konsekwencji zamknąć się żądaniem, by religię katolicką uznać za religię państwową i przyznać jej uprzywilejowane miejsce w życiu publicznym i państwowym. Wprowadzenie kryzyza do sali posiedzeń Senatu, dyskusje o analogicznej inicjatywie odnośnie Sejmu, projekty zbudowania w obrębie parlamentu kaplicy rzymskokatolickiej, projekty uzupełnienia słów "Honor i Ojczyzna" na sztandarach wojskowych słowem "Bóg", postawionym oczywiście przed tamtymi i wiele innych kroków, to nic innego jak stwarzanie czasłkowych faktów dokonanych, których suma - nawet gdyby nie przyjęto w Konstytucji formalnego zapisu o katolicyzmie jako religii państwowej - de facto miejsce takiej religii katolickiej zapewni.

Faktom dokonanym towarzyszy wspierająca je kampania ideologiczna. W organie kurii metropolitalnej warszawskiej - "Przeglądzie Katolickim", ks. W. Piwowarski podkreślał: "...jestem przeciwny jakimś założeniom w konstytucji o rozdziale Kościoła od Państwa"⁸. Zarazem, chociaż przyznaje, że "zgodnie ze społecznym nauczaniem Kościoła państwo musi być światopoglądowo neutralne" to jednocześnie osłabia wymowę tej zasady twierdząc, iż "...państwo nie może być - to trzeba mocno podkreślić - neutralne, gdy chodzi o wartości podstawowe, wtedy podważa bowiem własny byt i własne trwanie. (...) Państwo musi być zaangażowane, gdy chodzi o wartości podstawowe. A że te wartości są chrześcijańskie, to nikt temu nie jest winien"⁹.

Z przytoczonego artykułu wynika, że Kościół jest właścicielem "wartości podstawowych", jest zarazem ich dawcą, i że poza nim istniejący świat wartości nie przedstawia pozytywnego znaczenia, a więc musi się podporządkować kościelnej dominacji. Na tej drodze łatwo zanegować wszystko wartościowe, co pozostaje poza obrębem chrześcijaństwa już tylko dlatego, że powstaje właśnie poza nim. I tak twórczość artystyczna luminarzy kultury, twórczość naukowa luminarzy nauki, idee moralne prof. T. Kotarbińskiego (etyka niezależna), słowem olbrzymi obszar działania ludzi nie związanych z Kościołem staje w obliczu zderzenia z państwem, które musi być zaangażowane, gdy chodzi o wartości chrześcijańskie. Takie zaangażowanie państwa stanowi przeciwieństwo idei państwa świeckiego, a więc właśnie światopoglądowo neutralnego.

Wszystko wskazuje, że dla Kościoła polskiego punktem odniesienia w programowaniu jego wejścia w życie publiczne jest stan z okresu Drugiej Rzeczypospolitej. I to zarówno ten zrealizowany jak i wówczas zaledwie postulowany. Godzi się więc ów stan przypomnieć.

Kluczowe znaczenie dla Kościoła, ale i dla władz państwowych, miało określenie miejsca Kościoła w państwie. Wraz z odrodzeniem państwa siły demokratyczne domagały się ustawowego rozdziału Kościoła od państwa. Prawica zaś wysuwała żądanie uznania religii katolickiej za państwową - ściślej: panującą. Ostatecznie przyjęto formułę kompromisową. Konstytucja marcowa z 1921 roku a w ślad za nią Konstytucja kwietniowa z 1935 roku przyjęły artykuł, który mówił, iż wyznanie rzymskokatolickie zajmuje naczelne miejsce wśród równouprawnionych wyznań¹⁰. Ksiądz Jan Urban, czołowy publicysta teoretycznego organu Towarzystwa Jezusowego "Przeglądu Powszechnego", pisał w związku z uchwaleniem konstytucji marcowej, że z

⁸ "Przegląd Katolicki", nr 4/1993

⁹ Tamże

¹⁰ Por. art. 114 Konstytucji marcowej z 1921 roku

katolickiego stanowiska można uchwalonej konstytucji zarzucić wiele. Nie wypowiedziała się w niej Rzeczpospolita jako państwo katolickie"¹¹. Nie wypowiedziała się tak konstytucja, to fakt, lecz w wielu artykułach gwarantowała Kościołowi przywileje w życiu publicznym, w tym przymusowy udział młodzieży szkolnej w lekcjach religii. Mimo to, środowiska kościelne, czy też prokościelne do końca okresu międzywojennego prowadziły kampanię na rzecz konstytucyjnego ustanowienia religii katolickiej jako państwowej i panującej. Między innymi we wrześniu 1936 roku, w trakcie Zjazdu Skargowskiego (z okazji czterechsetnej rocznicy urodzin Piotra Skargi) w programowym referacie ks. Jana Rostworowskiego z Towarzystwa Jezusowego wśród żądań wymieniono: "...ustawowe uznanie katolicyzmu za religię panującą i państwową w Polsce"¹². Zrozumiałe, że tak jak koła kościelne dążyły do pożądaných przez nie zmian konstytucyjnych, tak ugrupowania demokratyczne stale się temu przeciwstawiały i próbowały forsować ustawy ograniczające wpływy Kościoła na życie publiczne. Zrozumiałe również, że właśnie te środowiska piętnowane były gwałtownie przez hierarchię kościelną. I tak np. arcybiskup Józef Teodorowicz, ściśle powiązany ze Stronnictwem Narodowej Demokracji w trakcie zjazdu biskupów w 1921 roku na Wawelu mówił w sposób, który obserwatorom dzisiejszej sceny politycznej wydać się musi znajomy: *"Poza Kościołem nie odnajdziesz dziś w świecie zdrowego zmysłu władzy [...] ile razy polityka narzędziem się staje apostazji narodu od Boga, ilekroć razy polityka swoim autorytetem zatwierdzi i do zasady prawa wyniesie to, co jest złe i niemoralne, tylekroć razy my ją pozwiemy przed sąd i trybunał Pański [...] nie wy ustawodawcy, nie wy politycy bogami jesteście narodu i Polski, wyście sługami jej tylko; [...] są też i tacy, którzy nie chcą, ażeby nad Polską Chrystus panował i rządził i dlatego spiskują przeciwko Episkopatowi polskiemu"*¹³. Publikacji w czasopismach kościelnych i w innych wydawnictwach katolickich postulujących wprowadzenie do konstytucji artykułu, który zapewniałby Kościołowi katolickiemu pozycję panującą było setki a może i więcej. Wówczas nie przyniosły one pożądaných przez Kościół rezultatów, ale pamiętajmy, że obecnie w parlamencie jest zdecydowanie korzystniejszy dla środowisk kościelnych układzie sił.

¹¹ Por.: J.Urban: *Nasza konstytucja a program katolicki*. (w:) *Przegląd Powszechny*, 1921, t.149-150, s.242

¹² *Miesięcznik Kościelny*, 1936, nr 10

¹³ J.Teodorowicz: *Dzisiejszy stosunek Episkopatu polskiego do Chrystusa i narodu*. Mowa wygłoszona w katedrze na Wawelu w czasie Zjazdu biskupów dnia 29 maja 1921 r. Kraków, 1921, s.21 iin.

Obszarem dla Kościoła niezwyklej wagi był i pozostaje system oświaty. W okresie międzywojennym nauka religii była mocą art.120 Konstytucji marcowej, przeniesionego następnie do konstytucji z 1935 roku obowiązkowa w szkole państwowej stopnia podstawowego (powszechnej) i średniego. Po przewrocie majowym w 1926 roku, rząd premiera Bartla rozszerzył przywileje Kościoła w szkole. Jako minister wyznań religijnych i oświecenia publicznego (w latach 1926-1927) Kazimierz Bartel wydał rozporządzenie, mocą którego wprowadzono do szkół obowiązkowe praktyki religijne dla młodzieży szkolnej i zobowiązano do udziału w nich nauczycielstwo. Prefektom powierzono nadzór nad moralnością nauczycieli. Na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych nastąpiły drobne próby ograniczenia wpływów Kościoła na szkołę, ale od połowy lat trzydziestych ponownie wpływy te ugruntowywano przepisami państwowymi. Najbardziej znany był okólnik ministra wyznań religijnych i oświecenia publicznego Wojciecha Świętosławskiego, w którym zarządzono korelację nauczania szkolnego z nauczaniem religii. Oznaczało to w praktyce, iż żaden przedmiot nie mógł być nauczany tak, aby kłóciło się to z tezami nauczania religijnego. Jeśli przyporanicie ówczesne stanowisko Kościoła wobec ewolucjonizmu, w ogóle wobec nauki (na "rehabilitację" Galileusza trzeba jeszcze było czekać ponad pół wieku), to można ocenić jak fatalne następstwa zapowiadał ten okólnik.

Kościół chciał więcej. Domagał się przekształcenia szkoły państwowej z międzywyznaniowej na wyznaniową, to znaczy takiego podziału szkolnictwa, aby w danej szkole uczyła się wyłącznie młodzież katolicka, grono nauczycielskie składało się z katolików, podręczniki były pisane zgodnie z wymogami Kościoła, nauczanie religii zajmowało najważniejsze miejsce w procesie całego kształcenia młodzieży. Szkoła wyznaniowa prowadziłaby automatycznie do wyznaniowej segregacji społeczeństwa. A było to społeczeństwo znacznie bardziej zróżnicowane pod względem wyznaniowym niż współczesne. W okresie międzywojennym obok wyznania rzymskokatolickiego (z kilkoma obrządkami) było kilkumilionowe wyznanie mojżeszowe i kilkumilionowe wyznanie prawosławne, wreszcie kilkusettyśięczne Kościoły protestanckie. Próby przeciwdziałania dezintegracji na tle różnic narodowych i wyznaniowych szkoła wyznaniowa dokładnie by zniszczyła. Na postulatach kościelnych w tym zakresie zaważył w dużej mierze antysemityzm przeważającej części środowisk kościelnych i katolickich. I tak np. *"Mały Dziennik"* pisał, że jeśli jeszcze nie można wprowadzić katolickiej szkoły wyznaniowej, to przynajmniej należy dążyć do oddzielenia młodzieży żydowskiej od polskiej, i wprowadzić chrześcijańską szkołę wyznaniową¹⁴. Postulat szkoły wyznaniowej nie został jednak zrealizowany.

¹⁴ Por.: *Mały Dziennik*, 1937, nr 197, artykuł *O szkole*

NA DRODZE DO PAŃSTWA WYZNANIOWEGO

Kolejna sprawa, w którą Kościół był niezmiernie zaangażowany - to kodyfikacja ustawodawstwa małżeńskiego. Po roku 1918 w państwie polskim obowiązywało ustawodawstwo z czasów zaborów. Było ono rozmaite. W zaborze rosyjskim ustawodawstwo małżeńskie przewidywało tylko śluby kościelne a w zaborze pruskim obowiązywały śluby cywilne. W końcu lat dwudziestych powołana została specjalna komisja pod przewodnictwem prof. Lutostańskiego, która przygotowała projekt kodyfikacji ustawodawstwa małżeńskiego wprowadzający na terenie całego państwa jednolite ustawodawstwo małżeńskie uznające związek cywilny. Projekt ten spotkał się z ogromną kontrakcją Kościoła. Akcja protestu, organizowana po parafiach objęła setki tysięcy parafian i w rezultacie utrzymany został status quo ante. Równocześnie Kościół wyjątkowo z żądaniem kodyfikacji tego ustawodawstwa w duchu kościelnym, to jest za traktowaniem jedynie ślubu kościelnego jako obowiązującego wobec prawa. Kodyfikacja ta miała oddać jurysdykcję w sprawach dotyczących istnienia i istoty umowy i węzła małżeńskiego w ręce władz kościelnych. Cóż jednak uczynić z bezwyznaniowcami, skoro ustawodawstwo to miało przybrać jednolicie wyznaniowy charakter? Działacz Akcji Katolickiej, mecenas Ludwik Domański pisał w swojej monografii poświęconej małżeństwu w ten sposób: *"Dla garstki(...) bezwyznaniowców i bezbożników, zwalczających wszelką religię, małżeństwa cywilne nie mogą być dopuszczone, bo byłyby gorszym przykładem dla ludzi wierzących. Małżeństwa cywilne dla osób nie przyznających się do żadnego wyznania powinny być bezwzględnie wyłączone, gdyż związków i gmin bezwyznaniowców i bezbożników Polska uznać nie może".*¹⁵

Kościół głosił, że katolickie ustawodawstwo małżeńskie utrudnia rozwody, zapewnia nierozzerwalność związku sakramentalnego. Ale - jak widać - nie tylko utrudniało rozwody, lecz i zawieranie związku małżeńskiego przez osoby z Kościołem nie związane. To także forma przymusu na rzecz wyznania.

W dziedzinie stosunków prawnych wyżej charakteryzowane obszary życia publicznego były dla Kościoła najważniejsze, ale nie wyczerpywały jego aspiracji. Ujawniały się one, co do w formie innych postulatów prawnych, czy też w konkretnych działaniach. Można na przykład przypomnieć, że znaczny wpływ Kościoła na decyzje z lat trzydziestych rozwiązujące stowarzyszenia wolnoświeceniowe i masonskie. Przyczyniła się do tego zmasowana kampania propagandowa czasopism katolickich. Można też przypomnieć swoistą interpretację prawa, która doprowadziła do stawiania przed sądami mnóstwo ludzi w procesach o tzw. bluźnierstwo. Można przypomnieć wielką kampanie kościelną przeciwko ubojowi rytualnemu i przeciwko wytwarzaniu i handlowaniu dewocjonaliami przez środowiska żydowskie. Można wskazać na wiele

¹⁵ L. Domański: *O małżeństwie*, Warszawa, 1932, s.151 iin.

prób blokowania takich zmian w przepisach prawnych, które zapewniłyby stabilizację drobnym grupom wyznaniowym, zwanym przez Kościół sektami.

Rodzi się pytanie, czy istnieją granice dla rozszerzeń kościelnych?

Wiele wskazuje, że aspiracje swoje Kościół zaspokoi wówczas, gdy będzie faktycznie rządził nie tylko w sferze wyznaniowej lecz i politycznej, bowierni chrześcijańska (katolicka) idea prawa opiera się na tezie - jak pisał jezuita M. Morawski - że *"...Bóg jest Panem, prawodawcą zakonu natury; ze wszelka władza i wszelki prawo z tego zakonu pochodzić muszą i do niego się stosować"*.¹⁶

Być może dzisiaj w świecie Kościół niekoniecznie upiera się przy tak kategorycznie formułowanej teorii prawa. II Sobór Watykański uznając autonomię rzeczy ziemskich a więc i rozdział Kościoła od państwa stworzył podwaliny do nowej interpretacji miejsca Kościoła w życiu pozakościelnym. Jednakże obserwacja kościelnej eskalacji żądań w Polsce prowadzi do wniosku, że stanowisko Kościoła wobec państwa i w ogóle wobec życia świeckiego bardziej determinowane jest tradycją okresu Drugiej Rzeczypospolitej i charakteryzowanego wyżej *"Syllabusu"* niż dezyderatami II Soboru Watykańskiego.

¹⁶ M. Morawski: *Podstawy etyki i prawa*, Kraków, 1930, wyd. IV, s. 183

Adam Łopatka

PRAWA CZŁOWIEKA - JAKIE DLA KOGO?

1. Status praw człowieka i podstawowych wolności

Każde prawo odnosi się bezpośrednio lub pośrednio do człowieka. I w tym sensie, każde prawo może być uważane za prawo człowieka.

Przyjęto jednak, poczynając od XVIII wieku, uważać za prawa człowieka i podstawowe wolności jedynie historycznie kształtujący się zespół fundamentalnych praw przysługujących człowiekowi bez względu na czas, miejsce, kolor skóry, rasę, pochodzenie społeczne, narodowość, płeć, wykształcenie, poglądy polityczne lub inne, wyznawaną religię lub przekonania. Uważa się, że prawa te są człowiekowi przyrodzone i powinny być uznawane i szanowane przez państwa i społeczność międzynarodową. Źródłem wszystkich tych praw jest godność człowieka. Uważa się, że każdy człowiek, z racji tego, że jest istotą ludzką, ma taką samą godność, jak każdy inny człowiek. Nie gra tu roli ani jego wiek, ani stan zdrowia, ani miejsce w życiu społecznym. Prawa człowieka i podstawowe wolności są wywyższone w stosunku do wszelkich innych praw ustanowionych lub uznawanych przez państwo lub społeczność międzynarodową.

Prawa człowieka i podstawowe wolności narastają historycznie. W sposób znaczący społecznie pojawiły się w XVIII wieku w związku z rewolucją i walką o niepodległość Stanów Zjednoczonych. Były to prawa o charakterze osobistym i politycznym. Było ich niewiele. W pierwszej połowie XX wieku ukształtowały się prawa o charakterze ekonomicznym, socjalnym i kulturalnym. Nastąpiło to za sprawą rewolucji socjalistycznej w Rosji i rewolucji ludowej w Meksyku. Po II wojnie światowej ujawniła się potrzeba nowej kategorii praw człowieka i podstawowych wolności. Niektórzy nazywają je prawami solidarności ludzkiej¹. Zalicza się do nich takie prawa, jak: prawo do rozwoju, prawo do pokoju, prawo do wspólnego dziedzictwa ludzkości, prawo do pomocy humanitarnej. Prawa te są w procesie stawiania się zarówno w wymiarze krajowym, jak i międzynarodowym.

Podmiotem praw człowieka i podstawowych wolności są jednostki ludzkie. Ale są także prawa człowieka, których podmiotem są zbiorowości: naród, mniejszość etniczna, językowa, czy religijna. Są też prawa człowieka o charakterze mieszanym. Ich podmiotem są zarówno jednostki, jak i zbiorowości

¹ Por. K.Vasak: *Les différentes catégories des droits de l'homme*, w zbiorowej pracy pt. *Les dimensions universelles des droits de l'homme*, Bruxelles 1990, s. 302-303.

Do II wojny światowej prawa człowieka i podstawowe wolności były uznawane przez niektóre państwa i były wyślowione w deklaracjach lub konstytucjach państw jako podstawowe prawa obywateli. Ich szanowanie było tylko sprawą wewnętrzną państw. Powstanie ONZ i jej aktywność również na tym polu sprawiły, że dziś prawa człowieka i podstawowe wolności stały się także sprawą społeczności międzynarodowej, działającej poprzez ONZ i niektóre inne organizacje uniwersalne oraz przez niektóre organizacje regionalne.

Prawa człowieka i podstawowe wolności narodziły się jako koncepcja filozoficzna, ideologiczna i moralna. Nabrały znaczenia praktycznego, gdy państwa zaczęły je uznawać. Ich znaczenie praktycznie rośnie w miarę tego, jak uznaje je coraz więcej państw i społeczność międzynarodowa, jak stają się zasadniczą częścią obowiązującego porządku prawnego. Należy jednak odróżniać koncepcje i postulaty dotyczące praw człowieka, od samych tych praw i podstawowych wolności. W pełnym znaczeniu tego terminu prawami człowieka i podstawowymi wolnościami są tylko te prawa i wolności, które są uznane i szanowane przez państwo i przez społeczność międzynarodową. W wymiarze międzynarodowym mamy dziś jeden uniwersalny system praw człowieka i podstawowych wolności. Tworzą go prawa i wolności, które zostały uznane, ustanowione, a przynajmniej proklamowane przez Narody Zjednoczone lub przez uniwersalne organizacje międzynarodowe należące do systemu Narodów Zjednoczonych, jak np. Międzynarodowa Organizacja Pracy, UNESCO i niektóre inne. Dziś poszczególne państwa nie mogą dowolnie postępować z prawami człowieka i podstawowymi wolnościami. Prawa i wolności, jakie przyznają swoim obywatelom powinny być zgodne z uniwersalnie uznanymi prawami i wolnościami.

Mamy natomiast wiele koncepcji praw człowieka i podstawowych wolności oraz wiele postulatów moralnych i filozoficznych, które wysławia się jako prawa człowieka. Na przykład, we wspomnianej powyżej książce K. Vasaka wyróżnia się takie koncepcje praw człowieka, jak: francuska, amerykańska, judaistyczna, chrześcijańska, anglikańska, islamska, buddyjska, hinduistyczna, afrykańska, socjalistyczna, masonska itp. Swoją doktrynę praw człowieka ma również Kościół rzymsko-katolicki.²

Mówiąc o prawach człowieka i podstawowych wolnościach zawsze musimy odróżniać, czy idzie nam o koncepcje i postulaty w dziedzinie praw człowieka, czy też o rzeczywiste prawa i wolności, tzn. takie, które są uznawane przez państwo i społeczność międzynarodową.

Prawa człowieka i podstawowe wolności zawsze były i nadal są przedmiotem walki, ścierania się poglądów, dążeń i interesów. Wokół nich ścierają się dążenia,

² Por. Franciszek J. Mazurek: *Prawa człowieka w nauczaniu społecznym Kościoła (Od papieża Leona XIII do papieża Jana Pawła II)*, Lublin 1991, Redakcja Wydawnictw KUL.

potrzeby i interesy jednostek i zbiorowości, interesy poszczególnych narodów i grup społecznych, klas i warstw społecznych, partii politycznych, kościołów i innych organizacji. Najszczerzej walczą o realizację praw człowieka i podstawowych wolności ci, którzy dostrzegają w nich swoje korzyści. Zawsze też ci, którzy praktycznie decydują o określonych prawach i wolnościach, łatwiej poświęcają prawa i wolności innych, niż własne. Realizacja praw człowieka i podstawowych wolności i korzystanie z nich nie jest łatwe. Wymaga różnorodnych wysiłków, odpowiedzialności, umiaru i umiejętności kojarzenia i wyważania różnych, niekiedy przeciwstawnych sobie, wartości. Nie ma na świecie państwa, w którym wszystkie prawa człowieka byłyby w pełni realizowane. Są natomiast państwa, w których lekceważone i łamane są prawa człowieka i podstawowe wolności w sposób ciągły, masowy i jaskrawy. Są kraje, w których próby korzystania z wielu praw człowieka spotykają się z represją, często brutalną ze strony państwa. Nie brak w tej mierze obłudy. Nie rzadkie są przypadki, że co innego się głosi, a co innego czyni. Bierze się to stąd, że dziś źle jest widziane w świecie być przeciw prawom człowieka i podstawowym wolnościom, a tym bardziej je gwałcić.

2. Prawa człowieka i podstawowe wolności w Polsce

Od ponad trzech lat Polska jest w procesie przechodzenia od socjalizmu do kapitalizmu. Motorem tego procesu są siły polityczne wyniesione do władzy pod hasłem "Solidarności" przez robotników, chłopów i część inteligencji. Jak w tym procesie mają się prawa człowieka i podstawowe wolności?

Z mocy ustawy konstytucyjnej z 17 października 1992 r. do dziś obowiązują prawa i wolności zawarte w rozdziałach 8. i 9. Konstytucji z 22 lipca 1952 r. Katalog tych praw i wolności jest nader szeroki. Obejmuje on m.in.: prawo do pracy, do wypoczynku, do ochrony zdrowia i pomocy w razie choroby lub niezdolności do pracy, prawo do korzystania z wartości środowiska naturalnego, prawo do nauki, do korzystania ze zdobyczy kultury i do twórczego udziału w rozwoju kultury narodowej, wolność sumienia i wyznania, wolność słowa i druku, wolność zgromadzeń, pochodów i manifestacji, prawo zrzeszania się, prawo do uczestnictwa w kontroli społecznej, nietykalność osobistą, prawo do obrony, bierno i czynne prawo wyborcze, prawo do korzystania zagranicą z opieki Rzeczypospolitej. W szerokim zakresie konstytucja gwarantuje równość obywateli, w tym kobiet i mężczyzn, dzieci zrodzonych w małżeństwie i poza nim, osób cywilnych i żołnierzy.

Polska zaciągnęła też daleko idące zobowiązania prawno - międzynarodowe dotyczące przestrzegania praw człowieka i podstawowych wolności. Ma również wkład w kształtowanie międzynarodowego prawa praw człowieka. Od 1973 roku Polska jest stroną Międzynarodowego Paktu praw obywatelskich i politycznych oraz Międzynarodowego Paktu praw ekonomicznych, socjalnych i kulturalnych¹.

Oba te Pakty - łącznie z Powszechną Deklaracją Praw Człowieka z 1948 r. - stanowią swoistą światową konstytucję praw człowieka i podstawowych wolności. Polska jest także stroną 13 innych ONZ-owskich konwencji dotyczących praw człowieka, w tym Konwencji o eliminacji wszystkich form dyskryminacji wobec kobiet, Konwencji o prawach dziecka, Konwencji przeciwko torturom. W ostatnich trzech latach Polska rozszerzyła swoje zobowiązania międzynarodowe w dziedzinie praw człowieka i podstawowych wolności. Między innymi przystąpiła do Protokołu opcyjnego do Paktu praw obywatelskich i politycznych, otwierając w ten sposób obywatelom drogę do składania skargi na gwałcenie ich praw obywatelskich i politycznych do Komitetu Praw Człowieka. W 1992 r. Polska przystąpiła również do Europejskiej konwencji ochrony praw człowieka i podstawowych wolności. Wprawdzie przystąpienie to nie daje obywatelom RP nowych praw człowieka czy podstawowych wolności, choć niektórzy reklamują ten fakt jako epokowe wydarzenie. Przystąpienie do tej Konwencji, jeśli rząd RP złoży wymagane oświadczenie, będzie miało ten skutek praktyczny, że obywatele polscy będą mogli skarżyć się na pogwałcenie przewidzianych w Konwencji praw człowieka i podstawowych wolności do Europejskiej Komisji Praw Człowieka i do Europejskiego Sądu Praw Człowieka działających w Strasbourgu. Oznacza to wzmocnienie gwarancji proceduralnych korzystania z praw i wolności przewidzianych w Europejskiej Konwencji.

W wymiarze krajowym w ostatnich latach nastąpiło znaczne rozszerzenie możliwości korzystania z niektórych praw i podstawowych wolności. Dotyczy to wolności wypowiedzi (zniesienie cenzury w 1990 r.), prawa do zrzeszania się w partie polityczne, związki zawodowe i stowarzyszenia, prawa podróżowania zagranicę, prawa do przedsiębiorczości w sferze gospodarki, prawa własności indywidualnej i zbiorowej. Od 1988 roku efektywnie działa Rzecznik Praw Obywatelskich. W niektórych przypadkach pozytywny wpływ na korzystanie z praw człowieka i podstawowych wolności ma działający od 1986 roku Trybunał Konstytucyjny.

Można by więc odnieść wrażenie, że sytuacja praw człowieka i podstawowych wolności w Polsce poprawia się i wygląda optymistycznie, że najdonioślejsze prawa człowieka nie są zagrożone. Niestety, byłoby to wrażenie powierzchowne i wysoce stronnicze.

3. Dążenie do dyskryminacji i ograniczenia niektórych praw

Wpływowe siły polityczne w Polsce w imię tzw. wartości chrześcijańskich domagają się ograniczenia wolności wypowiedzi. Na porządku dziennym prac Sejmu stała sprawa tzw. dekomunizacji a przynajmniej lustracji.

³ Teksty obu Paktów zostały oficjalnie ogłoszone w Dz.U.PRL nr 38 z 29 grudnia 1977 r. Załącznik

PRAWA CZŁOWIEKA

W drugiej połowie 1992 r. wpłynęło do Sejmu sześć projektów ustaw (druki sejmowe 386, 399) i cztery tzw. ustaw dekomunizacyjnych (druki sejmowe 394, 423, 417, 406)). Zapowiadane jest wniesienie do Sejmu projektu ustawy lustracyjnej dotyczącej Prezydenta RP i może jeszcze kilku innych najwyższych stanowisk państwowych. Jeden z wniesionych już projektów wspomnianych ustaw został złożony przez Senat, pozostałe przez grupy posłów.

Wszystkie te projekty, choć częściowo się między sobą różnią, zdają się wychodzić z pewnych wspólnych założeń, a mianowicie:

1. że państwo polskie istniejące w latach 1944-1989 realizowało obce interesy, nie było w istocie państwem polskim. (Projekty ustaw lustracyjnych, mniej ekstremistyczne zdają się przyjmować założenie, że tylko niektóre części aparatu tego państwa służyły obcym interesom);
2. że pewne organy tego państwa oraz Partia (PPR i PZPR) były organizacjami przestępczymi;
3. że nie ma ciągłości prawnej między obecną RP a państwem polskim z lat 1944-1989;
4. że w Polsce dopuszczalne jest stosowanie odpowiedzialności zbiorowej, i że nie ma potrzeby udowadniać jednostce winy, a przeciwnie jednostka ma obowiązek udowodnić swoją niewinność.

Można mieć poważne obiekcje co do zasadności tych założeń. Żaden sąd polski, czy jakiś kompetentny organ międzynarodowy, ani żaden właściwy organ RP nie stwierdził oficjalnie i w sposób przekonująco udokumentowany, że założenia pierwsze i drugie są zasadne. Założenie trzecie jest wyraźnie sprzeczne ze stanem prawnym obowiązującym w RP i z praktyką polityczną Rzeczypospolitej. Założenie czwarte jest jaskrawo sprzeczne z ustawodawstwem RP i obowiązującym Polskę prawem międzynarodowym. Oznacza to, że wszystkie wspomniane projekty ustaw są oparte na fałszywych, a przynajmniej nie udowodnionych założeniach. Są one także sprzeczne z Ustawą konstytucyjną z 17 października 1992 r. Artykuł 77. tej Ustawy utrzymuje w mocy art.1. Konstytucji z 1952 r. Stanowi on, że RP jest demokratycznym państwem prawnym. Ustawa, która część obywateli pozbawiałaby przysługujących każdemu praw człowieka na pewien okres czy na zawsze ze względu na jego legalną działalność w przeszłości, na pewno byłaby jaskrawo sprzeczna z zasadą państwa prawnego. Byłaby też zapewne nie do pogodzenia z demokratycznym charakterem państwa. Pojęcie zasad sprawiedliwości społecznej co do swej treści jest niejednoznaczne. Często w tej dziedzinie "punkt siedzenia decyduje o punkcie widzenia". Niemniej bezstronny sędzia musiałby mieć bardzo poważne wątpliwości, czy są podstawy do dyskryminacji tych obywateli, którzy szczególnie przyczynili się do wyzwolenia Polski spod hitlerowskiej okupacji i do jej odbudowy i rozwoju, bądź którzy współpracowali z legalnymi władzami państwowymi. Przy czym dyskryminatora-

mi mieliby być ci, którzy są obecnie u władzy i którzy w wielu punktach istotnych dla narodu są coraz to dalsi od spełnienia obietnic, które zapewniły im wyniesienie do władzy.

Wszystkie omawiane projekty są także sprzeczne ze wspomnianym art.77. Ustawy konstytucyjnej z 17 października 1992 r. utrzymującym w mocy art.95-99 Konstytucji z 1952 r. Artykuły te wyraźnie mówią o powszechności prawa wyborczego czynnego i biernego. Korzystania z tego prawa może pozbawić obywatela jedynie sąd, ubezwłasnowalniając go w swoim wyroku a przyczyną tego ubezwłasnowolnienia może być jedynie choroba psychiczna lub niedorozwój umysłowy. Prawa wyborczego mogą być także pozbawieni obywatele, którzy prawomocnym orzeczeniem sądu zostali skazani na utratę praw publicznych lub wyborczych. Ustawa konstytucyjna nie przewiduje możliwości pozbawienia obywatela biernego prawa wyborczego na mocy ustawy zwykłej. Zgodnie z art.77. Ustawy konstytucyjnej z 17 października 1992 r. pozostawiony w mocy art.3.Konstytucji z 1952 r. stanowi, że przestrzeganie praw RP jest obowiązkiem każdego organu państwa, a więc niewątpliwie i Sejmu.

Uchwalenie ustawy zgodnej z którymkolwiek z wymienionych projektów byłoby wyraźnie sprzeczne z międzynarodowymi zobowiązaniami Polski w obszarze praw człowieka i podstawowych wolności. Mam tu na myśli zarówno wiążące Polskę unowory międzynarodowe uniwersalne i regionalne, jak i zobowiązania moralno-polityczne w ramach KBWE.

Powszechna Deklaracja Praw Człowieka z 10 grudnia 1948 r., której normy uważane są dość powszechnie za normy uniwersalnego prawa zwyczajowego wiążącego wszystkie państwa, zakazuje (art.2.) dyskryminacji kogokolwiek m.innymi ze względu na poglądy polityczne lub inne, lub ze względu na jakiegokolwiek inne okoliczności. Dyskryminowanie więc ludzi, jak chcą projekty wszystkich wspomnianych ustaw, którzy w przeszłości mieli pozytywny stosunek do legalnych władz państwa polskiego lub którzy współdziałali z tymi władzami, byłoby wyraźnie sprzeczne z wymienionymi wyżej postanowieniami Deklaracji. Byłoby także sprzeczne z art.1. tej Deklaracji, który stanowi, że wszelka istota ludzka rodzi się równa z innymi, m.innymi w godności i w prawach.

Żaś art.21 Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka stanowi, że każdy ma prawo do brania udziału w rządzeniu swoim krajem bezpośrednio lub przez swobodnie wybranych reprezentantów. Każdy ma też prawo do równego dostępu do służby publicznej w swoim kraju. Tymczasem każdy z omawianych projektów ustaw zmierza do pozbawienia określonej kategorii obywateli wymienionych praw człowieka. Art.28. wspomnianej Deklaracji stanowi, że każdy ma prawo do porządku społecznego i międzynarodowego, w którym prawa i wolności zawarte w Deklaracji mogą być w pełni realizowane. Projekty ustaw, o których tu mowa

PRAWA CZŁOWIEKA

dążą do odejścia od takiego porządku. Są więc i w tym punkcie sprzeczne z Powszechną Deklaracją Praw Człowieka.

Międzynarodowy Pakt praw obywatelskich i politycznych, którego Polska jest stroną, w art.25. powtarza i rozwija postanowienia art.21. Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka. Głosi on, że każdy obywatel ma prawo i powinien mieć innościwość, bez żadnej dyskryminacji, m.innymi ze względu na poglądy polityczne lub inne, lub na jakiegokolwiek inne okoliczności i bez uzasadnionych ograniczeń do uczestniczenia w kierowaniu sprawami publicznymi bezpośrednio lub za pośrednictwem swobodnie wybranych przedstawicieli. Głosi on też, że każdy obywatel ma prawo do czynnego i biernego prawa wyborczego oraz do wstępu do służby publicznej w swoim kraju na ogólnych zasadach równości. Propozycje zawarte w każdym ze wspomnianych projektów ustaw są sprzeczne z cytowanymi postanowieniami Paktu. Nadto, art.26. Paktu stanowi, że wszyscy są równi wobec prawa i są uprawnieni do jednakowej ochrony prawnej bez żadnej dyskryminacji m.innymi ze względu na poglądy polityczne lub inne, lub jakiegokolwiek inne okoliczności.

Konwencja ochrony praw człowieka i podstawowych wolności nie zawiera wprawdzie postanowień analogicznych do cytowanych wyżej przepisów Paktu. Jest jednak oczywiste, że wszystkie projekty wspomnianych ustaw są sprzeczne z demokratycznym duchem tej europejskiej konwencji.

Polska, jako uczestnik KBWE zaciągnęła poważne zobowiązania polityczne i moralne w obszarze praw człowieka i podstawowych wolności. Szczególnie doniosły z interesującego nas tu punktu widzenia jest Dokument Końcowy Kopenhaskiego spotkania Konferencji o ludzkim wymiarze KBWE, przyjęty jednomyślnie - również z udziałem Polski - w czerwcu 1990 r. W Dokumencie tym Polska - jak inni uczestnicy KBWE - zobowiązała się rozwijać demokrację, uznając ludzką osobowość jako najwyższą wartość i dążyć do zapewnienia jej najpełniejszego wyrazu. Elementami tego dążenia mają być m.innymi:

- zapewnienie równości wszystkich obywateli wobec prawa bez żadnej dyskryminacji. Państwa zobowiązały się w tym Dokumencie przyjąć ustawy zakazujące wszelkiej dyskryminacji Tymczasem omawiane tu projekty ustaw zmierzają do wprowadzenia dyskryminacji.
- uczciwe wybory. Trudno byłoby uznać, że są uczciwymi wybory, w których poważna grupa obywateli z góry byłaby pozbawiona biernego prawa wyborczego.
- szanowanie prawa obywateli do ubiegania się o urzędy polityczne lub publiczne indywidualnie albo jako przedstawiciele partii politycznych lub organizacji, bez jakiegokolwiek dyskryminacji

4. Dążenie do pozbawienia obywateli niektórych praw ekonomicznych, socjalnych i kulturalnych.

Utrzymane w mocy postanowienia Konstytucji z 22 lipca 1952 r. o wolnościach, prawach i obowiązkach obywatelskich są w opinii publicznej w wysokim stopniu zdyskredytowane. W związku z tym Prezydent 12 listopada 1992 r. wystąpił do Sejmu z projektem Karty Praw i Wolności. Karta ta ma obowiązywać w okresie do uchwalenia Konstytucji RP, nad projektem której prace ledwo się zaczynają. Ma być cieszącym się autorytetem politycznym i moralnym katalogiem praw i podstawowych wolności obywateli. Z uchwaleniem tej Karty jako ustawy konstytucyjnej, będzie się zapewne łączyło uchylene dotychczas obowiązujących przepisów Konstytucji z 1952 r. - dotyczących praw i wolności obywateli. Karta ta zapewne stanie się też doniosłym punktem wyjścia dla przyszłych regulacji tych spraw w nowej Konstytucji RP. Projekt ten ma więc wielką doniosłość polityczną. Dotyczy najbardziej żywotnych interesów obywateli.

Czy projekt Karty wzbogaca, rozszerza i potwierdza przysługujące obecnie prawa i podstawowe wolności obywateli? Mam na myśli prawa i wolności przysługujące obywatelom RP na mocy Konstytucji i ustaw oraz na mocy wiążących Polskę umów międzynarodowych dotyczących praw człowieka i podstawowych wolności. Czy projekt ten w efekcie nie pozbawi obywateli pewnych praw i podstawowych wolności?

Na to pytanie nie można odpowiedzieć w całej rozciągłości - tak, ani też - nie. W projekcie Karty występują pewne istotne elementy wzbogacenia praw i podstawowych wolności. Wyrażają się w proponowaniu pewnych dotychczas nie uznawanych konstytucyjnie praw obywateli, np. prawa do sądu. Projekt - co ma mniejsze znaczenie - nadaje też niektórym dotychczas ustawowo uznawanym prawom charakter praw konstytucyjnych. Stwarza także lepsze gwarancje proceduralne dochodzenia niektórych praw, czy korzystania z pewnych wolności podstawowych. Zakreśla generalnie, w sposób powszechnie na świecie uznany, granice korzystania z praw i wolności. Projekt ustanawiać chce konstytucyjne prawo do informacji (art.10.), wolność przemieszczania się w kraju i za granicę (art.15), prawo do podejmowania działalności gospodarczej (art.17.), prawo dziecka do opieki ze strony władzy publicznej (art.21.), przewiduje zakaz ekstradycji obywatela (art.26.). Przewiduje też rozsądne granice zawieszenia lub ograniczenia praw i podstawowych wolności w sytuacjach nadzwyczajnych (art.49)

Ale projekt Karty, niestety, ma także zasadnicze słabości. Jego rozdział V nie mówi o prawach obywateli w sprawach, które dotyczą najżywotniejszych interesów ogromnej większości społeczeństwa, lecz jedynie o zadaniach państwa w tej dziedzinie. A jest to zasadnicza różnica. Krótko mówiąc, projekt Karty nie przewiduje dalszego uznawania przez RP takich praw ekonomicznych, socjalnych i

PRAWA CZŁOWIEKA

kulturalnych, jak prawo do pracy, prawo do odpowiedniego poziomu życia, prawo do nauki, do ochrony zdrowia, do wypoczynku, do zabezpieczenia społecznego. Nie przewiduje też prawa dostępu do kultury. Oznacza to pozbawienie pracowników najemnych a także rolników ich zasadniczych praw człowieka. Prezydent zgadza się widocznie z oceną Jacka Kuronia, że: *"upadek socjalizmu realnego nie przyniósł wcale robotnikom wolności i podmiotowości. Przeciwnie stracili nie tylko przywileje i bezpieczeństwo socjalne, ale i prestiż"*, i uważa, że tak być powinno. Projekt Karty przewiduje także utratę, i to nie tylko przez robotników, posiadanych najżywniejszych dla nich praw. Gdyby Kartę uchwalono w postaci, w jakiej została zgłoszona do Sejmu, oznaczałoby to radykalne cofnięcie Polski w zakresie ochrony podstawowych praw człowieka. Projekt Karty ma wyraźnie klasowy, antypracowniczy charakter. Jej przyjęcie uniemożliwiłoby Polsce dalszą przynależność do Międzynarodowego Paktu praw ekonomicznych, socjalnych i kulturalnych. Byłoby też dysonansem w stosunku do prowadzonej obecnie w Europie Zachodniej polityki dowartościowywania praw ekonomicznych, socjalnych i kulturalnych. Nie ma on też wiele wspólnego z aktualną doktryną Kościoła rzymsko-katolickiego, do którego Prezydent swe przywiązanie tak ostentacyjnie manifestuje. Aby się o tym rozdzwięku przekonać wystarczy sięgnąć do wspomnianej książki ks. prof. F. J. Mazurka, wydanej przez KUL w 1991 r.⁵

Projekt Karty w omawianym zakresie jest też wyraźnym odżeganiem się od obietnic składanych przez Lecha Wałęsę i siły dziś w Polsce rządzące. Wszak z nadzieją na spełnienie tych obietnic siły te wynieśli do władzy ci, których projekt Karty chce pozbawić ich najistotniejszych praw.

Jest powszechnie uznaną prawdą, że część praw ekonomicznych i socjalnych oraz kulturalnych może być realizowana tylko z uwzględnieniem możliwości materialnych społeczeństwa i państwa. Ale państwo ma obowiązek przejawiać swoją pozytywną postawę wobec tych praw i dla ich realizacji wykorzystywać posiadane środki do maksimum i dążyć do ich pomnażania. Nie jest argumentem usprawiedliwiającym pozbawienie większości obywateli ich zasadniczych praw zły stan gospodarki, gdy jest on owocem polityki państwa, jego bezczynności.

* * *

Jak więc można ocenić sytuację praw człowieka w Polsce w 1993 roku. Biorąc pod uwagę obowiązujące przepisy prawne, można powiedzieć, że obywatele RP posiadają - zarówno w wymiarze krajowym, jak i międzynarodowym - pełny wachlarz praw i podstawowych wolności. Korzystanie z niektórych praw obywa-

⁴ J. Kuroń: *Utopia sprawiedliwości społecznej po upadku komunizmu*, "Gazeta Wyborcza" nr 37/93, s. 8.

⁵ Franciszek Mazurek: jak wyżej.

telskich i politycznych w ostatnich paru latach zostało rozszerzone. Wzbogacone zostały również gwarancje proceduralne korzystania z niektórych praw człowieka i podstawowych wolności. Równocześnie jednak siły rządzące ujawniły swoje dążenia do ograniczenia możliwości korzystania z niektórych praw człowieka i podstawowych wolności (np. wolność wypowiedzi), czy też do pozbawienia części obywateli niektórych praw politycznych (projekty ustaw lustracyjnych i dekomunizacyjnych).

Ujawniła się w pełni chęć pozbawienia pracowników, rolników a także innych uboższych kręgów społeczeństwa zasadniczych dla ich życia praw ekonomicznych, socjalnych i kulturalnych. Następuje przy tym w sposób ciągły erozja tych praw. Cały ten proces ma klasowy, antypracowniczy arogancki charakter. Oznacza to, że liczne bardzo doniosłe prawa człowieka i podstawowe wolności są w Polsce obecnie zagrożone. Toczy się o nie walka. Od jej przebiegu i wyników zależy będzie, czy Polska pozostanie krajem, w którym wszystkie prawa człowieka i podstawowe wolności uznawane dotychczas zostaną zachowane, czy też cofnie się pod tym względem o epokę, stając się skansenem Europy.

Stefan Stakos

POWRÓT CENZURY?

Ustawa o radiofonii i telewizji, uchwalona przez Sejm u schyłku 1992 roku, w niektórych wypowiedziach prasowych potraktowana została jako krok na drodze do wprowadzenia cenzury w radiu i telewizji. Przesłanką takich opinii stał się głównie ustawowy zapis o respektowaniu w tych mediach chrześcijańskiego systemu wartości.

Czy obawy dotyczące możliwości ograniczenia wolności słowa są uzasadnione i czy ich źródłem może być tylko wymieniony zapis? Dokładniejsze zapoznanie się z pełnym tekstem ustawy pozwala wskazać jeszcze inne obszary, na których swoboda wypowiedzi może zostać ograniczona - wprost lub pośrednio. Należy także zwrócić uwagę, że ustawowe rozstrzygnięcia wyposażają Krajową Radę Radiofonii i Telewizji w prawo do kontrolowania treści programów radiowych i telewizyjnych oraz stosowania sankcji za naruszanie przepisów ustawy i uchwał Krajowej Rady.

W ustawie mamy do czynienia z dwojakiego rodzaju ustaleniami dotyczącymi zakresu swobody wypowiedzi radiowej i telewizyjnej. Są to, po pierwsze: sformułowane wprost zakazy, po drugie: powinności.

Zakazy są zawarte w artykule 18., w którym czytamy: *"Audycje nie mogą propagować działań sprzecznych z prawem, z polską racją stanu oraz postaw i poglądów sprzecznych z moralnością i dobrem społecznym"*.

Powinności wymienione są w tymże artykule 18. w ustępie 2.: *"Audycje powinny szanować uczucia religijne odbiorców a zwłaszcza chrześcijański system wartości"*.

Są to powinności wszystkich nadawców programów radiowych i telewizyjnych. Do publicznego radia i telewizji adresowane są dodatkowe, i to aż w liczbie dziewięciu, inne powinności. Wymieńmy tylko niektóre, zasługujące na uwagę z interesującego nas punktu widzenia.

Tak więc programy publicznej radiofonii i telewizji publicznej powinny jeszcze:

- *"kierować się odpowiedzialnością za słowo i dbać o dobre imię publicznej radiofonii i telewizji,*
- *rzetelnie ukazywać całą różnorodność wydarzeń w kraju i zagranicą.*
- *respektować chrześcijański system wartości, za podstawę przyjmując uniwer-*

salne zasady etyki,

- uwzględniać potrzeby mniejszości narodowych i grup etnicznych".

Z powinności przytoczyliśmy te, z których bardzo łatwo daje się wyprowadzić zakazy (na przykład: *"audycje powinny szanować uczucia religijne odbiorców"* znaczy również, że audycje nie mogą naruszać uczuć religijnych odbiorców). Zauważmy przy tym, że ustawa kreuje jednocześnie system kontroli działalności i ustala sankcje za naruszenie ustawy a więc także za nie spełnianie powinności, rozmijanie się w swej działalności z powinnością, do której jest się zobowiązanym.

Zestawmy więc wynikający z przepisów ustawy katalog zakazów. Wzorując się na słownictwie uchylonej przed trzema laty ustawy o kontroli publikacji i widowisk można je sformułować tak: Korzystając z wolności słowa w audycjach radiowych i telewizyjnych nie można: propagować działań sprzecznych z prawem, propagować działań sprzecznych z polską racją stanu, propagować postaw i poglądów sprzecznych z moralnością i dobrem społecznym, naruszać uczuć religijnych odbiorców i nie respektować chrześcijańskiego systemu wartości, być nieodpowiedzialnym za słowo i nie dbać o dobre imię publicznej radiofonii i telewizji, nierzetelnie ukazywać całą różnorodność wydarzeń w kraju i zagranicą, dyskryminować mniejszości narodowe i grupy etniczne.

Jest to pokazywany katalog. Nie zatrzymując się na problemie rozciągłości poszczególnych punktów, pojęć, niedostatecznej precyzji sformułowań (nieostrych, jak mówią prawnicy), choć to dla praktyki może okazać się nadzwyczaj ważne, katalog ten porównajmy z aktami prawnymi ograniczającymi w przeszłości swobodę wypowiedzi. I tak w ustawie o kontroli publikacji i widowisk z 1981 r. artykuł 2. stanowiący czego nie można *"korzystając z wolności słowa i druku w publikacjach i widowiskach"*, zawierał dziewięć zakazów a dekret o utworzeniu Głównego Urzędu Kontroli Prasy Publikacji i Widowisk z 1946 roku - sześć.

Ale nie tylko takiego podobieństwa nowej ustawy z dawnymi aktami prawnymi można się dopatrzeć. Przypomnijmy niektóre obowiązujące w przeszłości przepisy:

I tak dekret z 1946 r. stanowił, że kontrola sprawowana przez Główny Urząd miała na celu zapobieżenie m.in.:

- naruszaniu prawa lub dobrych obyczajów,
- działaniu na szkodę międzynarodowych stosunków Państwa Polskiego,
- wprowadzaniu w błąd opinii publicznej przez podawanie wiadomości niezgodnych z rzeczywistością.

Stosownie do ustawy z 1981 r. nie można było:

- godzić w niepodległość lub integralność terytorialną Polskiej Rzeczypospolitej

POWRÓT CENZURY?

Ludowej,

- godzić w konstytucyjne zasady polityki zagranicznej Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i jej sojusze
- nawoływać do popełnienia przestępstwa lub je pochwalać a także rozpowszechniać treści oczywiście stanowiące przestępstwo,
- naruszać uczuć religijnych i uczuć osób niewierzących
- propagować dyskryminacji narodowościowej i rasowej,
- propagować treści szkodliwych obyczajowo a w szczególności alkoholizmu, narkomanii, okrucieństwa i pornografii.

W ustawie o radiofonii i telewizji, w rozdziale o koncesjach na rozpowszechnianie programów, artykuł 37. stanowi, że koncesji nie udziela się, jeżeli rozpowszechnianie programów przez wnioskodawcę mogłoby spowodować m.in. naruszenie tajemnicy państwowej. W artykule 38. zaś czytamy: *"koncesja może być cofnięta, jeżeli: 1) rozpowszechnianie programów powoduje zagrożenie interesów kultury narodowej, bezpieczeństwa i obronności państwa oraz narusza normy dobrego obyczaju"*.

A więc znowu znajome słowa. Warto zwrócić szczególną uwagę na *"zagrożenie bezpieczeństwa i obronności państwa"*. Mają one bowiem swoją historię. Nie było ich w artykule 2. ustawy o kontroli publikacji i widowisk w brzmieniu zatwierdzonym 31 lipca 1981 r. Pojawiły się, jako dodatkowe przesłanki decyzji cenzorskich, dwa lata później, na skutek nowelizacji ustawy dokonanej przez Sejm 28 lipca 1983 r., po zniesieniu stanu wojennego. Zaczepnięte zostały zresztą z dekretu o stanie wojennym. Obowiązywały zaś do czasu kolejnej nowelizacji, która nastąpiła w 1989 roku zgodnie z postanowieniami, jakie na wniosek strony solidarnościowej zapadły przy "okrągłym stole". Teraz znów są potrzebne w akcie regulującym działalność radiowych i telewizyjnych środków przekazu.

Widać wyraźną zbieżność problematyki objętej starymi i nowymi zakazami. Przepisom starym zarzucano w przeszłości, niejednokrotnie słusznie, również nieostrość sformułowań. Ale nie można w tym miejscu nie zauważyć, że np. przepis mówiący o przestępstwie (a więc o czynie określonym w kodeksie karnym lub w innych ustawach zagrożonym karą) zastąpiony został zwrotem o działaniach sprzecznych z prawem. Jak wiadomo, prawo jest bardzo rozległe, dotyczy różnorodnych dziedzin, także czynów i zachowań, które nie są przestępstwami ani wykroczeniami. Jakież więc możliwości, o wiele szersze niż dawniej, dla ferowania ocen i wyroków rysują się przed tymi, którzy posługując się ustawą o radiofonii i telewizji będą audycje radiowe i telewizyjne. Dodajmy do tego trudności ze zdefiniowaniem takich pojęć jak racja stanu i chrześcijański system wartości. Sporo już na ten temat napisano i powiedziano.

Jak wieloznaczne jest pojęcie racji stanu niech świadczy fakt, że rozważaniom jak je rozumieć poświęcono w Sejmie parę godzin. Zapoczątkowało je wystąpienie ministra spraw zagranicznych. Z jego wyjaśnień, udzielonych w imieniu rządu, prasa wynotowała przykłady bardzo różnego odczytania pojęcia racji stanu. *"Polska racja stanu - mówił Skubiszewski - nakazuje, by w nadchodzących latach utwierdzać odzyskaną suwerenność, budować system bezpieczeństwa, wspierać gospodarczy rozwój państwa. Minister podkreślił, że fundamentem poczynań Polski jest euro-atlantycka orientacja naszego kraju, co wyraża się staraniami o przystąpienie do Wspólnoty Europejskiej i NATO... Istotnym składnikiem racji stanu jest zgoda narodowa"*. To z relacji Życia Warszawy.

"Podstawowym elementem racji stanu jest bezpieczeństwo zewnętrzne, ale jest to sprzężone z sytuacją społeczno-polityczną i gospodarczą kraju" - usłyszała w exposé ministra Trybuna.

Według *Gazety Wyborczej*, zdaniem Skubiszewskiego *"rząd kieruje się racją stanu... także starając się wprowadzić w kraju "społeczną gospodarkę rynkową"*. Nie trzeba już cytować wypowiedzi posłów, wystarczy tego, co już przytoczyliśmy, by móc sobie wyobrazić, jakimi kryteriami będą mogli posługiwać się członkowie Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, gdy zechcą sprawdzać czy audycje nie propagują działań sprzecznych z polską racją stanu.

Mocnym echem odbiło się w prasie także wprowadzenie do ustawy zapisu o obowiązku respektowania wartości chrześcijańskich. Wyrażano obawy, że otwarto pole do działań cenzury: *"Bo jeśli jest zapis ustawowy, to zobowiązuje do weryfikacji czy program radiowy czy tv nie zagraża wartościom chrześcijańskim"* - powiedziała senator Anna Bogucka-Skowrońska w rozmowie z dziennikarzem Trybuny.

Jest to trafny pogląd i należy go odnieść nie tylko do zapisu o wartościach chrześcijańskich, lecz do całego katalogu ustalonych zakazów i powinności. Obawy zaś nie są bezpodstawne, dlatego że ustawa kreuje system, który zasługuje na miano cenzury. Oto w artykule 6. zawarte są uprawnienia Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji do sprawowania kontroli. W ustępie 2. tego artykułu czytamy: *"Do zadań Krajowej Rady należy w szczególności: (...)*

4) *sprawowanie w granicach ustawy kontroli działalności nadawców,*

5) *organizowanie badań treści i odbioru programów radiowych i telewizyjnych"*.

Są więc w ustawie zakazy (choć nie zawsze sformułowane wprost), ustanowiona jest kontrola, są przewidziane również sankcje - jeśli kontrola stwierdzi naruszanie zakazów. W artykule 10. bowiem wyposażono przewodniczącego Krajowej Rady w takie uprawnienie:

"Przewodniczący Krajowej Rady może żądać od nadawcy przedstawienia dokumentów i udzielenia wyjaśnień w zakresie niezbędnym dla kontroli zgodności

POWRÓT CENZURY

działania nadawcy z przepisami ustawy i warunkami koncesji" (ust.2).

"Przewodniczący Krajowej Rady może wezwać nadawcę do zaniechania działań w zakresie tworzenia i rozpowszechniania programów, jeżeli naruszają one przepisy ustawy, uchwały Krajowej Rady lub warunki koncesji" (ust.3).

W ustępie 4. sankcja uległa zaostreniu:

"Przewodniczący Krajowej Rady na podstawie uchwały tej Rady może wydać decyzję nakazującą zaniechanie przez nadawcę działań w zakresie, o którym mowa w ust.3."

Poczyńmy tu dwie uwagi: po pierwsze, decyzje zakazujące lub wzywające do zaniechania dotyczą programów, a nie audycji (wynika to z faktu, że kontrola ma być sprawowana *ex post*, a więc nie jest to kontrola prewencyjna, lecz następcza), po drugie, odtworzony wyżej katalog zakazów i powinności może być przez Krajową Radę dowolnie wzbogacany.

Sumując powyższe rozważania, stwierdzić można, że choć w stosunkowo wąskim zakresie, bo ograniczonym do radia i telewizji, możemy mieć w Polsce powrót do cenzury represyjnej, podobnej do tej, jaka istniała w naszym kraju pod rządami dekretów prasowych z lat dwudziestych i trzydziestych. Oczywiście, są różnice między zasadami kreowanej obecnie w sposób zakamuflowany cenzury i cenzury przedwojennej. Sankcje przewidziane w ustawie o radiofonii i telewizji są stosunkowo łagodne - przed wojną naruszającym zakazy cenzorskie zagrażała prócz konfiskaty także kara grzywny a nawet pozbawienia wolności. Ale krok w kierunku dyscyplinowania środków przekazu przy pomocy środków administracyjno-prawnych został zrobiony. Jest on tym ważniejszy, że coraz częściej mówi się o zastąpieniu ustawy "prawo prasowe" z 1984 roku nowym aktem prawnym a jednocześnie coraz częstsze i ostrzejsze są wypowiedzi prominentnych członków klasy politycznej - posłów koalicji rządowej, członków rządu i jego kierownictwa, którzy nie szczędzą zarzutów środkom przekazu. Pretensje i narzekania na brak odpowiedzialności prasy wskazuje na możliwy kierunek zmian w ustawodawstwie prasowym.

I na zakończenie jeszcze jedna uwaga. Powyższe rozważania dotyczą tylko hipotetycznych w tej chwili zagrożeń. Jaka będzie praktyka pokaże przyszłość. Zależć ona będzie i od gorliwości (czy jej braku) członków Krajowej Rady, skłonności do wykorzystywania nieprecyzyjnego charakteru zapisów ustawy, chęci do ich rozszerzającej interpretacji czy wreszcie do uciekania się do represji w oddziaływaniu na tak czułą dziedzinę, jaką jest działalność środków przekazu, prawo do przekazywania i odbioru informacji, prawo do wypowiedzania poglądów i opinii. Te prawa należą do podstawowych praw obywatelskich. Nowe możliwości ich ograniczania powstały.

Zdzisław Marzec

KTÓRĘDY DROGA

Jaką drogę powinna obrać polska lewica, aby móc realizować swoje ideały w interesie ludzi pracy ?

Na pewno nie może to być droga podyktowana nostalgią: zachowawcza czy doktrynerska. Po prostu dlatego, że - jak to ktoś trafnie zauważył - na pytania dnia dzisiejszego nie można udzielać wczorajszych odpowiedzi. Ale równocześnie - jestem o tym głęboko przekonany - nie powinna to być również droga wytyczana przez tych, którzy sami siebie lubią nazywać reformatorami. Choćby dlatego, że w konfrontacji z życiem koncepcje tzw. reformatorów, jedna po drugiej, poniosły druzgocącą klęskę.

Oto wymowny - jak myślę - przykład. Chyba nieźle ilustruje on, do jakiego stopnia naiwny, pozbawiony wyobraźni, życzeniowy był sposób myślenia (a co gorsza również działania) "reformatorów" z ówczesnego kierownictwa PZPR i państwa. Chodzi o rzucone przez nich wezwanie dotyczące "niekonfrontacyjnego" charakteru wyborów w czerwcu 1989 r. Dla kogoś, kto pamięta tamte dni - nastawienie, z jakim szła do tych wyborów ówczesna opozycja - tego rodzaju wezwanie obrazować może tylko jedno: kompletne oderwanie się od realiów życia kierowniczych gremiów partyjnych oraz rządowych, w tym okresie niemal w całości opanowanych już przez "reformatorów". Ich wezwania, obok wielu innych, miało jeszcze ten negatywny skutek, że rozbrajało partię. I to w obliczu decydującej wyborczej rywalizacji, która na wiele lat przesądziła o przyszłości kraju.

Nie sprawdziła się żadna z kluczowych tez wysuwanych przez "reformatorów". Ani wiara w to, że opozycyjni partnerzy przy "okrągłym stole" dochowają zawartych przy nim umów oraz przyjętych na siebie zobowiązań. Ani złudzenia, że Kościół będzie lojalnym gwarantem "okrągłościowych" postanowień.

"Reformatorzy" obiecywali, że dzięki swej polityce zbudują prężną, nowoczesną, demokratycznie zorganizowaną partię lewicy o szerokich wpływach w społeczeństwie. PZPR, w dużej mierze pogrzebana właśnie rękami "reformatorów", już nie istnieje - a gdzież jest ta przyobiecana przez nich wielka i silna lewicowa partia?

KTÓRĘDY DROGA?

Ustępstwa i kompromisy zawierane przez "reformatorów" miały służyć umocnieniu suwerenności Polski. Tymczasem nie minęły trzy lata, a nasz kraj coraz wyraźniej staje się prowincjonalnym pionkiem, z którym na świecie mało kto chce się jeszcze liczyć. Polscy obywatele wywożeni są za ocean i stawiani przed zagranicznymi władzami sądowymi, a na Śląsku przywódcy niemieckiej irredenty publicznie krytykują fakt, iż: "*zjednoczenie Niemiec zatrzymało się na Odrze i Nysie*".

Polityka "reformatorów" miała wspomagać budowanie w Polsce wysoko wydajnej gospodarki - jak na ironię z danych GUS wynika, że ostatnie trzylecie zamknęło się 40 % spadkiem produkcji i 25 % spadkiem dochodu narodowego. "Reformatorzy" zapewniali, że polityka transformacji ustrojowej, za którą się opowiedzieli (krytykując co najwyżej niektóre jej metody) doprowadzi do wzrostu zamożności społeczeństwa - na początku 1993 r. mamy już w kraju ponad 2,5 miliona bezrobotnych i lawinowo pogłębiające się różnice społeczne.

Dzisiaj nawet niektórzy liderzy "skrzydła reformatorskiego" samokrytycznie przyznają, że przed trzema laty wielu rzeczy nie przewidzieli trafnie i że w odniesieniu do licznych kwestii zabrakło im wyobraźni. Nie zgadzam się. Sądzę, że tak naprawdę, zabrakło im nie tyle wyobraźni, co elementarnego zmysłu politycznego i po prostu zdrowego rozsądku.

Prawda jest brutalna: "reformatorzy" swą polityką "dołożyli cegiełkę" do obecnej głębokiej degradacji materialnej ludzi pracy w Polsce, przysłużyli się temu, że wystawione zostały na szwank żywotne interesy narodu i państwa. To już nie drobne potknięcia taktyczne z ich strony. To dowód, że "reformatorzy" opacznie ocenili polską rzeczywistość oraz zachodzące w niej procesy; z tej oceny wyciągnęli błędne wnioski i na tym gruncie zbudowali całkowicie fałszywą strategię.

"Reformatorzy" swoje naiwne złudzenia nadal usiłują prezentować jako nowatorstwo i przykład otwartości myślenia. Dalibóg ci ludzie - którzy zupełnie niesłusznie mienią się reformatorami, gdyż z uwagi na konsekwencje, jaki przyniosła ich działalność, bardziej zasłużyli na miano kapitulantów i likwidatorów - niczego się nie nauczyli. Nawet tego, że polityka to przede wszystkim sztuka trafnego przewidywania.

To doprawdy żalodne widowisko obserwować zachowanie niejednego z "reformatorów", którzy uprzednio wchodzili w skład kierownictwa PZPR. Ileż oni wylewają łez, jakże ubolewają (bardzo

często publicznie), że przez polską prawicę są obecnie niedoceniani, często upokarzani, bywa nawet, że prześladowani. A przecież zupełnie niedawno oni tak bardzo (naprawdę!) chcieli się z ówczesną opozycją porozumieć, pójść z nią na najdalej idące kompromisy. W tym miejscu chciałoby się powiedzieć: panowie - historia rządzi się surowymi prawami. Tych, którzy tak łatwo dają się wyprowadzić w pole, nikt nie szanuje; ani swoi, ani tym bardziej obcy. Chyba najwyższy czas to zrozumieć.

W moich rozważaniach podejmuję kwestię tzw. reformatorów nie po to, aby rozdrapywać świeże rany i dzielić własne szeregi. Ale dlatego, że "reformatorzy" nadal robią dobrą minę do złej gry i za nic mając fakty, usiłują stworzyć wrażenie, że tylko oni mieli i w dalszym ciągu mają rację. Logicznym następstwem takiego stanowiska są ich pretensje do sprawowania przywództwa na lewicy. Jednocześnie - wbrew temu co oficjalnie głoszą - "reformatorzy" sprzyjają pogłębianiu się wśród niej podziałów. Z dogmatyczną konsekwencją (tą samą od lat!) usiłują oni odciąć polską lewicę od jej naturalnych rewolucyjnych i marksistowskich źródeł. Byłoby nieszczęściem, gdyby ten zamiar miał się "reformatorom" powieść.

Dlaczego w Polsce upadł tzw. realny socjalizm?

Czy z tego, co dotychczas powiedziałem, ma wynikać, że w Polsce tzw. realny socjalizm był systemem optymalnym, tylko reformatorzy go zniszczyli? Oczywiście nonsens. Były przecież partie (np. Komunistyczna Partia Czechosłowacji), które dość konsekwentnie usuwały ze swych szeregów zwolenników tzw. skrzydła reformatorskiego, ale dzięki temu los wcale nie okazał się dla nich łaskawszy niż dla PZPR.

Choć jednocześnie nie mogę oprzeć się wrażeniu, że w czwartym roku rządów solidarnościowych coraz więcej Polaków zaczyna mieć wątpliwości, czy należało realny socjalizm tak w czambuł potępiać. Może się myłę, ale czasem wydaje mi się, że w zestawieniu z tym, czego obecnie doświadczamy, ludzie jakby coraz więcej gotowi byli owemu realnemu socjalizmowi wybaczyć.

Ale nie w tym rzecz. Dzisiaj na pewno nie może chodzić o kontynuację tego co było. Ta droga prowadziłaby bowiem do nikąd.

Już od dawna przeświadczenie o potrzebie, wręcz niezbędności, głębokich zmian było coraz powszechniejsze i w społeczeństwie, i w samej PZPR. Niektórzy zastanawiali się nawet, dlaczego to wszystko w

KTÓRĘDY DROGA?

ogóle tak długo się trzyma. Przypominam sobie liczne na ten temat dyskusje, szczególnie pod koniec lat siedemdziesiątych a potem osiemdziesiątych.

Kluczowym podówczas (podobnie jak i dzisiaj) pytaniem było: jaką obrać drogę przemian? Że w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych staliśmy - kraj, jego gospodarka, społeczeństwo, partia - na skraju przepaści, to właściwie dla nikogo nie ulegało wątpliwości. Czołowi przedstawiciele skrzydła reformatorskiego w PZPR podpowiadali wówczas: aby nie wpaść w przepaść, nad którą się znaleźliśmy, trzeba koniecznie zrobić krok w prawo. Ciekawe, że nikomu z nich nie wpadło do głowy, aby dla uniknięcia tego zrobić krok dokładnie w przeciwną stronę: w lewo - w kierunku socjalistycznych pryncypiów.

Niestety, usłuchano rad reformatorów. Podobne rozwiązanie ówczesnym prominentem partyjnym i rządowym podpowiedziała, jak sądzę, przede wszystkim małoduszność. Z pewnością zaważył na tym również fakt porzucenia przez wielu z nich, już dawno temu, socjalistycznych ideałów - ta prawda rzuca się w oczy choćby przy lekturze jakże chętnie wydawanych przez nich pamiętników. Tym sposobem partyjni i rządowi prominiści ostatnich lat PRL, bez większych skrupułów, zdradzili - nie znajduję tu bardziej adekwatnego określenia - interesy ludzi pracy, przede wszystkim robotników. Jak również - co się już wkrótce miało okazać - zlekceważyli także żywotne interesy narodu oraz państwa polskiego.

I tę linię postępowania polska lewica - jak chcą niektórzy spośród jej aktualnych liderów - miałaby nadal kontynuować? Zupełnie nie biorąc pod uwagę bolesnych doświadczeń ostatniego trzylecia. Toż to byłoby po prostu polityczne samobójstwo.

Właściwa, jak sądzę, odpowiedź dotycząca drogi, którą należało pójść, wówczas w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, powinna była brzmieć: reformy - tak, są one absolutnie niezbędne. Jednak chodzi o reformy, które będzie się dokonywać w interesie ludzi pracy. A nie drobnomieszczanstwa czy nawet burżuazji - ulegając kołtuńskim ocenom (spoza PZPR, ale również powstałym w jej własnych szeregach), które Polskę mogą tylko doprowadzić do zguby.

Chodziło więc o poparcie dla lewicowej, autentycznie socjalistycznej alternatywy - dla reform podjętych w tym duchu.

Jestem głęboko przekonany, że Polsce potrzebna była nie rezygnacja z kolejnych pryncypiów socjalistycznych, ale dokładnie na odwrót: ruch reformatorski zmierzający do usunięcia tego wszystkiego,

co przez dziesięciolecia - zwłaszcza w dekadzie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych - zamulało socjalistyczne ideały. Coraz częściej kreowało w życiu społecznym, gospodarczym i politycznym kraju (a także partii) fakty będące w istocie antytezą socjalistycznych pryncypiów. Jak również o zweryfikowanie tego, co w dotychczasowej praktyce budownictwa socjalistycznego w Polsce okazało się ułomne, czy wręcz błędne: co się po prostu nie sprawdziło; co stanowiło główne słabości, które - nie tylko zresztą w Polsce - przesądziły o upadku tzw. realnego socjalizmu.

Wymienię tu kilka - w moim przekonaniu podstawowych - kwestii.

Mam więc na uwadze na przykład:

Po pierwsze - potrzebę zapewnienia naprawdę ludowego charakteru władzy, poprzez konsekwentny rozwój demokracji, samorządności, bardziej rozwiniętego uczestnictwa ludzi pracy we władaniu krajem; stanowcze położenie kresu wszelkim niegodnym praktykom, które ograniczały wolności osobiste jednostki i które nie uwzględniały uzasadnionych aspiracji ludzi żyjących w końcu XX wieku.

Po drugie - rozwój autentycznej samorządności pracowniczej w zakładach pracy i faktyczne uspołecznienie (a nie tylko upaństwowienie) środków produkcji.

Po trzecie - zagwarantowanie ludziom pracy, przede wszystkim robotnikom (zgodnie z pryncypiami socjalizmu) pozycji w państwie. Niezbędne w tym zakresie reformy uznałbym zresztą za najważniejsze. Nie ulega bowiem wątpliwości, że zwłaszcza w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, wbrew oficjalnym deklaracjom, systematycznie malała rola klasy robotniczej w życiu kraju, przy (w dużym stopniu) bezczynności ze strony PZPR a często nawet z inicjatywy jej kierowniczych gremiów, które w najlepszym razie przyglądały się temu procesowi na w pół biernie.

Proletariacki charakter partii coraz bardziej rozmydlano, usilnie lansując koncepcję tzw. partii ogólnonarodowej. W rezultacie z dekady na dekadę, z roku na rok, w szeregach PZPR malała ilość robotników a na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych robotnicy zostali już niemal całkowicie wycelowani z aparatu partyjnego.

Przypomnijmy sobie:

Pozycja ludzi pracy w państwie stawała się coraz bardziej dekora-

KTÓRĘDY DROGA?

cyjna. Ówcześni prominenci, robotników najchętniej widywali na uroczystych akademiach i w czasie pierwszomajowych pochodów.

Zaniedbywano ekonomiczne interesy ludzi pracy. W najlepszym razie władze dostrzegały arystokrację robotniczą, której często schlebiali ponad miarę: bywało, że również finansowo.

W polityce państwa mieniącego się ludowym, wyraźnie nabierał wigoru "czerwony thatcheryzm". Coraz częściej odchodzono od rzeczywistej obrony interesów ludzi pracy na rzecz kokietowania polskiego drobnomieszczaństwa a nawet niektórych sektorów burżuazji w mieście i na wsi. Obserwując te zabiegi, człowiek zadawał sobie pytanie: no to właściwie w czym interesie ma być ten socjalizm w Polsce budowany?

Jeszcze raz miało się okazać, że przynajmniej w polskich warunkach - bez poparcia większości ludzi pracy, bez poparcia większości robotników, lewica nie jest w stanie sprawować władzy; że za ignorowanie interesów tej naturalnej bazy społecznej, lewicy wcześniej czy później przychodzi zapłacić wysoką cenę. Jeśli kiedykolwiek zapomni się o tej sprawie, jeśli znowu zacznie się szukać sojuszników wśród klasy średniej - zamiast wszystkie siły skupić na obronie interesów świata pracy, przede wszystkim robotników - to perspektywy dla lewicy widzę kiepsko.

Po czwarte - socjalistyczny program reform powinien być zawierać propozycje skutecznie ograniczające rozpanoszenie biurokracji, która coraz bardziej traciła kontakt z ludźmi i "dyktaturę proletariatu" w wielu wypadkach potrafiła już skutecznie przekształcić w dyktaturę biurokracji.

Po piąte - chodziło o konsekwentne umacnianie w praktyce dnia codziennego moralnych wartości socjalizmu. Myślę, że nie zawsze doceniamy fakt, iż socjalizm to nie tylko kategoria ekonomiczna, społeczna i polityczna, ale także - moralna. Ludzie pracy po socjalizmie oczekiwali nie tylko sytości, ale i sprawiedliwości społecznej - może jej model zbyt idealizując.

Z upływem lat kierownicze gremia PZPR te społeczne nadzieje i oczekiwania spełniały w coraz mniejszym stopniu. A nawet można było odnieść wrażenie, jakby zaczynały je ignorować. Niektórzy prominenci ówczesnego systemu szybko obrastali w dobra materialne (luksusowe wille, dacje, samochody zagranicznych marek) niespecjalnie zwracając uwagę na to, jak w tym czasie żyją ludzie pracy, robotnicy, którzy - przynajmniej teoretycznie - mieli stanowić oparcie dla ówczesnej władzy.

To oczywiste, że "socjalizm dla prominentów", a nie dla ludzi pracy - nie mógł zyskać społecznej akceptacji.

Przeciwko tym szybko narastającym a niekoniernie uzasadnionym wkładem własnej pracy, nierównościom społecznym (pewnie, że nie na miarę tych, z którymi mamy do czynienia obecnie, w latach dziewięćdziesiątych, pod rządami "Solidarności) lewica powinna była wystąpić z całą stanowczością.

Powiem więcej: jestem przekonany, że ludzie pracy gotowi byliby, przynajmniej okresowo, przymknąć oczy nawet na niektóre potknięcia gospodarze ówczesnej władzy, ale nie wybaczeni, nie chcieli wybaczyć - pod koniec lat siedemdziesiątych szerzącej się już z siłą huraganu - pazerności, prywaty, egoizmu, zakłamania. I to u tych, którzy mieli pełne usta frazesów o równości, socjalistycznej sprawiedliwości społecznej, gotowości do wyrzeczeń - zwykle jednak innych, a nie siebie mając tu na myśli.

Te wypaczenia ideałów socjalistycznej sprawiedliwości społecznej, podówczas coraz bardziej widoczne w codziennej praktyce, demolowały - jak sądzę - w nie mniejszym (a może nawet i w większym) stopniu ludzką świadomość, niż puste półki w sklepach i ustawiające się przed nimi długie kolejki.

Lewica nie mogła udawać, że tego wszystkiego nie widzi. Pod groźbą klęski. I klęska - w niemałym stopniu zasłużenie - przyszła!

Po szóste - socjalistyczna alternatywa reform (zrywając z dogmatycznymi zahamowaniami, ale równocześnie bez padania na kolana przed mitami oraz iluzjami kapitalizmu) jednoznacznie powinna postawić na zwiększenie efektywności gospodarowania, między innymi weryfikując dotychczasowe stanowisko polskiej lewicy wobec wielu aspektów gospodarki rynkowej.

Jestem przekonany, że między innymi takich właśnie reform pilnie potrzebowała Polska lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych; zresztą wiele z tych propozycji chyba nadal nic nie straciło ze swej aktualności.

Któż jednak miał skutecznie zabiegać o nowoczesny, zgodny z wymogami przełomu XX i XXI wieku a zarazem socjalistyczny kształt tak niezbędnych Polsce reform?

Na znakomitą większość ówczesnych liderów, tak partyjnych jak i rządowych, liczyć w żadnym wypadku nie można było. Oni w tym czasie albo już, albo właśnie zmieniali swą dotychczasową orientację po-

KTÓRĘDY DROGA?

lityczną i odrzucali wyznawane dotąd (przynajmniej publicznie) ideały - wynika to choćby z tego, co sami piszą w coraz częściej wydawanych ostatnio pamiętnikach.

Dramatem Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i PZPR okazało się to, że w krytycznym momencie, który miał decydować o przyszłości kraju, w ich kierowniczych gremiach de facto zabrakło już przedstawicieli nurtu rewolucyjnego - zwolenników orientacji marksistowskiej. Przez lata całe konsekwentnie odsuwano ich bowiem, coraz bardziej odbierając możliwość wpływu na losy państwa i partii. Teraz ujawniły się wszystkie tego negatywne rezultaty. Nie pozostały one bez wpływu na fakt, że socjalizm w Polsce okazał się - przynajmniej jak dotąd - niewykorzystaną szansą.

Stawka na pragmatyzm

W zasadzie zgadzam się z tymi, którzy twierdzą, że dzisiaj kluczowe dla polskiej lewicy pytania powinny dotyczyć nie przeszłości, lecz przyszłości; że szczegółową analizę owej przeszłości - w tym i popełnionych przez lewicę błędów - należy pozostawić przede wszystkim historykom. Natomiast politycy, działacze lewicy, powinni zająć się głównie dniem dzisiejszym, a jeszcze bardziej - przyszłością. Postępując inaczej, ugrzęźniemy bowiem w sporach: kto i dlaczego kiedyś miał rację? I damy się w te spory beznadziejnie uwikłać.

Dlaczego więc, mimo wszystko, wracam do poruszonych uprzednio kwestii? Otóż dlatego, że uważam je za kluczowe dla wyboru właściwej drogi. Ponieważ wnioski z nich wyływające mogą - w moim przekonaniu - przesądzić o sukcesie lub porażce (ponownej?) polskiej lewicy: dziś i jutro.

Jaką więc drogą polska lewica powinna obecnie podążać?

Na pewno nie tą, którą poszła PZPR oraz jej pseudo-reformatorskie kierownictwo: najdelikatniej mówiąc - naiwne i pozbawione wyobraźni.

Każde założenia w ostatecznej instancji weryfikują osiągnięte przy ich realizacji wyniki. Przed tą prawdą nikt nie może uciec. Jeśli ją odnieść do taktyki oraz strategii obranej przez ostatnich przywódców PZPR, wnioski będą dla nich katastrofalne.

Przejdźmy jednak do kwestii zasadniczej, podstawowej: jak budować, tak niezbędną dziś Polsce, jedność lewicy w walce o interesy ludzi pracy, a także fundamentalne racje narodu i państwa?

Myślę, że przede wszystkim należy do niej dążyć w sposób bardzo

pragmatyczny. Odsuwając na plan dalszy, przynajmniej na razie, wszelki potencjalne rysujące się spory i kontrowersje.

Trzeba - uważam - uporczywie i cierpliwie cementować jedność ludzi lewicy, będąc zwróconym ku przyszłości: ku celom bardziej pragmatycznym niż ściśle ideologicznym. W wyrazie organizacyjnym ta jedność mogłaby przybrać np. formę patriotycznego frontu polskiej lewicy.

Jakie kwestie uznałbym za fundamentalne dla konstruowania patriotycznego frontu polskiej lewicy? Wokół jakich celów jej jedność - jak sądzę - możnaby rzeczywiście budować?

Przed wszystkim myślę tu o walce z bezrobociem, tą zmorą Polski lat dziewięćdziesiątych.

Widzę potrzebę wyciągnięcia pomocnej ręki do młodych: nie może tak być, aby dla wchodzącego w życie młodego człowieka pierwszą "wypłatę" stanowił zasiłek dla bezrobotnego; nie może tak być, aby dla młodego Polaka wizja własnego mieszkania stawała się coraz bardziej - ze względów finansowych - po prostu mrzonką.

W planach lewicy poczesne miejsce powinna zająć obrona gospodarki narodowej, zbudowanej ponad czterdziestoletnim wysiłkiem wszystkich Polaków. Trzeba występować przeciwko bezczelnemu rozkradaniu majątku narodowego. Co nie oznacza sprzeciwu wobec jego niekiedy niezbędnych transformacji, zapewniających większą efektywność ekonomiczną.

Stanowczo należy zwalczać koncepcje prywatyzacji, zwłaszcza w jej obecnym kształcie. Usiłuje się ją bowiem realizować przede wszystkim ze względów politycznych, a nie sensu stricte ekonomicznych. Dlatego też do twórców programu prywatyzacji nie docierają żadne racjonalne argumenty. To nawet zrozumiałe. Oni przecież dążą głównie do tego, aby definitywnie wyeliminować i po wsze czasy przekreślić jakąkolwiek możliwość zmiany modelu społeczno-ekonomicznego aktualnie narzucanego Polsce. Ten cel przesądza o wszystkim, to on determinuje - w istocie ślepe - doktrynerstwo autorów obecnego programu prywatyzacji.

Trzeba nieustannie występować w obronie zagrożonych pozycji ludzi pracy w ich macierzystych zakładach. Przeciwko likwidowaniu uprawnień związków zawodowych i samorządu pracowniczego. Przeciwko "wykolegowaniu" ludzi pracy i sprowadzaniu ich do pozycji bezwolnych "roboli", pozbawionych większości dotychczasowych

KTÓRĘDY DROGA?

uprawnień.

Lewica powinna stanąć na czele walki o pełną realizację - dla niektórych jakże niewygodnych dziś - 21 postulatów gdańskich. O spełnienie tego, czego rzeczywiście domagali się ludzie pracy w sierpniu 1980 r. Przeciwno próbom wystrychnięcia ich na dudka. Bo przecież to, co się obecnie w kraju dzieje, jest antytezą ówczesnych żądań ludzi pracy, antytezą celów, które im w sierpniu 1980 r. przyświecały.

Nie wolno ustawać w walce o demokratyczny kształt państwa prawa, o demokrację, a przeciwko próbom jej ograniczania. Przeciwno niebezpieczeństwu prawicowej dyktatury. Przeciwno próbom, zastąpienia dyktatury jednej biurokracji - tej, która udawała, że jest czerwona, przez dyktaturę innej biurokracji - tej w czarnym kolorze. Przeciwno przekształcaniu Polski w państwo wyznaniowe. Przeciwno jej "chomeinizacji" i absolutystycznym dążeniom polskich "ajatollahów".

Pod żadnym pozorem lewica nie może zgodzić się na pozbawianie ludzi pracy elementarnego prawa do ochrony zdrowia, bezpłatnej oświaty, do kultury. Zachowanie zdobytych w tym względzie uprawnień należy traktować priorytetowo. Występować przeciwko próbom, które zmierzają do ich cofnięcia, niejednokrotnie do stanu sprzed wieku.

Trzeba nieustannie prowadzić walkę ze wszelkimi formami nietolerancji społecznej, religijnej, politycznej, ideologicznej. Z próbami szykanowania ludzi lewicy, w tym byłych członków PZPR.

Inicjować, a także wspomagać wszelkie już zainicjowane działania na rzecz obrony pozycji społecznej i praw kobiety - również do planowania rodziny, w tym do aborcji; występować przeciwko nietolerancji obyczajowej.

Lewica powinna stanąć na czele walki w obronie coraz poważniej zagrożonych podstawowych interesów narodowych Polaków i państwa polskiego; w obronie rzeczywistej suwerenności Polski, a przeciwko stopniowemu spychaniu jej do roli neokolonialnego wasala bogatego Zachodu.

Na pewno nie wszystkie zasługujące na to kwestie zdążyłem tu wymieniść.

Sądzę jednak, że każdy kto zaakceptuje choćby jeden z wymienionych przed chwilą celów, poczuwa się do związków z lewicą i chce stanąć razem we wspólnym szeregu - powinien zostać przez ludzi lewicy serdecznie powitany. Chyba głównie na takiej podstawie można

dzisiaj budować szeroki - lewicowy i patriotyczny - front ludzi pracy, z nadzieją na skuteczne przeciwstawienie się ofensywie wstęcznictwa, kołtuństwa i neotargowicy.

Myślę jednak, że prawo do uzasadnionego optymizmu będzie można mieć dopiero wtedy, kiedy patriotyczny front polskiej lewicy potrafi znaleźć zrozumienie dla swoich postulatów a co za tym idzie i poparcie ze strony krytycznie nastawionej do aktualnej rzeczywistości "miłczącej większości" narodu: tych, którzy w czterech kolejnych kampaniach wyborczych odmówili swego udziału i demonstracyjnie - choć nie zawsze z tych samych powodów - nie poszli do urn.

Roman Broszkiewicz

Zastępca Przewodniczącego Rady Krajowej Ruchu Ludzi Pracy

ROK 1993 - LEWICA

Procesy społeczne są zazwyczaj powolne. Jednakże są momenty, gdy następuje nagie przyspieszenie, gdy to, powolne i niejasne zaczyna się przyspieszać i klarować, a ukryty tok społecznej myśli niespodzianie uzewnętrznia się w postaci gotowych i dojrzałych sądów i postaw. Rok, w którym to następuje, zazwyczaj nazywany jest później rokiem przełomu. Liczne objawy pozwalają sądzić, że rok 1993 jest właśnie takim rokiem.

Przełomowość roku 1993 będzie prawdopodobnie polegać na tym, że szerokie masy społeczne zrozumiały co się w Polsce i na świecie stało naprawdę, kto i co na tym zyska a kto i co na tym stracił, a co najważniejsze, większość Polaków potrafi sobie odpowiedzieć na pytanie do czego dążyłem, a dokąd dotarłem i co to dla mnie oznacza na przyszłość.

Warto się zatem zastanowić nad przynajmniej kilkoma sprawami, które rok 1993 czynią przełomowym, na podobieństwo np. roku 1989. Po pierwsze nastąpiła demitologizacja Zachodu. Rozwinięte kraje zachodnie, USA, Japonia przestały być traktowane jako siła opiekuńcza, która po wyzwoleniu spod komuny zapewni nam środki na dobre życie. Świadomość tego, że kraje te zalaćwają u nas czy nami swoje własne interesy jest już powszechna, coraz częściej słychać natomiast pytanie czego oni właściwie od nas oczekują. Odpowiedź, na nie pada jeszcze dość rzadko, ale podświadomość podpowiada, że nasze miejsce w Europie to miejsce dozorczy lub psa u bramy, a nie na salonach tych, którym mamy zapewnić nieco więcej bogatego spokoju. Powoli też zaczyna docierać do społecznej świadomości, że na salony nie wpuszczają nas nigdy, a poglądy polityczne i religijne dozorczy lub psa są dla jasnie państwa bez większego znaczenia. Ale nawet i z tym cząstkowym zrozumieniem sytuacji społeczeństwo polskie daleko oddaliło się od hasła typu: "Europa na to nie pozwoli", "Świat winien jest nam wdzięczność za obalenie komunizmu", "Ameryka nam pomoże". Stąd blisko już do drugiego stwierdzenia, o przemijaniu współczesności. Jeśli dla każdego cel walki okazał się odmienny od osiągniętego (tak u zwycięzców jak i pokonanych), to jedynie zupełny fanatyzm może udawać, że wszystko jest tak jak być powinno. Dlatego wszystkie siły społeczne (i jakże wiele osób indywidualnych!) z dobrym

skutkiem starały się zapomnieć o własnych hasłach - choćby tylko z roku 1989. Dotyczy to w pierwszym rzędzie tzw. elit politycznych, Ale proces ten zachodzi w całym społeczeństwie. Ta stratyfikacja odczuć daje już widoczny efekt polityczny, powodując tak wielką wzajemną zacieklność między niedawnymi opozycjonistami. W 1980 i 1989 roku wszyscy oni - to byli "my", dziś część tych "my" rządzi i ma, a znaczna większość jest rządzoną i nie ma, w pełni już zdając sobie sprawę z tego, że nie po to się strajkowało i nadstawiało karku, by zwalczanego dyrektora zastąpił dawny kolega, dziś już może jako właściciel. Proces ten szczególnie daleko posunął się w dwóch podstawowych siłach społecznych, stanowiących bazę przemiany ustrojowej w Polsce - u robotników wielkoprzemysłowych i inteligencji. Oni najwięcej w tę walkę włożyli, im najwięcej obiecano, spośród nich wyszło najwięcej liderów, i oni najwięcej stracili do dziś - tracąc już także nadzieję na przyszłość. Ale też im jest najtrudniej podjąć decyzję o pozytywnym działaniu, oni tak długo mieli nadzieję, że ich niedawni koledzy tylko w wyniku obiektywnych trudności nie robią tego, o co wspólnie walczone. Ze nie wiedzą, nie znają sytuacji w miejscowości X lub zakładzie Y, że inni (komuna?) rzucają im kłody pod nogi. Dziś to złudzenie już mija, tak jak mijało zawsze, gdy sytuacja materialna dzieliła kombatantów zwycięzców. Prawdopodobnie właśnie dlatego w ruchu samoobrony wieś wyprzedziła miasto, a poziom zorganizowania chłopów okazał się znacznie wyższy niż robotników i inteligencji. Ruch opozycyjny na wsi był relatywnie słaby w porównaniu z miastem, a dziś nie skutkuje tak mocnymi resentymentami kombatantów. Dlatego widzimy zaktywizowanie się dawnych i powstawanie nowych związków i partii chłopskich, wszystkie o wyraźnym profilu politycznym, a ostatnie zatargi wewnątrz Klubu Poselskiego "S" uzewnętrzniły głębię przemian w świadomości pracowników, jak dotąd bez skutków organizacyjnych.

Widocznym stało się także udoskonalenie metod aktualnej władzy w staraniach o osiągnięcie swych faktycznych celów, jakkolwiek świadomość społeczna tych celów także zaczęła się już upowszechniać. Istotnym celem jest bowiem przejęcie majątku społecznego, a wszystko inne jest polityczną ornamentyką. Cel ten ma realizować koalicja rządowa, na beneficjenci koalicjantów, którzy pozostawiamy pozwalają wprowadzić realizować ich cele polityczne, ale w taki sposób, który przeniesie na nich maksimum kosztów społecznych wszystkich operacji. Najlepszym tego przykładem jest pozwolenie ZChN-owi na załatwienie ustawy antyaborcyjnej, zmniejszając opór wobec programu powszechnej prywatyzacji oraz budżetu - dwóch ustaw mających zmienić sytuację własnościową w Polsce. Cała akcja rządzących UD i KLD w parlamencie zmierza do utrzy-

mania jakiegokolwiek koalicji, która pozwalałaby przepchnąć restrykcyjny budżet i wywłaszczeniową powszechną prywatyzację, stąd aktualna - dziwaczna koalicja "wody z ogniem", stąd jeszcze dziwniejsze próby koalicji z PC, PSL, KPN, stąd rozterki Klubu "S". Poza parlamentem jest to chowanie celu przemian własnościowych za parawanem problemów pozomych, których głównym jest sprawa politycznych wpływów Kościoła. Umiejętne uwypuklanie rzeczywistych ambicji Kościoła ma skierować na niego niechęć społeczną, co już udało się w znacznej mierze, bo odwracanie się społeczeństwa polskiego od kościoła katolickiego przebiega rzeczywiście w niebywałym tempie. Sam Kościół chętnie dał się wciągnąć w tę grę, nie rozumiejąc najwidoczniej jeszcze, że już poniósł strategiczną porażkę i w krajach bogatych, gdzie przestał być potrzebny i w biednych, gdzie nie zdołał przedstawić odpowiedniej oferty programu socjalnego. Gdy przyjdzie mu zapłacić rachunki za prywatyzację w Polsce, będzie to już strategiczna klęska.

Także zrozumienie i tej sytuacji staje się w 1993 roku coraz bardziej widoczne. Lewica, jak dotąd, nie była ani problemem dla władzy ani nadzieją dla społeczeństwa. Niepewna, oboląta, zakompleksiona, uciekając w chorobę rozliczeń przeszłości lub skrywając się za zastaną teoretyzujących programów, nie stała się siłą skupiającą coraz bardziej zawiedzione i coraz bardziej świadome rzesze społeczeństwa. Pozornie wszystko jest w porządku. Jedność lewicy wydaje się wystarczająca, programy są ładne a mówcy kwiecieśni, ale to pozór, bo jest to jedność bezruchu i obrzędowa pustka. Jeśli formacje polityczne polskiej lewicy nie odpowiedzą na aktualne potrzeby ludzi pracy, to jeszcze w 1993 roku okaże się, że świadomość mas wyprzedza świadomość i wolę liderów, że zwykłymi tego konsekwencjami - rolę lidera społecznego przejmą ugrupowania narodowo-zachowawcze.

Dlatego tak ważne jest, by w roku 1993 zaistniała prawdziwa jedność lewicy. Jedność uwzględniająca pluralizm form i metod działania, a nie kuszająca się nawet na próbę wykazywania wyższości jednej racji nad drugą. Musi ona natomiast pokazać ludziom pracy, że w ramach tej jedności, każdy działa na rzecz ich interesów tak, jak może to zrobić najlepiej.

Henryk Chołaj

Z OKAZJI 500 LECIA SPOTKANIA DWÓCH ŚWIATÓW

(fragment większej całości)

Świat współczesny na sposób znowu odkrywa Amerykę, lecz nie USA, a pierwotne ludy amerykańskie, które doznają swoistej rehabilitacji. Nastąpiła akceptacja nowego spojrzenia na wiele wartości wytworzonych przez dawne kultury indiańskie (np. w zakresie ekologii), a także ich wybitnego wkładu do cywilizacji ogólnoludzkiej, ich roli w dziejach homo sapiens. W tym kontekście jest miejsce na dokonanie rewizji dziewiętnastowiecznych schematów myślowych obciążających konto formacji intelektualnej określonej mianem socjalizmu naukowego a ściślej biorąc nurtu myślowego wywodzącego się od Fryderyka Engelsa. Dokonanie obrachunku teoretycznego z tym nurtem jest obowiązkiem naukowym, w szczególności zaś z niekwestionowanym dotąd wśród marksistów europocentrycznym dogmatem sformułowanym przede wszystkim w jego pracy *"Pochodzenie rodziny, własności prywatnej i państwa"*, w której to pracy Engels, za L.H.Morganem określił te ludy - barbarzyńskimi. [...]

Obrachunki teoretyczne z F.Engelsem

Zarówno dzisiejsza antropologia społeczna nie może powtarzać też Morgana z 1877 roku, jak i współczesny marksizm engelsowskich formuł z 1884 r. W świetle wyników badań nagromadzonych w ciągu minionego stulecia trudno byłoby obstawać dzisiaj przy schemacie ewolucyjnym Morgana-Engelsa i hipotezie dotyczącej stanu dzikości i barbarzyństwa oraz wynikającej stąd periodyzacji dziejów pierwotnych ludzkości.

Hipoteza Morgana-Engelsa miała swoje znaczenie, podobnie jak każda inna hipoteza naukowa, dopóki nagromadzenie nowego materiału nie dopomniżało się rewizji. W świetle dostępnej dzisiaj wiedzy naukowej nie można bezkrytycznie obstawać przy hipotezie L.H.Morgana o przeszło stuletniej dawności.

Engels nie wyzwoił się wszakże - w tym przypadku - ze swego paradygmatu europocentrycznego. Nie znajduje on podstaw, by zdobyć materialnej kultury Azteków czy Mayów uznać za stan cywilizacji a same ludy za cywilizowane; pasują one jeno do barbarzyństwa. A był to wszak punkt widzenia tłumaczący kolonizowanie ludów indiańskich po to,

by wyprowadzić je ze stanu barbarzyństwa (barbarzyńcą był podbity Indianin), cywilizacja zaś zatriumfowała nad barbarzyństwem, nawet jeśli to ma oznaczać wykorzenie całych kultur.

I tak pojęcie barbarzyństwa występujące w koncepcji Engelsa dla oznaczenia przejścia od ustroju wspólnoty pierwotnej do niewolnictwa jest przykładem uwikłania w kontekst dociekań antropologii ewolucjonistycznej, u podstaw której leżą wyobrażenia ukształtowane w europejskim kręgu kulturowym i intelektualnym. Tymczasem procesy społeczne w świecie prekolumbijskim nie dają się ująć w kategorii skonstruowane na podstawie doświadczeń europejskich.

Z perspektywy współczesnego stanu wiedzy naukowej o ludach pierwotnych, zwłaszcza w Ameryce prekolumbijskiej, mankamenty koncepcji teleologicznego ewolucjonizmu są nader wyraźne. Tezy zeszlówiecznej antropologii amerykańskiej a zwłaszcza jej prominenta L.H.Morgana, a w ślad za nimi i F.Engelsa - klasyfikującego wszystkich Indian prekolumbijskich jako dzikich lub barbarzyńców, okazały się elementem przestarzałym w teorii (nie ma powodów merytorycznych natomiast, by uznawać to za błąd teoretyczny). Warto wyróżnić co najmniej kilka punktów.

a) Zanysowując globalną perspektywę rozwoju ludzkości i człowieka engelsowska koncepcja traktowania cywilizacji jako fenomenu genetycznie związanego i historycznie pokrywającego się z społeczeństwem klaso-

wo antagonistycznym (stanowiącym jego fundament) nie wytrzymuje krytyki naukowej, tak samo jak wyikający stąd trójpodział ludzkości ("przedcywilizacja", "cywilizacja", "postcywilizacja"). Błąd wyrażający się w utożsamianiu społeczeństwa cywilizowanego ze społeczeństwem klasowym polega na tym, że: po pierwsze jest pewne, iż ludzkość nie będzie w przyszłości żyć poza cywilizacją (chyba, że popadłaby w stan barbaryzacji w rezultacie "zimy atomowej"), acz nie będzie to cywilizacja w dotychczasowej postaci. Po wtóre - stan cywilizacji pojawia się już w ramach formacji wspólnoty pierwotnej a mianowicie w drugiej jej fazie, tj. po nastaniu gospodarki wytwórczej, wtedy bowiem już pojawia się rewolucja neolityczna. Ustrój wspólnoty pierwotnej pokrywa się z wiekiem kamiennym, obejmując epokę paleolitu, mezolitu i neolitu. Nb. pojęcie wspólnoty pierwotnej jako pierwszej formacji istnieje w pracach tylko niektórych marksistów.

Przy określaniu formacji społecznoekonomicznej bierze się pod uwagę sposób produkcji, tymczasem przy określaniu cywilizacji odwołuje się do wszystkich zdobyczy materialnej i duchowej kultury na tym czy innym etapie historii. A ponieważ pod panowaniem tego czy innego sposobu produkcji poziom materialnej i duchowej kultury bywa różny, typów i rodzajów cywilizacji jest wiele więcej niż formacji. I tak formacja niewolnicza miała takie typy cywilizacji, jak: starogrecką, babilońską, klasyczną grecką, helenistyczną, rzymską, aleksandryjską i inne. Z kolei

formacja feudalna dała cywilizację bizantyjską, arabską, zachodnioeuropejską, nie wspominając już o chińskiej i hinduskiej.

Egipski socjolog A. Abel-Malek na IX światowym kongresie socjologicznym w Szwecji w 1978 r. na posiedzeniu sekcji teorii cywilizacji wskazywał, z jednej strony, na związek konkretnych cywilizacji z rodzimą i samorodną kulturą poszczególnych narodów, z drugiej zaś strony na nieuzasadnioną próbę wiązania tych cywilizacji z określonymi systemami społeczno politycznymi. Tak więc np. cywilizacja europejska była jedna, a na terytorium Europy przewinęło się wiele formacji: niewolnictwo, feudalizm, kapitalizm a nawet socjalizm.

Ogólnie można przyjąć, że pojawieniu się kolejnych formacji towarzyszy odpowiedni rozwój cywilizacji, ale podjęcie cywilizacji podpadają społeczeństwa znajdujące się nie tylko w obrębie ery formacji klasowo antagonicznych, poczynając od niewolnictwa, ale i na rubieży tej ery i epoki wspólnoty pierwotnej (sposobu produkcji epoki pierwotnej). Co więcej, tego rodzaju cywilizacje okazywały się nosicielami historycznej misji wyprowadzania danego narodu poza granice ustroju wspólnoty pierwotnej. Odnosi się to właśnie do przedkolumbijskich cywilizacji indiańskich.

b) Wskazywane przez Morgana (i Engelsa) niektóre cechy charakteryzujące poszczególne epoki okazały się nieistotne (tak np. wynalezienie gamcarstwa określającego

przejście do barbarzyństwa okazało się kryterium mało istotnym, nie uniwersalnym). Stąd ich nieprzydatność w charakterze uniwersalnych kryteriów - ze względu na to, że nie mają one uniwersalnego znaczenia.

c) Według Morgana i Engelsa, społeczeństwa przedklasowe były "dzikie" lub "barbarzyńskie", a najstarsze społeczeństwa klasowe powstały jako społeczeństwa niewolnicze. Tymczasem praca niewolnicza - jako panująca forma produkcji - w charakterze kryterium pojawienia się cywilizacji nie wytrzymuje konfrontacji z faktami historycznymi. Wiele cywilizacji lokalnych pojawiło się u ludów nie znających niewolnictwa. U wielu innych zaś praca niewolnicza nie stanowiła dominującej formy produkcji. Odnosi się to również do najbardziej rozwiniętych indiańskich społeczeństw prekolumbijskich (najważniejszym źródłem niewolników były wojny) gdzie niewolnictwo nie stanowiło instytucji o znaczeniu fundamentalnym. Niewolnicy bowiem nie byli tam główną siłą roboczą.

W przededniu podboju Ameryki były reprezentowane w najrozmaitszych odmianach - co najmniej dwa typy państwowości: miasta-państwa w centralnym Meksyku i cesarstwa (Inków). Indiański wariant wczesnoklasowego państwa wskazuje na pryncypialną formacyjną bliskość prekolumbijskich cywilizacji Ameryki i najdawniejszych państw Mezopotamii, Egiptu iin. w Starym Świecie. W ten sposób staje się możliwe wykorzystanie metody porównawczo-historycznej dla analizy

dawnych cywilizacji. Według opinii Engelsa cywilizacje indiańskie stały poniżej starożytnych cywilizacji - greckiej i rzymskiej. Wchodząc do historii Grecy okresu bohaterskiego stali już u progu cywilizacji i wyprzedzali, jego zdaniem, plemiona amerykańskie o dwa okresy wielkiego rozwoju. Tymczasem były to podobnie do siebie społeczeństwa tradycyjnie zorientowane na reprodukcję istniejących stosunków społecznych.

d) Patrząc od strony ekonomicznej można zgodzić się - na wysokim szczeblu ogólności - z podejściem Engelsa do cywilizacji jako do stanu społeczeństwa opartego na wymianie ekonomicznej i produkcyjnej towarów.

Charakterystyka pięciu cywilizacji obejmuje zatem również określony sposób komunikacji pomiędzy ludźmi (stosunki towarowo-pieniężne) oraz określony sposób produkcji (towarowa). Kategorie i prawa ekonomiczne wyrażające stosunki towarowo-pieniężne są atrybutami cywilizacji, której pojawienie wiąże się z tymi właśnie stosunkami, a nie pracy niewolniczej jako dominującej. Na ogół cały okres cywilizacji znajduje się pod ich panowaniem. Prawo wartości np. obowiązuje wszędzie - w takim stopniu w jakim w ogóle obowiązują prawa ekonomiczne - przez cały okres cywilizacji, a więc i okres produkcji towarowej. Prawo to obowiązuje w sensie ekonomicznym w okresie zapoczątkowanym wymianą przekształcającą produkty w towary.

Ale tezy szczegółowe Engelsa są nadal kontrowersyjne a niektóre nawet nie do przyjęcia w świetle dzisiejszego stanu wiedzy naukowej. I tak cywilizacja jego zdaniem nastaje dopiero w rezultacie trzeciego społecznego podziału pracy, kiedy to pojawia się klasa kupców, istnieje już pieniądź metalowy a tym samym kapitał pieniężny, procent i lichwa, hipoteka, testamenty itd. - słowem zaczyna się na dość wysokim szczeblu produkcji towarowej. A w rzeczywistości cywilizacja powstała znacznie wcześniej, bo w rezultacie rewolucji neolitycznej (agramej) a więc w toku pierwszego społecznego podziału pracy (który różni się od prostego i naturalnego podziału pracy dokonującego się w zależności od płci i wieku). Kontynent amerykański natomiast prawie nie znał takiego istotnego wynalazku rozwoju gospodarczego jak pierwszy podział pracy polegający na oddzieleniu się chowu bydła od uprawy roli. Co się tyczy cywilizacji Inków, to nastąpiło oddzielenie się rzemiosła od rolnictwa.

Rewolucja neolityczna wpisuje się w historię społecznego podziału pracy. Pierwszy z nich powstał w rezultacie wyodrębnienia się plemion pasterskich z ogólnej masy (początkowo pasterstwo i rolnictwo były połączone w obrębie jednej wspólnoty), które z osuwania a następnie chowu udomowionych zwierząt uczyniły swe główne zajęcie. Dzięki temu po raz pierwszy powstała możliwość regularnej wymiany, na poprzednich szczeblach wymiana mogła odbywać się tylko przypadkowo. O znaczeniu tego pierwszego wielkiego

podziału pracy społecznej świadczy wykształcenie się określonych dróg handlowych. W Ameryce prekolumbijskiej np. przebiegały one wzdłuż rzek.

W gospodarce przetrwającej nie mogło być towarów. Wymiana ekonomiczna pojawiła się w początkowym okresie gospodarki wytwórczej w rezultacie oddzielenia się pasterstwa i chowu zwierząt gospodarskich od płomion specjalizujących się w większym stopniu w uprawie roli. Była to wymiana produktów pomiędzy wspólnotami, a następnie w obrębie wspólnoty, przyczyniając się w znacznej mierze do rozpadnięcia się jej na grupy rodzinne. Po zakończeniu tego procesu dokonujący wymiany zwierchnicy rodzin część niezbędnych produktów otrzymują z zewnątrz w drodze wymiany nadwyżki własnego produktu (ale głównym zadaniem pozostaje wytworzenie naturalnych środków wytworzenia). Produkt nabiera formy towaru. Towar a następnie pieniądz staje się kategorią ekonomiczną. Wymiana gospodarcza miała początkowo charakter prymitywny, co wyrażało się w nieistnieniu pojęcia wartości. W toku dalszego rozwoju wymiana ta nabrała nowego handlowego charakteru i powstały ośrodki wymiany. Wraz z rozczepieniem produkcji na dwie wielkie gałęzie - rolnictwo i rzemiosło - w wyniku drugiego wielkiego podziału pracy, powstała produkcja bezpośrednio do wymiany a wraz z nią powstał handel. Rozwój

rzemiosła doprowadził do powstania miast, a więc oddzielenia wsi od miasta.

Wymiana towarowa powstała wcześniej niż jakakolwiek pisana historia, sięgająca w Europie co najmniej do trzeciego i pół tysiąclecia p.n.e., w Babilonii zaś - czwartego a może nawet szóstego tysiąclecia p.n.e. Prawo wartości panowało więc przez okres pięciu do siedmiu tysięcy lat. Uwzględniając nawet fakt, że rewolucja neolityczna w Azji wyprzedzała o 2 - 3 tysiąclecia Mezoamerykę, widać wyraźnie, dlaczego z ekonomicznego punktu widzenia nie można zgodzić się ze stanowiskiem negującym istnienie stanu cywilizacji w prekolumbijskich społeczeństwach indiańskich.

e) Zgodnie z ówczesną manierą Engelsa w wielu wcześniejszych od "*Pochodzenia rodziny...*" publikacjach wyraźnie dzielł istniejące kraje na "cywilizowane" i "barbarzyńskie", które wcale lub prawie wcale nie były wciągnięte w nurt historycznego rozwoju, których produkcja dotąd opierała się na manufakturach¹. Szo tu o Indie, Chiny etc. Natomiast K.Marks w "*Niemieckiej ideologii*" wprowadził rozróżnienie "pomiędzy danymi od natury a stworzonymi przez cywilizację narzędziami produkcji"². A narzędzia produkcji właściwe są gospodarce wytwórczej, jaka pojawia się po gospodarce przyswajającej. Idzie więc o przejście od z gruba ciosanych, nie gładzonych narzędzi wczesnej epoki kamiennej, tj. od tzw. narzędzi paleoli-

1) Dzieła, t.4., Warszawa 1962, s.404

2) Dzieła, t.3., Warszawa 1961, s.72

tycznych do narzędzi szlifowanych - tzw. narzędzi neolitycznych.

Dzięki historycznemu przypadkowi opublikowaną w 1877 roku książkę L.H.Morgana "Ancien Society" otrzymał K.Marks od M.M.Kowalewskiego po jego powrocie ze Stanów Zjednoczonych i w latach 1880-1882 sporządził jej konspekt. Praca Morgana przyciągnęła w szczególności uwagę F. Engelsa, po którego śmierci opublikowano "Pochodzenie rodziny..." (1889 r.) i spopularyzowano w ten sposób koncepcję Morgana jako zgodną z jego własnym systemem teoretycznym. Wytania się tu odrębne pytanie, jak dalece Engels pisząc własną antropologię był wiemy dziełu K.Marksa. Notatki Marksasugerują sporą dozę ostrożności wobec interpretacji nagromadzonego materiału. "Ma się wrażenie, że Marks czytał Morgana, aby rozwijać własną teorię, Engels natomiast podporządkował się dziełu Morgana"³. Stanowiska K.Marksa jest mniej bezkrytyczne od stanowiska Engelsa, który podzielał ogólną wizję rozwoju społecznego Morgana i pod

wpływem lektury jego prac zakładał, że dzieje ludzkości rozpadają się na dwa etapy: rodowy i klasowy. Niektórzy komentatorzy książki F. Engelsa wskazują, że wydobyła ona "obraz idyllicznej społeczności bezklasowej, który nazwano później pierwotnym komunizmem i potem jeszcze bardziej pogmatwała z typem społeczeństwa, który marksiści próbowali zbudować w przyszłość"⁴.

f) Jeśli porządek cywilizacji nałożył na chronologię formacyjną, to cywilizacja ukształtowała się w drugiej fazie ustroju wspólnoty pierwotnej, kiedy dominowała już gospodarka wytwórcza (próg ten został nazwany przez archeologów rewolucją neolityczną). Proces ten nie następował równocześnie na całej ekumenie. Z powodu zwanego asynchronizmem przypadł on na kontynencie amerykańskim na okres nieco późniejszy niż w Starym Świecie. Nie ma natomiast podstaw do tego, by w ogóle negować zaistnienie procesu neolityzacji w Nowym Świecie⁵.

3) A.K.Paluch: Mistrzowie antropologii społecznej, Warszawa 1990, s.65

4) M.Bloch: *Marxism and Anthropology*, Oxford 1983, p.20

"Nowy Świat nie znalazł zjawiska neolityzacji, a sposób rozprzestrzeniania się tutaj gospodarki rolniczej różnił się w sposób zasadniczy od sposobu w... Starym Świecie" - J.Trzeciakowski: *Zanim przyszli Aztekowie*, Warszawa 1980, s. 220.

O procesie neolityzacji w Starym Świecie pisze m.in. E.Nowicka w książce *Świat człowieka - świat kultury*, Warszawa 1991 s.266-276

Jarosław Ładosz

DLACZEGO ROZPADŁ SIĘ SOCJALIZM?

O nowej książce Jacka Tittenbruna

Książka Jacka Tittenbruna *Upadek socjalizmu realnego w Polsce*¹⁾ jest godną uwagi próbą odsłonięcia społecznych, klasowych sił wewnętrznych, których narastanie w latach 70. i 80. stanowiło podglebie rozkładu "realnego socjalizmu" i preludium restauracji kapitalizmu w Polsce. Godną uwagi i pouczającą dla lewicy, w której szeregach wciąż żywotne jest przekonanie, że przyczyną upadku była zdrada przywódców (wierzy się ich dzisiejszym wallenrodystycznym przechwałkom) i spisek imperia- listów. Poważną w zestawieniu z nachalną propagandą panującej kontrewolucyjnej prawicy, iż "realny socjalizm" upadł w wyniku zbuntowania się zniewolonego i niszczonego przez 45 lat narodu przeciwko "sowieckiej okupacji", władzy agentów KGB i jej rodzimych "komuchowatych" służbów.

Autor wykazał przekonująco, że przesłanki obecnej restauracji kapitalizmu w Polsce były kształtowane przez ekonomiczne i polityczne reformy lat 70. i 80., które prowadziły do umacniania sił kapitalizmu i które w coraz wyższym stopniu były odbiciem interesów tych sił, że "reformatorzy" w PZPR zapoczątkowali na dużą skalę restaurację kapitalizmu i doprowadzili do oddania władzy politycznej otwartym jego zwolennikom. To oni "wynaleźli" narzędzia tej restauracji i posługiwali się nimi. Narzędzia, które służyły przechwytywaniu wartości dodatkowej uspo- lecznionych sektorów gospodarki przez zagraniczny i krajowy kapitał, prowadząc do wyczerpania klasy robotniczej, która w coraz większym stopniu stawała się nominalnym tylko właścicielem. To oni wprowadzili sławetny "popiwek" i dywidendę - haracz płacony wyłącznie przez uspo-

1) Dom Wydawniczy "Rebis", Poznań 1992, 222 str.

DLACZEGO ROZPADŁ SIĘ SOCJALIZM

lecznione przedsiębiorstwa, dając przez to przywileje własności prywatnej zagranicznej i krajowej. Mało tego - ustanawiali dla tej ostatniej wieloletnie zwolnienia podatkowe oraz przywileje w transferze zysków za granicę i w handlu zagranicznym. W 1983 roku znieśli fundusz socjalny w przedsiębiorstwach prywatnych. Rozpoczęli najpierw utajoną, a w końcu i jawną prywatyzację państwowej i spółdzielczej własności. Doprowadzili do względnego spadku (choć jeszcze nie bezwzględnego) funduszu spożycia zbiorowego.

Materiał dokumentujący przebieg tych procesów jest w książce ogromny i wszechstronny. W tym także odwołujący się do poważnych ocen kapitalistycznej prasy zagranicznej, konstatającej, że polityka lat 80. stwarzała optymalne warunki dla rozwoju kapitalizmu. Równolegle uzyskujemy wiarygodne dane, że implantowana prywatna przedsiębiorczość zagraniczna i krajowa cechowała się niższą niż produkcja uspołeczniona wydajnością pracy. Sławetne "firmy polonijne" nie przynosiły bynajmniej bogacenia rynku i nie wnosiły nowych technologii, lecz spekulacyjnie pasożytowały na prymitywnym przetwarzaniu produktów gospodarki uspołecznionej, wyzyskiwały tanią

siłę roboczą, unikały inwestowania poważnych kapitałów.

Autor podzielił książkę na dwie części. W pierwszej rozpatruje procesy narastania społecznych przesłanek upadku "realnego socjalizmu" w latach 70., w drugiej - w latach 80.. Dla pierwszego okresu decydujące znaczenie miało podporządkowanie społecznej gospodarki zagranicznemu kapitałowi pożyczkowemu. Pułapka kredytowa szybko doprowadziła do zahamowania rozwoju gospodarczego, do uzależnienia kraju od kapitalistycznych centrów kosztem klasy robotniczej. Wymusiła posłuszeństwo MFW, zapoczątkowała uleganie presji na prywatyzację. Wyjście z pułapki wymagało cofnięcia się, restrukturyzacji kosztem poziomu życia ludzi pracy. Kierownictwo polityczne, którego polityka doprowadziła do impasu, nie było w stanie uzyskać na to pozwolenia, dać wiarygodnego programu wyjścia. Przeciwnie - wyjścia szukało w tworzeniu przywilejów dla produkcji drobnokapitalistycznej w przemyśle i rolnictwie, a obciążeniu pracowników przemysłu państwowego kosztami spłat zadłużenia. Lata 80. przynoszą kontynuację polityki nasadzania stosunków kapitalistycznych na coraz szerszą skalę i programowe już zapoczątkowanie prywatyzacji własności uspołecznionej.

Symbolem tej polityki stał się minister Wilczek, który otwarcie prezentował i zapoczątkował realizację przekazywania państwowej własności prywatnemu kapitałowi wprost, a nie okrężną drogą. Kierownictwo PZPR po wprowadzeniu stanu wojennego jawnie prowadziło politykę antysocjalistyczną, w interesach kapitału zagranicznego i biurokracji powiązanej z umocnioną już w latach 70. i umacniającą się nadal drobną burżuazją rodzimą.

Zarówno potraktowanie lat 70. jako przełomowych dla zapoczątkowania procesu rozkładu realnego socjalizmu w Polsce, jak i periodyzacja tego procesu są udokumentowane przez zebrany materiał obficie i przekonująco. Trzeba jednak poczynić tu dwie uwagi krytyczne:

Po pierwsze - to zapoczątkowanie jawi się jak *Deus ex machina*, bowiem Tittenbrun po prostu zaczyna od lat 70., nie pokazuje w ogóle, jakie to przyczyny sprawiły pojawienie się tego zapoczątkowania, nie podejmuje próby analitycznego przeniesienia się do okresu poprzedzającego. A przecież i w latach 1944 - 1970 funkcjonowały klasy drobnej własności prywatnej, miały miejsce te czy inne ekonomiczne ustępstwa wymuszane przez centra kapitalizmu, mieliśmy do czynienia z biurokratycznymi wypaczeniami i spadkiem aktyw-

ności, kontroli klasy robotniczej. Na skutek tego braku w książce niezamierzenie występuje idealizowanie realności socjalizmu przed 1970 rokiem, choć trafnie dokumentuje się, iż w latach 70. i 80. socjalizm proklamowany jako realny stawał się faktycznie w rosnącej skali formalnym tylko. Jednakże przed latami 70. nie utracono kontroli, zachowana była kontrola nad własnością prywatną i jej siłami społecznymi, nie dopuszczano do podporządkowania polityki socjalistycznej i socjalistycznej gospodarki ich zewnętrznym i rodzimym interesom. Tej jakościowej różnicy autor jednak nie pokazał.

Po drugie - erozja socjalizmu, narastanie kapitalizmu w latach 70. i 80. jest dramatyzowana przez autora jako ogromna. A przecież, chociaż materiał dowodzi jej poważnej skali, jest ona wręcz śmiechu warta w porównaniu z tym, co nastąpiło po upadku "realnego socjalizmu", ze skalą rabunku własności uspołecznionej, oddawaniem za darmo wielkich przedsiębiorstw państwowych zagranicznemu kapitałowi, prywatyzacją i reprivatyzacją majątku narodowego wytworzonego trudem klasy robotniczej przez dziesięciolecia, ze skalą nadużyć i demoralizacji w procesie jawnego tworzenia "klasy średniej". Przecież po upadku "realnego socjalizmu"

nastąpił kryzys gospodarczy o skali nieznanej w dotychczasowej historii, gwałtowny spadek dochodu narodowego, stopy życiowej ludzi pracy najmniejszej, bezwzględny regres funduszu spożycia zbiorowego, pozbawianie praw socjalnych w zakresie bezpłatnej służby zdrowia, oświaty itd. Wstydlive podporządkowanie dyktatowi międzynarodowego kapitału zastąpiło - ogłaszane za cnotę - jawne podporządkowanie się MFW, politycznym ingerencjom USA i EWG. To prawda, że polityka kierownictwa PZPR w latach 70. i 80. jest odpowiedzialna za stworzenie przesłanek tej klęski, ale brak proporcji sprzyja pomniejszaniu odpowiedzialności historycznej "solidarnościowych" rządów i klas, które wyrosły na tej klęsce.

Wnioski o narastaniu elementów kapitalizmu oparte są na ogromnym, mrówczo nagromadzonym i sensownie usystematyzowanym bardzo różnorodnym materiale statystyki ekonomicznej, badań socjologicznych, reportażach prasowych i naukowej publicystyki, analizie hasel strajkowych itd, itp. Z reguły te materiały uzupełniają się wzajemnie i wzmacniają prawomocność wniosków. Nie przypadkiem najobfitszym źródłem wykorzystywanych faktów jest wrocławski tygodnik *Sprawy i Ludzie*, który przez lata niezwykle konsekwent-

nie demaskował afery gospodarczej, tolerancję władzy dla oszukańczych manipulacji, bezkarność biurokratów i przywaciarzy żerujących na uspołecznionym przemyśle itp. Niestety, nie wszędzie materiał traktowany jest z należytym krytycyzmem, a niekiedy kolekcja wybranych faktów, niewątpliwie świadcząca o istnieniu zjawiska, jest podstawą nadmiernych uogólnień.

Najmocniej przemawia i najpełniej jest zaprezentowany materiał statystyczny dotyczący pułapki kredytowej i jej konsekwencji. Ukazany potworny wzrost zadłużenia w wyniku odkładania spłaty rat i narastania odsetek: w rozpatrywanym okresie spłacono więcej niż pożyczono, a dług narastał. Toteż teza o tym, że przedsiębiorstwa nominalnie nadal państwowe stawały się faktycznie w dużej części własnością zagranicznego kapitału pożyczkowego, a ich załogi były wyzyskiwane przez ten kapitał, jest mocno uzasadniona. Jako lapsus potraktować można stwierdzenie, że przyczyną tej pułapki jest mechanizm procentu składanego. To tak, jakby upatrywać przyczynę w prawach arytmetyki.

Równie kompletny jest materiał poświadczający wzrost udziału sektora własności prywatnej w globalnym produkcie społecznym i

handlu, w szczególności prywatnych spółek tworzonych na bazie państwowych przedsiębiorstw, których głównymi udziałowcami stają się często kierownicy tych przedsiębiorstw i promineneci władz państwowych i partyjnych, oraz firm polonijnych, których menażerowie rekrutują się z tychże środowisk. Bogate są też globalne dane o wzroście zróżnicowania płac, a zwłaszcza płac najwyższych, których wielkość ukrywano przez manipulacje oficjalnej statystyki.

Jednakże niekiedy argumentację osłabia traktowanie hurtem za świadectwa narastania kapitalizmu na równi zjawisk i procesów o bardzo różnorodnym charakterze. Obok fortun "prywatniarzy", wygórowanych płac, premii i kont prominentów przemysłu jako takie świadectwo uznawane są łapówki przyjmowane przez milicję drogówki i łapówki za przydział traktorów pobierane przez naczelników gmin. Obok kazusów "delegowania" robotników przedsiębiorstw do budowy willi prominentów przemysłu i aparatu politycznego,

gromadzenia przez prominentów dzieł sztuki - "przywileje" płacowe i chamskie wysoki majstrów, dozoru górniczego, personelu technicznego. Autor traktuje postulat urawniłowki w płacach jako postulat klasy robotniczej i wszelkie pogłębianie zróżnicowania płac - za przejaw ustępstw na rzecz kapitalizmu. Na równi wreszcie traktuje gromadzenie dzieł sztuki, dużych sum wkładów oszczędnościowych ze stawianiem się udziałowcami prywatnych spółek, sofistycznie wywodząc, iż te pierwsze są już kapitałem (próbując określić próg ich wartości, po którego przekroczeniu automatycznie funkcjonują jako kapitał). Zapomina zresztą o tym progu, gdy za przejaw narastania kapitalizmu traktuje istnienie pięciu milionów Polaków, którzy w latach 80. dysponowali swobodnie kontami dewizowymi, choć dane przezeń przytoczone mówią, że średnio na takim koncie było 80 dolarów! Równie chybione byłoby przecież potraktowanie, narastających wraz z inflacją i pustoszeniem rynku, złotówkowych oszczędności ludności.²

² 2) Oczywiście polityka ułatwień dysponowania dewizowymi oszczędnościami w latach 70. i 80., podobnie jak ułatwień w gromadzeniu oszczędności złotówkowych na bezmiennych książeczkach PKO na hasło, sprzyjała akumulacji bogactwa, "praniu pieniędzy" ze źródeł nielegalnych i w tym sensie - kapitalistycznej akumulacji. Pozwalała unikać opodatkowania dochodów, podatku spadkowego. Lecz sama globalna wielkość tych oszczędności i liczba kont nie mówi o umacnianiu się klas wyzyskiwaczy. Kiedyś Juliusz Włocławek próbował ustalić właśnie wielkość i repartycję wkładów w PKO w woj. gdańskim na książeczkach na hasło.

Trafiają się też, nieliczne wprawdzie, przypadki non-szalanci wobec danych oficjalnej statystyki. Tak np. dowodem fałszowania na ogromną skalę statystyki szkodliwych dla zdrowia warunków pracy jest przytoczenie szacunku Wójcika, że pracowników zatrudnionych w takich warunkach jest trzy razy więcej niż podaje ta statystyka, bez żadnej analizy, jakie kryteria Wójcik przyjmuje. Zanizanie tej statystyki nie ulega wątpliwości, lecz oszacowanie jego wielkości wymaga drobiazgowego rozbioru. Przecież nawet w latach 80. nie mieliśmy do czynienia ze spadkiem średniej długości życia, co nastąpiło dopiero po obaleniu "realnego socjalizmu"! Podobnie bezkrytycznie przyjmowane są wątpliwe publicystyczne szacunki, wedle których dochody prywatnego sektora (łącznie: kapitalistów, drobnych samodzielnych producentów w mieście i na wsi) w latach 80. były wyższe niż dochody ogółu pracowników najemnych osiągane z tytułu pracy.

Powyższe uwagi w żadnym razie nie dyskwalifikują wartości ogromnego, w zasadzie trafnie spożytkowanego materiału, którym posługuje się autor. Są to nie-

dostatki łatwe do wyeliminowania czy skorygowania.

Tittenbrun posługuje się w recenzowanej książce osobliwą teorią klas i "stanów" społecznych. Konsekwentnie używa takich kategorii jak "stan partyjny", "państwowy", "lekarski", "nauczycielski" itp. Stosuje własne kryteria, które mają przesądzać od jakiej wielkości tezauryzowanego bogactwa jego posiadacz staje się kapitalistą. Utrudnia to percepcję i rozumienie sensu tez autora, bowiem uznaje on swą teorię za powszechnie znaną i nawet w skrócie nie wykląda jej podstaw, nie precyzuje sensu jej kategorii. Nigdzie się nawet nie odwołuje do swych prac, w których szerzej ją wyłożył. Nie tu miejsce na rozważanie kwestii, walorów i niedostatków samej tej teorii oraz trafności jej zastosowania w danej książce. Wyraźnie jednak jej zastosowanie w *Upadku realnego socjalizmu* ... nie sprzyja przejrzystości wywodów. Razą jego niedostatki.

Chociaż intencją autora jest ukazanie umacniania się w społecznej strukturze "realnego socjalizmu" w Polsce stosunków kapitalistycznych, klasy prywatnych właścicieli pozostają gdzieś w tle tylko, natomiast w

Napotkał na nieprzewidywane przeszkody ze strony biurokracji bankowej, powołującej się na tajemnicę wkładów. Lecz właśnie takiego zróżnicowanego badania oszczędności wymaga ustalenie ich znaczenia w procesie ekonomicznego umacniania się klas prywatnych posiadaczy.

przedstawieniu procesu społecznego na pierwszym planie dominują tylko dwie klasy.

Dowodzi on mianowicie, że klasa robotnicza utraciła w omawianym okresie pozycję klasy panującej, a panowanie przeszło w ręce anonimowego, niewyraźnie określonego "bloku" "klas kierowniczych ze stanami państwowym i partyjnym" (lub zamiennie - "partyjnym i państwowym"). Przy całej oryginalności tej terminologii, pod koniec autor deklaruje, że przez ten "blok" pojmować należy mniej więcej to samo, co inni autorzy nazywają klasą biurokratów, nomenklaturą bądź "nową klasą" (s.177). Do "nomenklatury" Tittenbrun gdzieindziej zalicza ludzi piastujących w latach 70. i 80. 30 tysięcy stanowisk, których objęcie wymagało formalnej akceptacji przez instancje PZPR plus tych wszystkich, znacznie bardziej licznych, co do których stosowano nieformalnie partyjną rekomendację. W ten sposób do "bloku" wkłada ogromną zaiste rzeszę pracowników, bo w nomenklaturze byli wszyscy profesorowie i docenci uczelni, rektorzy i dziekani, dyrektorzy szkół średnich i podstawowych, pracownicy "katedr ideologicznych" z autorem książki włącznie. Byli kierownicy placówek służby zdrowia, domów kultury, redaktorzy naczelni czasopism z *Łowcą Polskim* i *Przy-*

jadółką włącznie. I oczywiście cały polityczny aparat PZPR, cały kierowniczy aparat państwowy od gmin poczynając, kierownictwo niemal wszystkich państwowych i spółdzielczych instytucji gospodarczych itd. Nie podejmuje się systematycznej analizy procesu zrastania się tego "bloku" z drobnymi i średnimi kapitalistami, z "prywatną inicjatywą", zakresu i form tego zrastania. To "klasy kierownicze" mają być głównym sprawcą wyzysku robotników. Tittenbrun ujawnia, że kierownicze stanowiska w "firmach polonijnych" obejmowali często byli promineneci państwowego aparatu gospodarczego, lecz to oni są eksponowani jako wyzyskiwacze, a w cieniu pozostają kapitaliści - polonusy. Nie jest jasne, czy to "nomenklatura" realizowała interesy prywatnych właścicieli, czy też ci ostatni byli podporą samoistnej "nomenklatury" i narzędziem wyzysku przez nią uprawianego. A warto przypomnieć, że gdy przed IX Zjazdem PZPR komitety wojewódzkie publikowały swoje "stanowiska", "stanowisko" komitetu wojewódzkiego w Poznaniu (tam pracuje i działa autor) dało w ostatnim rozdziale swojego dokumentu najpełniejszy obraz procesu podporządkowywania sobie przez sektor prywatny prominentów polityki i gospodarki województwa.

DLACZEGO ROZPADŁ SIĘ SOCJALIZM

Niewyjaśnione też pozostaje, czemu klasa robotnicza stopniowo utraciła skuteczną kontrolę nad swymi funkcjonariuszami. Wychodzi na to, że mamy tu do czynienia z fatum w rodzaju "żelaznego prawa oligarchii" Michelsa. Bowiern Tittenbrun konstatuje, iż interesom robotników sprzeniewierzyli się kolejno najpierw biurokraci partyjni i państwowi PRL, a następnie biurokraci "Solidarności", kolejno z rzeczników tych interesów przedzierzgnęli się w wyzyskiwaczy klasy robotniczej, kolejno zdradzali i oszukali tych, którzy im władzę powierzyli, do władzy powołali.

Z drugiej strony występuje klasa robotnicza. Jednakże autor zalicza do niej w istocie wyłącznie robotników bezpośrednio produkcyjnych, bodajże tylko fizycznych. Nie formuluje tego nigdzie wyraźnie, lecz taka tendencja jest ewidentna, skoro uznaje, że majstrowie, "dozór", personel inżynieryjno-techniczny jest w klasowym konfliktzie z robotnikami, bowiern jest przeciwko urawniłowco plac. A jeśli tak, te grupy zalicza widocznie do "bloku klas kierowniczych", bowiern nie do kapitalistów czy drobnej burżuazji przeciw.

Przeciwko tak pojmowanej klasie robotniczej wszystko się sprzysięga i jej interesy ponoszą klęskę. Nie tylko biurokraci, nie tylko kapitaliści, nie tylko drobni

właściciele prywatni. Przeciw klasie robotniczej skierowane jest forsowanie wszelkiej własności grupowej przedsiębiorstw, bowiern stwarza mechanizmy ekonomiczne wyzysku jednych grup tej klasy przez drugie. Przy czym przejawem przekształcania przedsiębiorstw w taką własność ma być ich urynkowanie, nastawienie na zysk. Przeciw interesom klasy robotniczej ma działać nie tylko własność grupowa środków produkcji, lecz również środków świadczenia usług, sprzyjanie jej kształtowaniu się czy forsowanie jej rozwoju. Na s. 167 jednym tchem za wymierzone przeciw klasie robotniczej ogłasza się spółdzielnie lekarские (własność grupowa) i prywatną praktykę lekarską. Więcej - za wroga klasie robotniczej, demoralizującą jej szeregi ogłoszone zostaje rozwijanie odrębnej przemysłowej służby zdrowia, odrębnej górniczej, milicyjnej, wojskowej i kliniki rządowej. Za wymierzone przeciw jej interesom - istnienie i rozwijanie zakładowych ośrodków wypoczynkowych. Te grupowe własności sankcjonować mają nierówności i przywileje oraz okazują się na koniec własnością kadry kierowniczej! Mają one przeszkadzać rozwojowi ogólnonarodowej własności środków produkcji i usług socjalnych, traktowanej za jedynie zgodną z interesami robotników. Tej własności,

która jedynie gwarantuje wolność od wyzysku i panowanie równościowego taryfikatora płac. Słusznie Tittenbrun demaskuje gierkowską koncepcję i żalosną realizację "planu otwartego" jako sprzeniewierzenie się planowemu rozwojowi gospodarki narodowej, stwierdza, że sprzyjała ona destrukcji tej gospodarki, procesom podporządkowania rozwoju prywatnym interesom zagranicznego i rodzimego kapitału. Lecz nie formuluje żadnej alternatywnej koncepcji planowego rozwoju w interesie klasy robotniczej, różnej od nakazowo - rozdzielczego. Wychodzi na to, że preferuje jakiś bliżej nieokreślony racjonalny system nakazowo-rozdzielczy.

Wydawałoby się więc mogło, że jest orędownikiem własności państwowej jako jedynie na prawdę godnej dla realnego socjalizmu. Nie. Własność państwowa też jest uznana za obcą klasie robotniczej i programowo opatrywana "przedrostkiem" - "tzw.". Wyjaśnienie tego "przedrostka" znajdujemy tylko w lakonicznym przypisie nr 2 na s. 215: kategoria własności państwowej jest terminem prawniczym, a nie socjalno-ekonomicznym. To w istocie żadne wyjaśnienie. Terminem prawniczym, a nie socjalno-ekonomicznym, jest również dobrze własność spółdzielcza, własność spółki akcyjnej, własność rodzin-

na itp. Wszelkie formy własności obciążone są w prawnicze kategorie. Prawnica kategoria stawała się w "realnym socjalizmie" także własność ogólnonarodowa. Postulat niepoprzestawania na prawniczych kwalifikacjach poszczególnych form własności jest niewątpliwie słuszny. Państwowa może mieć różny charakter klasowy. Niewątpliwie polityka zadłużenia lat 70. i ukrytej prywatyzacji lat 80. sprzyjała podporządkowaniu tej własności prywatnemu kapitałowi. Jednakże czemu to restauratorzy kapitalizmu i reformatorzy realsocjalizmu do niej przede wszystkim pałają nienawiścią, *per fas et nefas* zmierzają do rozgrabienia i rozbiicia tego "potwora"? Czy nie dlatego, że jest on wyrazem i wymogiem faktycznego uspołecznienia procesu produkcji, że nawet gdy postawiony na służbę kapitałowi jest "łatwiejszy" do zawładnięcia nim przez samych bezpośrednich producentów niż sektory prywatnej własności? Czy nie wymaga to jego głębokiej, właśnie socjalno-ekonomicznej analizy, a nie zbycia problemu przez określenie go jako "tak zwanego"?

Siernieźny egalitaryzm, prezentowany jako postulat klasy robotniczej, przejawia się wielokrotnie w książce w obsesyjnym traktowaniu rozwijania indywidualnej motoryzacji, budowy

DLACZEGO ROZPADŁ SIĘ SOCJALIZM

domków jednorodzinnych, produkcji pralek domowych i kolorowych telewizorów jako wrogię tej klasie. Argumentacja: jest to nieekonomiczne zaspokajanie potrzeb tej klasy w porównaniu z komunikacją i pralnictwem zbiorowym, z budową mieszkań w blokach. Równie dobrze można by argumentować, że produkcja modnej i różnorodnej odzieży jest wroga klasie robotniczej, że należy "ekonomicznie" zaspokajać jej potrzeby w tym zakresie przez produkowanie ubrań wg jednego wzoru dla wszystkich.

W sumie uważamy więc, że:

1. Zaprezentowana koncepcja klasy robotniczej nie pasuje do współczesnego stanu wielkiej produkcji. W dobie rewolucji naukowo-technicznej masowo pojawiają się najemni pracownicy o wykształceniu średnim i wyższym, zarówno w bezpośrednim procesie wytwórczym, jak i w mnogich "funkcjach łączących" organizacji tego procesu oraz w działach naukowego przygotowania nowych wytworów i nowej technologii. Zarówno w kapitalizmie, jak i w realnym socjalizmie w przodujących dziedzinach stanowią oni większość zatrudnionych, część "robotnika łącznego". Lokowanie ich poza klasą robotniczą jest atawizmem i sprzyja teoriom głoszącym zanik klasy robotniczej. A i rozpowszechnianie się terminu *ludzie*

pracy najemnej zamiast tradycyjnego *klasa robotnicza* nie może być traktowane wyłącznie jako zabieg zaciemniający charakter społecznej struktury. Bywa i sensowną reakcją na trzymanie się rozumienia klasy robotniczej w jego XIX-wiecznym sensie. Nie znaczy to, iżby wewnątrz współczesnych załóg pracowniczych nie było sprzeczności między ich oddziałami branżowymi i zawodowymi, bliższymi i dalszymi od bezpośredniej produkcji, między najemnymi pracownikami przemysłu i sfery usług itd. Także w klasie kapitalistów i w klasie drobnotowarowych wytwórców są wewnętrzne sprzeczności.

2. Na wywodach Tittenbruna o "klasach kierowniczych" ciężą rozpowszechnione przez Trockiego i Dżilasę koncepcje prezentujące biurokratów jako samoistną klasę wyzyskiwaczy. Jednocześnie bogaty materiał faktyczny prezentowany w jego książce, w odróżnieniu od promotorów tych koncepcji, otwiera drogę do rzeczowego przełamania wyobrażeń o tej samoistości, do ujawnienia mechanizmów procesu podporządkowania się tej biurokracji interesom kapitału i drobnomieszczanstwa, zrastania się jej odłamów z tymi klasami. Nie jest on jednak wystarczająco wykorzystany od strony teoretycznej.

"Dlaczego upadł realny socjalizm w Polsce? Na tak postawione pytanie najbardziej skrótna odpowiedź brzmiałaby: obalili go polscy robotnicy."³ - tak w zamieszczonym krótkim wstępie do książki Tittenbrun podsumowuje wyniki swoich badań. I, skrótno biorąc, niewątpliwie jest to konkluzja trafna i udokumentowana. Pozostaje jednak faktem, że obalając realny socjalizm klasa robotnicza wpadła, mówiąc delikatnie, z deszczu pod rybną, a mocniej - stała się ofiarą potopu.

Tymczasem dla Tittenbruna decydujący udział robotników w ruchu obalającym jest wystarczającą racją dla zakwalifikowania tego ruchu jako robotniczego ruchu klasowego, jako rewolucyjnego ruchu, wymierzonego przeciwko kapitalistycznej tendencji, antyimperialistycznego. Za taki ruch uznana zostaje bezapelacyjnie "Solidarność", a przez analogię również "Praska Wiosna" (w której przecież czynny udział załóg robotniczych był nader ograniczony), i węgierskie powstanie w 1956 roku.⁴

Dla uzasadnienia takiej oceny autor posługuje się niekiedy argumentacją karkołorną i jawnie sofistyczną. Oto działania klasy

robotniczej w ramach "Solidarności" w latach 1980 - 1981 określone zostają jako antyimperialistyczny protest przeciwko gierkowskiej polityce pułapki kredytowej. Natomiast stan wojenny miał być poparty przez międzynarodowy kapitał z obawy przed protestem klasy robotniczej, był narzędziem stłamszenia rewolucyjnej aktywności tej klasy. Wychodzi na to, że stanowił kontrrewolucyjną zmwę rodzimych "klas kierowniczych" z międzynarodowym kapitałem! Czyżby więc naiwni kapitaliści popełnili błąd finansując obficie i propagandowo wspierając "Solidarność", a po stanie wojennym - stosując dotkliwe sankcje gospodarcze i nadal wspierając materialnie podziemną "Solidarność" ulegali samoułudzie? Czy uprawiali chytrą grę pozorów? Podobnie sofistycznie dowodzi się, że udział kleru w ruchu i nabożeństwa włączane notorycznie w akcje strajkowe miały czysto spektakularny charakter, że to klasowy ruch robotniczy pragmatycznie się tym posługiwał. Tak więc także wsparcie ruchu przez Kościół i jego hierarchów było widocznie z ich strony naiwną pomyłką.

³ 3) Omawiana praca, s.7, podkr. - J.Ł.

⁴ 4) Ocena Tittenbruna pokrywa się tu z ocenami dawanymi przez trockistów (np. przez E.Mandę). Jednakże trockiści poddali ją już gruntownej rewizji.

DLACZEGO ROZPADŁ SIĘ SOCJALIZM

Koronnym wszak argumentem na rzecz takiej oceny jest dobór haseł i postulatów towarzyszących strajkowym wystąpieniom załóg w latach 80. Ze znanym hasłem: "Socjalizm - tak, wypaczenia - nie" na czele. A obok niego wybranych egalitarystycznych założeń w sferze płac, eliminacji z zakładów działań spółek "nomenklaturowych" itp. Takie hasła i postulaty niewątpliwie miały miejsce. Jednak nie ma żadnej próby całościowej analizy haseł. Co więcej, tak krytyczny w stosunku do biurokracji partyjnej autor tym razem bezkrytycznie przytacza i aprobejuje oceny Plenum KC PZPR, iż ruch strajkowy był w swej istocie protestem robotników przeciwko wypaczeniom socjalizmu.

Sądzimy, że ocenianie społecznej, klasowej natury ruchów politycznych przez frazesy polityczne, hasła, którymi się posługują, jest kardynalnym błędem metodologicznym. Podstawą oceny ruchu muszą być zawsze faktyczne, rzeczywiste rezultaty społeczne jego działań. Hasła, zmienne frazesy trzeba, oczywiście, analizować, lecz w konfrontacji z tymi rezultatami i faktycznymi przemianami w układzie sił społecznych, w których ramach funkcjonują. Działania "Solidarności" w latach 80. nie doprowadziły do ograniczenia zależności od zagranicznego

kapitału kredytodawców - wręcz przeciwnie - umocniły tę zależność. Podziemna "Solidarność" wspierała sankcje gospodarcze przeciw Polsce, a nie wyzwolenie od nich. Na koniec to ona przeprowadza rabunkową restaurację kapitalizmu dziś, to ona pozbawia robotników, ludzi pracy nabytych praw socjalnych. Wybrane przez Tiitenbruna hasła pojawiały się faktycznie. Jednakże nie było ich w uchwałach Zjazdu w Oliwii. Markiewicz z Borusiewiczem mogli bez trudu dowodzić, broniąc niepodporządkowania się poleceniom Prezydium dzisiejszej "Solidarności", by głosowali w Sejmie przeciw budżetowi Suchockiej, że aktualne restaurowanie kapitalizmu jest realizacją programu i ducha "Solidarności" od jej zarania. A Prezydium "Solidarności" nieskore jest do potępienia złamania uchwały i zastosowania sankcji, jego uchwała była frazesem tylko. Jeśli trzymać się ocen ruchu na gruncie doboru jego haseł, to można by z powodzeniem dowodzić, że żądania prywatyzacji i "restrukturalizacji" państwowych przedsiębiorstw są klasowym postulatem robotników w 1992 roku. Przecież znajdziemy zakłady, w których figurują one w strajkowych postulatach

Jeśli oceniać charakter ruchu po faktycznych skutkach jego działań, to "Solidarność" od początku była ruchem nie rewolu-

cyjnym, lecz kontrewolucyjnym, ruchem restauracji kapitalizmu. To, że klasa robotnicza masowo w nim uczestniczyła, nie może mylić. Nie tylko rewolucje, ale i kontrewolucje zawsze dokonują się przy przyzwoleniu mas, z ich udziałem. Inaczej są niemożliwe. Taka ocena nie oznacza, iżby to Jaruzelski z Rakowskim reprezentowali rewolucyjny ruch, czy w ZSRR - Janajew. Tutaj materiał faktyczny zebrany przez Tittenbruna dowodzi czegoś wręcz przeciwnego.

Dziś robotnicy, ludzie pracy najemnej, chłopci uznają, że zostali "oszukani", a mniej chętnie, że ulegli masowo przez swój udział i wsparcie "Solidarności" samo-oszukiwaniu. Nie zostały natomiast oszukane, ani nie uległy złudzeniom koła międzynarodowego kapitału, dające temu ruchowi wsparcie, nie uległ Kościół.

Czemu robotnicy dali się oszukać? Czemu ulegli samo-oszukiwaniu? Praca Tittenbruna dostarcza ogromnego materiału dla odpowiedzi na takie pytania, ukazuje m.in., że "reformatorska" polityka PZPR lat 70. i 80. i jej skutki społeczne stwarzała temu przemożne obiektywne przesłanki. Jednak chybiona ocena "Solidarności" przeszkadza mu wyciągnąć z tego należyte i narzucające się wnioski.

Klasa robotnicza jest w książce traktowana wielokrotnie jako przedmiot troski, przedmiot, któremu należy się troska ze strony państwa, partii, biurokratów, i jako nieustająca ofiara manipulacji, a nie jako odpowiedzialny podmiot socjalizmu. Jest traktowana jako ofiara "stanów", nieodpowiedzialna za utracenie kontroli nad nimi. Czemu popelniła samobójstwo? Czemu utraciła bez walki kontrolę nad PZPR, którą przecież Tittenbrun uznaje za partię pierwotnie robotniczą. Czemu utraciła kontrolę nad radami pracowniczymi. Autor odczuwa tu niedosyt, próbuje odpowiedzieć, że to dlatego, iż nie miała czy utraciła większość w partii, w radach pracowniczych. To nie rozwiązanie, to niewiele wyjaśnia. Przecież wstępując do "Solidarności" przyczyniała się w walnie do poddania swojej partii! Przecież dopuszczenie do demokratycznego samorozwiązania PZPR to gorzej niż rozwiązanie KPZR dekretami prezydentów: Gorbaczowa i Jelcyna.

Dziś, w świetle losów ludzi pracy, jaki zgotowała im restauracja kapitalizmu, "realny socjalizm" jest świadectwem możliwości ustrojowej alternatywy w stosunku do kapitalizmu, przewagi - przy danym poziomie sił wytwórczych - nad kapitalizmem w zapewnianiu ludziom pracy lepszych warunków ich życia i trwałego zatrudnienia, socjalnego

zabezpieczenia, godności i kultury.

W pracy Tittenbruna razi też swego rodzaju "polonocentryzm" analiz. Brak szerszego międzynarodowego kontekstu współczesnej gospodarki światowej, uwzględnienia oddziaływania zachodzących w jej łonie procesów na upadek "realnego socjalizmu" (za wyjątkiem kwestii pułapki kredytowej i skutków ujemnego bilansu handlowego Polski z krajami kapitalistycznymi). Można by to poniekąd usprawiedliwić trzymaniem się tytułowego tematu - pracy. Niewiele wnosi też pod tym względem ostatni rozdział, w którym próbuje się określić zasadność wniosków z analizy terenu polskiego w stosunku do procesów rozpadu socjalizmu w pozostałych krajach socjalistycznych. Niewiele, bowiem porównuje się w nim tylko wewnętrzne procesy w poszczególnych krajach, nie dotykając problemów ich wzajemnej współpracy i stosunków, chociażby słabości "socjalistycznej integracji".

Rzecz jednak w tym, i tu mamy ów polonocentryzm, że nieliczne rozszanie w tekście odniesienia do innych krajów socjalistycznych, a w istocie i ten ostatni rozdział, podporządkowane są uzasadnieniu tezy autora, iż Polska pierwsza obaliła "realny socjalizm", bowiem został on najgłębiej

skażony stosunkami burżuazyjnymi, że polityka PZPR w omawianym okresie otwarcie, w odróżnieniu od innych, akceptowała "socjalizm rynkowy" i "gospodarkę mieszaną", że w Polsce procesy rozkładu tego socjalizmu i forowania kapitalizmu były najgłębsze. Stąd - zdaniem autora - właśnie w Polsce najostrej wystąpiły konflikty klasowe. Tu, w Polsce, ów realny socjalizm jawnie okazał się tylko formalnym, faktycznie zatracił socjalistyczny charakter. Toteż Tittenbrun nie tylko formuluje tę tezę, lecz właściwie uznaje pierwszeństwo w obaleniu tego nierealnego socjalizmu przez klasę robotniczą za jej historyczną zasługę, za czyn w pełni usprawiedliwiony tym, że był on w Polsce najgorszy.

Nie chcemy ani aprobować, ani podważać tezy, iż był najgorszy. Mało to płodny problem. Materiał powoływany dla jej uzasadnienia ma charakter fragmentaryczny, choć fakty nie budzą wątpliwości. Oto w Polsce następowała dekapitalizacja przedsiębiorstw społecznych w latach 70., a zwłaszcza 80., podczas gdy w NRD i na Węgrzech nie było tego, a inwestycje odtworzeniowe stanowiły 70% inwestycji (s.38). Oto na Węgrzech oficjalny kurs dolara był prawie równy wolnorynkowemu, gdy w Polsce ten ostatni był spekulacyjnie znacznie zawyżony, co sprzyjało ciemnym in-

teresom i pogarszało sytuację społecznego sektora w handlu zagranicznym (s. 126). W Polsce na cele socjalne przeznaczano relatywnie najmniejszą część dochodu narodowego ze wszystkich krajów socjalistycznych, najmniej w stosunku do liczby ludności było przedszkoli i żłobków (s.26-27). W Polsce było mniej łóżek szpitalnych niż przewidują to normy WHO (s.92). To wszystko fakty.⁵ Lecz przecież w porównywanych krajach "realny socjalizm" rozpadł się nie mniej gwałtownie jak w Polsce. A Węgry w zadłużeniu *per capita* prześcignęły Polskę, wyprzedzały ją w forsowaniu "gospodarki mieszanej" i, obok Jugosławii, jeszcze przed upadkiem "realnego socjalizmu" powróciły do bezrobocia, czego w Polsce nie udało się, mimo zamierzeń, wprowadzić "reformatorom" lat 80..

Nie przypadkiem nie ma porównań z ZSRR. Nie pasują. Tam przecież obowiązywał prawny zakaz prywatnego najmu siły roboczej (nawet w pierwszych latach pieriestrojki!), tam, przy meandrach polityki w stosunku do działek przyzagrodowych, systematycznie spadała produkcja tych działek w stosunku do produkcji kołchozów i sowchozów (nie było indywidualnego chłopstwa, a i dziś "prywatyzacja"

w rolnictwie idzie jak po grudzie). Tam za Chruszczowa obcięto "kominy" płacowe, łącznie z emeryturami prominentów, a w sferze płac urawniłowka była większa niż w innych krajach socjalistycznych. Toteż Tittenbrun w odniesieniu do ZSRR, i nie tylko, eksponuje jeszcze mocniej rolę "lumpenburżuazjnika" partyjnego i państwowego "stanu" w doprowadzeniu do krachu. Bo przecież krach był nie mniej gwałtowny jak w Polsce, a regres w położeniu ludzi pracy w toku restauracji kapitalizmu bodajże głębszy.

Dodajmy i to, że również owa "lumpenburżuazja" działała samobójczo w swej masie. Zwłaszcza gdy zakreślać jej skład tak szeroko, jak to czyni autor w swej koncepcji "klas kierowniczych i stanów". Wygrali nieliczni przekształcając się w biznesmenów. Zaś uparcie reklamowane fortuny nagromadzone przez najwyższych prominentów, milionowe tajne konta dolarowe w zagranicznych bankach okazały się mitem. Próby zrobienia spektakularnych procesów kończą się fiaskiem, rozpylają się tak, jak proces FOZZ w Polsce. Góra rodzi mysz. Prominenci utracili luksusy i przywileje formalne i nieformalne, a u nas niektórzy dostali "karne" emerytury. I to wszystko.

⁵ Choć w wypadku ewej normy brak analizy, skąd, na podstawie jakich kryteriów została określona i w jakich krajach jest ona zrealizowana.

* * *

Przedstawione wyżej krytyczne uwagi, niezależnie od ich kalibru, nie dezawuuują w żadnym razie pozytywnych walorów książki - przeciwnie, recenzent mógł je podnieść dlatego, że materiał i wnioski w niej zawarte są nader inspirujące do poważnej dyskusji. Tittenbrun bowiem ukazuje rzeczywiście głębokie procesy społeczne, których ruch stwarzał siły sprzyjające rozkładowi realnego socjalizmu i kształtował przesłanki do jego obalenia i do restauracji kapitalizmu. Trafnie na czoło wysunął też siły wewnętrzne. Dyskusyjne jest to, czy ich rolę rozdzielił zadowalająco, czy analiza jest kompletna. Lecz ukazane są przemiany o masowym charakterze, a to główne, to właściwa i płodna droga do dalszych badań.

Czy w pełni odpowiedział na pytanie, jakie przyczyny doprowadziły do upadku realnego socjalizmu w Polsce, jakie przyczyny sprawiły, że powstał układ sił przezeń opisany? Można wątpić, a w każdym razie postawić kwestię, jakie były przyczyny zaistnienia ukazanych

przyczyn. Autor podskórnie zdaje sobie sprawę z tego niedostatku, lecz nie podejmuje kwestii wyraźnie. A jeśli w kontekście odnajdywać próby odpowiedzi, ostatecznie lokowane są one w subiektywnym "czynniku", w nadbudowie politycznej i ideologicznej.

Przez wiele kontekstów bowiem przebija się przekonanie, że ową przyczyną przyczyn, tym, co zrodziło zaprezentowane siły, było sprzeczanie się idealnemu modelowi komunizmu, modelowi konstruowanemu na gruncie marksizmu z dodatkiem wątpliwie marksowskiego plebejskiego egalitaryzmu⁶. Ten ideał - to społeczeństwo bez armii, policji, prywatnych samochodów, domów jednorodzinnych, pralek domowych itp. To społeczeństwo nie tylko bez prywatnej własności środków produkcji i świadczenia usług, lecz i bez ich własności grupowej, bez rynku i bez gospodarki mieszanej (s.181). W istocie więc bez państwa i biurokracji. Oczywiście, autor zdaje sobie sprawę, że postulowanie jego zaprowadzenia jest niemożliwe, że nie było ku temu obiektywnych

⁶ 6) Marks, Engels i Lenin nigdy nie głosili egalitaryzmu i w ogóle sam ten termin był im obcy. Przeciwnie - zawsze krytykowali równościowy komunizm, upatrywali w nim zakonserwowanie niedostatku. W polskim przekładzie dzieł Marksa i Engelsa bodajże jedyne miejsce, w którym pojawił się termin "egalitaryzm" to *Manifest partii komunistycznej*. Jednakże jest to błąd w przekładzie niemieckiego terminu *Gleichmacherei*, terminu o pejoratywnej konotacji. "Marksistowski egalitaryzm" jest wytworem oficjalnego marksizmu w krajach socjalistycznych.

przesłanek. Lecz odstępowano w konsekwentnym zmierzaniu w jego kierunku, cofano się wstecz, i to sprawiło umacnianie się sił przeciw realnemu socjalizmowi.

Przewija się wszak również próba odnalezienia obiektywnych przyczyn wymuszających owe cofanie się. Próba ta sprowadza się w istocie do wariantu znanej koncepcji, że owo cofanie się, prowadzące do krachu, było spowodowane ekonomicznym zaco-faniem krajów socjalistycznych w punkcie wyjścia dokonanych w nich antykapitalistycznych rewolucji. Wariant ten jest tylko ubrany w inną terminologię w postaci tezy, iż nie było warunków dla ukształtowania nowych, wyższych od kapitalistycznych, a dla socjalizmu znamienych i nieodzownych "socjalistycznych sił wytwórczych". Nie pogłębia to, nie bogaci wspomnianej koncepcji. Przeciwnie, czyni ją nader wątpliwą. Klasyczny marksizm nie posługiwał się klasowym kwalifikowaniem sił wytwórczych. Pokazywał jedynie, iż kształtowane i rozwijane w kapitalizmie siły wytwórcze "domagają się" uspołecznienia i socjalizm właśnie otwiera przestrzeń dla uspołecznienia tych sił. Toteż koncepcja owych "socjalistycznych sił wytwórczych"

z konieczności pozostaje u autora enigmatyczna, niedookreślona. Z drugiej strony trafia się u autora, podświadomie zdającego sobie sprawę z niemożności ukształtowania owych "sił wytwórczych", postulat realizowania przez socjalizm swoiście rozumianych "potrzeb" ludzi pracy, a zaniechania wyścigu z kapitalizmem w rozwijaniu produkcji na zasadzie opłacalności, który wpychało "realny socjalizm" w forsowanie rozwoju "kapitalistycznych sił wytwórczych".

Sądzimy, że wymienione niedostatki sprawiają, iż analizy Tittenbruna nie doprowadzają do zarysowania pozytywnego programu dla ruchu socjalistycznego po krachu realnego socjalizmu, nie docierają do wskazania obiektywnych sprzeczności, których rozwiązywanie byłoby podstawą perspektywicznych działań antykapitalistycznych sił społecznych. Jest to jednak generalną słabością marksizmu dziś, której przewycięzenie wymaga wieloletnich badań i pracy teoretycznej, wielu dyskusji w światowej skali. Dlatego też nie można czynić zarzutu autorowi, że nie przewycięzył jej za jednym zamachem, a niewątpliwie wniósł wartościowy i w wielu punktach nowatorski wkład w tę dyskusję.

Stefan Dziabała

W poszukiwaniu socialistycznej alternatywy

Nakładem Ossolineum ukazała się Księga Pamiątkowa poświęcona Julianowi Hochfeldowi¹. Z dwóch powodów zdecydowałem się na omówienie tej publikacji. Po pierwsze: zachęca do tego tytuł. Opublikowanie bowiem prac poświęconych socjalizmowi w 1992 roku, w czasie panowania rozpasanej reakcji politycznej i ideologicznej, ostrego zwalczania myśli o jakimkolwiek socjalizmie, jako wcieleniu wszelkiego zła, jest faktem społecznie ważnym i nie może być nie dostrzeżone, zwłaszcza w kręgach lewicy. Po drugie: - obowiązkiem jest osoba, nie żyjącego już niestety od przeszło ćwierćwiecza Jubilata, któremu poświęcona jest Księga. Jubilatem tym jest profesor Julian Hochfeld (1912-1963), niegdyś mój wspaniały nauczyciel akademicki, w którego katedrze kształtowałem się i zdobywałem umiejętność posługiwania się marksistowską metodologią.

Julian Hochfeld - to wybitny marksista na scenie intelektualnej i politycznej polskiej lewicy. Był teoretykiem, publicystą, działaczem i

ideologiem polskiej lewicy socjalistycznej w okresie międzywojennym i powojennym. Odgrywał również ważną rolę w zjednoczonej partii po 1948 roku. Był niemal klasycznym reprezentantem i orędownikiem humanistycznej wersji socjalizmu. W życiu akademickim i naukowym był rzecznikiem marksizmu otwartego i antydogmatycznego. Jest autorem wielu rozpraw marksistowskich o nieprzemijającej wartości teoretycznej i metodologicznej² - twórcą polskiej szkoły socjologii stosunków politycznych.

W skład recenzowanej książki wchodzi 10 rozpraw naukowych, 3 wspomnienia oraz bibliografia ważniejszych prac naukowych i publicystyki społeczno-politycznej. Autorami są jego uczniowie i współpracownicy - uczeni różnych generacji i prezentujący dziś różne polityczno - sojologiczne orientacje oraz ludzie pozostający z nim w bliskich i koleżeńskich stosunkach. Są wśród nich również tacy, którzy rozstali się z marksizmem nie tylko w kwestiach ideologicznych i politycznych, ale i metodologicznych. Usiłują oni też uczynić z Hochfelda antykomunistę. Głoszą nieprawdę, Hochfeld nie był komunistą, ale też nigdy nie był antykomunistą. Był natomiast zwolennikiem współdziałania

¹ 1) *Demokracja i socjalizm. Księga pamiątkowa poświęcona pamięci Juliana Hochfelda*. Pod redakcją: Aleksandry Jasińskiej-Kani, Włodzimierza Wesółskiego i Jerzego J. Wiatra, Wrocław, Ossolineum 1992 r. ss.217

² 2) *Zob. zwłaszcza: Studia o marksowskiej teorii społeczeństwa*, Warszawa 1963, ss.272 oraz: *Marksizm, socjologia, socjalizm. Wybór pism*. Warszawa 1982, ss.669

różnych odłamów ruchu robotniczego i socjalizmów różnych prawniczej

Spośród wielu interesujących rozpraw, baczniejszą uwagę chcę zwrócić na te, które *expressis verbis* traktują o socjalizmie.

Zacznę od przypomnienia kapitalnej myśli Hochfelda o istocie humanistycznego socjalizmu, na którą powołuje się wielu autorów. W roku 1947 pisał on: *"Sensem istotnym i wartością nieprzemijającą idei socjalistycznej jest jej głęboki humanizm i przekonania, że miarą wartości wszelkich poczynań i osiągnięć społecznych jest człowiek, jego osobowość, dobrobyt, szczęście. Dlatego ambicją socjalizmu musi być realistyczne dążenie do rozwiązania całokształtu spraw, wśród których rzeczywistemu człowiekowi przyszło teraz, a nie kiedyś żyć w rzeczywistości społecznej"*³

Wielu autorów wydobywa te wątki twórczości naukowej i publicystycznej Hochfelda, które wiążą go szczególnie mocno z głęboko humanistycznym nurtem ruchu robotniczego, reprezentowanym przez twórców naukowego socjalizmu, a w polskiej tradycji socjalistycznej min. przez takich myślicieli jak Kazimierz Kelles-Krauz i Róża Luksemburg, a także z socjaldemokracją europejską, w szczególności z socjalizmem brytyjskim. Ale piszący koncentrują uwagę na re-

lacjach pomiędzy teoretyczną myślą Hochfelda a doświadczeniami tej wersji socjalizmu, która ukształtowała się w wyniku zwycięstwa Rewolucji Październikowej i Związku Radzieckiego nad hitlerowskim faszyzmem.

W literaturze i języku potocznym zyskał on miano "realnego socjalizmu". Edmund Mokrzycki - nie będący nigdy zwolennikiem socjalistycznych rozwiązań ustrojowych nazywa ten socjalizm formacją ustrojową *sui generis*.

Teksty pomieszczone w omawianym zbiorze były pisane, jeszcze przed definitywnym załamaniem "realnego socjalizmu". Stąd też naukowe przewidywania autorów odnoszą się raczej do jego daleko idącego reformowania, niż do tych następstw, które są skutkiem jego upadku. Najciekawszy jest tekst Włodzimierza Brusa zatytułowany: *"Refleksje o postępującej nieoznaczoności socjalizmu"*. Jest on poświęcony krytyce marksistowskich założeń socjalizmu, jako nie dających się urzeczywistnić. Jest też opcja autora na rzecz modelu socjalizmu w wersji socjaldemokratycznej, a ściślej rzecz biorąc - szwedzkiej.

Za punkt wyjścia autor przyjmuje tezę, która odrzuca definiowanie socjalizmu przez cele, stwierdzając, że szlachetne i humanistyczne cele potrafią formułować nie tylko socjal-

³ 3) J.Hochfeld: *My socjalist.* Warszawa 1947, s.11

iści, ale również zwolennicy innych doktryn i ideologii - nawet konserwatyści. Zdaniem W. Brusa nie "co", lecz "jak" różni socjalizm od innych rozwiązań ustrojowych. Dla udowodnienia swojej tezy, autor eksponuje następujące wątki marksistowskiej koncepcji socjalizmu:

a) "Socjalizm jest naturalnym wynikiem historycznego procesu rozwojowego, w toku którego kapitalizm traci - tak znaczną początkowo - rolę czynnika postępu gospodarczego i społecznego. Socjalizm jest przeto uprawnionym następcą kapitalizmu, odrębną i wyższą formą organizacji społeczeństwa, zarówno w "bazie ekonomicznej" (stosunki produkcji) jak i politycznej, prawnej i kulturalnej "nadbudowie".

b) Kluczowym elementem (socjalistycznej - S.d.) przemiany w bazie ekonomicznej (...) jest przekształcenie prywatnej własności środków produkcji we własność społeczną. Uspołecznienie środków produkcji ma przynieść zarówno wyzwolenie bezpośrednich wytwórców od wyzysku, jak i stworzyć niezbędne przesłanki planowego zarządzania gospodarką narodową jako całością, co pozwoli wyeliminować żywiolową i rozrzućną koordynację działań podmiotów gospodarczych za pośrednictwem rynku. Spodziewany efekt: racjonalny system ekonomiczny w obu przekrojach: makro - i mikroekonomicznym.

c) Wobec tego - konkluduje autor -

ze socjalizm pojmowany jest w teorii marksistowskiej jako koniec prehistorii społeczeństwa ludzkiego - ustrój ten powstaje w drodze rewolucyjnej, oznaczającej przerwanie ciągłości rozwoju instytucji politycznych, społecznych i gospodarczych. Instytucje socjalistyczne, muszą być stworzone od nowa, na gruzach instytucji kapitalistycznych" (s.44)

Autor abstrahuje przy tym całkowicie od takich elementów rewolucji, jak dojrzałość warunków, w których mogłaby i powinna się ona dokonać, by można ją określić mianem "socjalistycznej", jej fazy rozwojowe, siły napędowe, klasa hegemona itp., jak również od historycznych i współczesnych dyskusji i polemik dotyczących przebiegu rewolucji rosyjskiej z 1917 roku, sterowanej przez bolszewików. Konstatuje jedynie fakt: rewolucja jest warunkiem *sine qua non* obalenia kapitalizmu i rozpoczęcia budowy socjalizmu, według z góry przyjętego planu. Przedsięwzięcie powyższe nazywa megaeksperymentem w dziedzinie inżynierii społecznej. Abstrahuje od krytyki bolszewików za dokonanie rewolucji w niedojrzałych warunkach chłopskiego i zacofanego kraju oraz za metody przejścia i sprawowania władzy, krytykowane m.in. przez Kautsky'ego i Różę Luksemburg, a w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych naszego stulecia przez rzeczników eurokomunizmu i Adama Schaffa - autor przyjmuje, że

rewolucja ta oraz tworzenie socjalizmu po jej zwycięstwie - były zgodne ze wskazaniami Marksa. Nie przeczą temu nawet, jego zdaniem, wynaturzenia stalinizmu.

Skoro - historia nie działa samoistnie na rzecz socjalizmu, jego zwolennicy muszą wykazać praktycznie walory ustrojowe socjalizmu. Za kwestię kluczową dla socjalizmu uznaje autor kwestię społecznej własności środków produkcji, niezależnie od jej formy. Chodzi o własność społeczną - jako taką. W jego przeświadczeniu, "marksistowska koncepcja socjalizacji środków produkcji zawiera w sobie nie tylko postulat eliminacji przepaści między właścicielami - wyzyskiwaczami a wyzyskiwanymi, wywłaszczonymi bezpośrednimi producentami, lecz także postulat integracji kapitału społecznego w jedną całość; stąd - przy założeniu istnienia przynajmniej w początkowym stadium, państw narodowych - hasło nacjonalizacji i stanowcze odrzucenie haseł typu "fabryki - robotnikom", własności grupowej itp. W ujęciu ortodoksyjnego marksizmu, za którego protoplastę Brus uznaje F.Engelsa, "misja prawdziwej nacjonalizacji przypada jedynie państwu proletariackiemu, wyłonionemu z rewolucji, a więc z definicji demokratycznemu" (s.47)

Za socjalistyczne w znaczeniu marksistowskim uznaje takie istotne cechy ekonomicznego ustroju "realnego socjalizmu" jak: państwowa

własność środków produkcji, centralistyczny rozdział zasobów i ustalanie proporcji pomiędzy poszczególnymi gałęziami produkcji, bierny pieniądz itp. Więcej. Sądzi mianowicie, że jeśli socjalizm uważa się "za odrębny, oznaczony system społeczno-ekonomiczny, to "realny socjalizm" w jego istotnych cechach spełnia warunki odrębności w stopniu, w jakim trudno byłoby oczekiwać od jakiegokolwiek innego". (s.48)

Sam Brus jeszcze w latach sześćdziesiątych zalecał reformowanie realnego socjalizmu - dla zwiększenia jego ekonomicznej efektywności - za pomocą instrumentów rynkowych. Wszakże niepowodzenia we wdrażaniu tych instrumentów doprowadzają go w końcu lat osiemdziesiątych do stwierdzenia, że wynikają one wręcz z samego jestestwa tego ustroju. Instrumenty te stosowane np. na Węgrzech nie były, jego zdaniem, w stanie wpłynąć na zwiększenie ekonomicznej efektywności gospodarki socjalistycznej głównie dlatego, że ograniczały się do sfery rynku towarów i omijały rynek pracy. Natomiast równoczesne uruchomienie rynku kapitałowego i rynku pracy, zdaniem autora, jest niezbędne i może mieć znaczenie przełomowe. Ale przełom ten oznacza zarazem kres ustrojowej odrębności socjalizmu. W konkluzji dochodzi on do wniosku, że marksistowska wersja socjalizmu

(zarówno w wydaniu radzieckim jak i jugosłowiańskim) nie sprawdziła się, okazała się nieużyteczna dla urzeczywistnienia humanistycznych celów tego ustroju. Dodaje też, że koncepcja ta byłaby jeszcze mniej użyteczna dla dokonania socjalistycznych przekształceń gospodarki wysoko rozwiniętej krajów kapitalistycznych.

Jeśli nie w pełni urynkowiony socjalizm jest ciągle nieefektywny (tekst był pisany prawdopodobnie w 1989 roku), zaś jego pełne urynkowanie oznacza praktycznie jego zaprzeczenie, gdyż prowadzi do nieograniczonego rozwoju prywatnej własności środków produkcji, to co zatem w zamian?

Autor kształtował się intelektualnie i ideowo w tradycji marksistowskiej. Wiele wskazuje, że z tradycją tą czuje się w jakiś sposób związany nadal. Aby zatem pogodzić socjalistyczną ideologię z kanonami gospodarki rynkowej trzeba skonstruować inną jakość, całkowicie odmienną od założeń i doświadczeń "socjalizmu realnego". Tą nową jakością w przekonaniu autora jest socjaldemokratyczny a dokładniej - szwedzki "model socjalizmu". Model ten oznacza rezygnację z aspiracji obalenia instytucji systemu kapitalistycznego - zwłaszcza rynku opartego na prywatnej własności środków produkcji i prywatnej przedsiębiorczości, małe odstępstwa od możliwie pełnego zatrudnienia, łagodzenie nierówności dochodo-

wych, zagwarantowanie minimum zabezpieczenia socjalnego, dostęp do wykształcenia i kultury. "Model szwedzki" dopuszcza pozostawienie pewnych sfer życia gospodarczego i społecznego poza zasięgiem koordynacji rynkowej, jak również aktywną interwencję państwa w sferach objętych tą koordynacją, bez podrywania ogólnej logiki funkcjonowania mechanizmu rynkowego.

Interwencję tę, Brus określa mianem swego rodzaju gospodarki planowej, oczywiście diametralnie różnej od planowania w byłych krajach "realnego socjalizmu". Koncepcję tę uznaje za socjaldemokratyczną w najszerszym tego słowa znaczeniu. *"Z idei socjalistycznej zachowuje ona przekonanie o istnieniu interesu społeczeństwa jako całości nie dającego sprowadzić się (...) do sumy interesów własnych".* Wydaje się jednak - konkluduje Brus - że system *"w którym interes społeczny usiłuje realizować się w sposób >szwedzki<, przestaje być definiowany jako socjalizm, jako odrębna formacja ustrojowa przychodząca na zmianę kapitalizmowi. Nie tylko dlatego, że granice między systemem tym a kapitalizmem są nieostre, lecz także dlatego, że jest to system, który musi pozostać otwarty, zdolny do giętkiej ewolucji, zgodnie z pragmatycznie weryfikowanymi potrzebami".* (s.54)

Powyższe konkluzje - zdaniem Brusa - w pełni uzasadniają tezę o "postępującej nieoznaczoności socjalizmu".

...

Upadek "realnego socjalizmu" w byłym Związku Radzieckim i w byłych europejskich krajach socjalistycznych wydaje się dodatkowo potwierdzać tezę Brusa i siłę jego rozumowania, ale równocześnie odsłania również - jego słabości. Autor jest ekonomistą i to go upoważnia do poruszania się głównie na gruncie problemów ekonomicznych. Ale model ustroju społeczno-ekonomicznego - jego wybór, ukształtowanie, rozwój i upadek - to przecież nie tylko i nie wyłącznie domena ekonomii. W rozważaniach o powyższych kwestiach nie można bowiem abstrahować od struktury klasowej i interesów klasowych urzeczywistnianych w takim lub innym modelu socjalizmu, od układu sił politycznych i politycznej polaryzacji społeczeństwa, od charakteru i stopnia utrwalenia w świadomości społecznej aksjologicznych wartości socjalizmu, od uwarunkowań międzynarodowych itp. W tym kontekście również "model szwedzki" ma swoje kwantyfikatory czasowo-przestrzenne. Ukształtował się on w społeczeństwie zamożnym, w kraju o długotrwałej tradycji polityczno-militarnej neutralności, rządzonym (z nie wielkimi przerwami) w ciągu

około pół wieku przez partię socjaldemokratyczną itp. Syndrom tych czynników nie jest powszechny w krajach o podobnym do Szwecji rozwoju sił wytwórczych oraz stopniu ekonomicznego rozwoju. Receptcja tego modelu w innych krajach bogatej części Europy napotyka na potężny opór wielkiego kapitału oraz sił konserwatywnych. Tym bardziej kontrowersyjne jest jego przeszczepianie na grunt byłych krajów "realnego socjalizmu". Wydaje się uprawnione wysunięcie tezy, że upadek realnego socjalizmu nie jest równoznaczny z upadkiem socjalistycznej ideologii i z kresem nowych poszukiwań socjalistycznych rozwiązań ustrojowych, gdyż ciągle nie rozwiązane są problemy, które zrodziły tę ideologię, a upadek "realnego socjalizmu" jeśli nawet okazał się w jakimś stopniu "konieczny" oznacza - przynajmniej jak dotąd - ekonomiczny i cywilizacyjny regres państw i społeczeństw, w których on funkcjonował. Nie ma najmniejszej pewności, czy społeczeństwa te będą w nieskończoność godzić się z serwowanymi im przez społeczną prawicę prymitywno-ustrojowymi rozwiązaniami kapitalistycznymi, a odwrotnie, czy zjednoczona politycznie reprezentacja ludzi pracy nie znajdzie skutecznej "trzeciej drogi" do urzeczywistnienia socjalizmu humanistycznego i demokratycznego pod względem po-

W POSZUKIWANIU

lityczno-ustrojowym i efektywnego
pod względem ekonomicznym.

○ taki przecież socjalizm
walczył w ciągu swego niedługiego,

ale także aktywnego i intensywnego
życia - Julian Hochfeld.

Stefan Dziabala

Władysław Zastawny

Wokół
"Polskiego wariantu"

Książka Andrzeja Wasilewskiego pt. "Polski wariant - od AK do KC" wzbogaca listę tzw. "personalnych" książek Polskiej Oficyny Wydawniczej BGW. W odróżnieniu od innych pozycji tej serii, zyciorys i działalność jej autora spełnia w książce A. Wasilewskiego rolę raczej drugorzędną, stanowi tylko ramy służące chronologicznemu uporządkowaniu problemów i kanwę na której snuje on rozważania o sprawach, których był świadkiem lub współtwórcą. Najpierw w roli szeregowego uczestnika ruchu oporu (AK), potem już jako publicysta ważkich czasopism, dyplomata, dyrektor Państwowego Instytutu Wydawniczego i wreszcie sekretarz KC.PZPR. Książka, jakkolwiek nie uświadczysz jej w księgarniach, nie wywołała sensacji, pojawiła się i trwa niestety w ciszy.

Problemy Polski ostatniego półwiecza, a zwłaszcza problemy ostatnich trzech lat nie nadają się jako materiał na sensację, wymagają zadumy a przede wszystkim wszechstronnej analizy. Wobec tych problemów obojętnym pozostać nie można. Nie pozostaje wobec nich obojętnym czytelnik książki A. Wasilewskiego. Jest to książka sugestywna. Jej walory

formalne byłyby jednak bez większego znaczenia, gdyby poglądy zawarte w niej były nieprawdziwe, albo tylko wyrazem subiektywnego widzenia przez Autora spraw.

"Ja miałem dwie religie - pisze - cywilizacyjną i państwową..." (s.77) i - to też stanowi w jego książce najważniejsze kryterium oceny zjawisk i procesów w Polsce, swego rodzaju test na patriotyzm. Autor uważa trafnie, że zawadą na drodze do postępu cywilizacyjnego, do silnego, zwłaszcza gospodarczo, państwa od wieków był syndrom sarmatyzmu. Sarmatyzmu, z którego wyrósł w odpowiednim czasie w swoisty polski romantyzm, ten z kolei przemieszał się z mesjanizmem i wyjątkowym posłannictwem Polski wobec reszty świata, z kolei cierpiętnictwem walk niepodległościowych i szczególną ideą - "gloria victis", który wyrażał się z jednej strony w fanatyzmie pokłosa kontrreformacji, a z drugiej strony w naiwnej wierze w szczególną opiekuńczość ze strony wdzięcznego za polskie cierpienia Zachodu. Wszystko to można by zaliczyć do wiedzy historycznej, już zamkniętej - nie nadającej się do rozważań o współczesności, gdyby nie nastąpił jego renesans (w pejoratywnym tego znaczeniu) właśnie teraz, w dobie transformacji, renesans ze szczególnymi powikłaniami i nieraz paradoksalnymi zniekształceniami.

Zrozumiałe, że przeciwieństwem takich postaw jest wola i działanie na rzecz wyrwania się z zacofania i zaścianka, konsekwentny racjonalizm i swego rodzaju pozytywizm służący postępowi materialnemu, cywilizacyjnemu i społecznemu. Kiedyś był on przeciwstawiany walce o niepodległość, a dziś służy umacnianiu suwerenności. To pozostaje wciąż aktualnym zadaniem. Świadomość społeczna z powyższych wartości zbudowana kojarzy się programem i procesem wielkiej industrializacji, budowy infrastruktury cywilizacyjnej i apoteozą dynamicznego tempa przemysłowej produkcji.

Autor wyznawca "religii" cywilizacyjno-państwowej i industrialnej klęskę wrześnieową przeżywał przede wszystkim jako ból narodu *"leżącego u stóp zwycięzcy nie jak pokonany w polu, lecz jak rezerwat zacofania i biedy, położony gdzieś na kresach Europy"* (s.8) A po wojnie, *"industrializacja była - pisze - balsamem na nasze kompleksy"* (s.22). A ponieważ program industrializacji był programem lewicy, przeto nie mógł być z nią związany z nadrzędnym celem, jakim było zaspokajanie potrzeb społecznych. I mimo, że stopień zaspokojenia tych potrzeb nie był z racji ułomności programu i z przyczyn historycznie obiektywnych dostatecznie zadowalający (zwłaszcza w sferze konsumpcji indywidualnej) to na

pewno - i zwłaszcza w konfrontacji z dniem dzisiejszym - największe zdobycze zaofiarowała ludzom Polska powojenna w zakresie demokracji społecznej, którą dzisiaj określamy mianem bezpieczeństwa socjalnego. *"Bezpieczeństwo socjalne to najbardziej humanitarna kategoria, jaką obecnie utraciliśmy - pisze autor - (...) postulat demokracji społecznej potraktowany został jak nigdy w jej dziejach. Temu zawdzięczał naród poziom wykształcenia, niezwykle łatwość awansów społecznych, poczucie bezpieczeństwa bytowania w zbiorowości. Cokolwiek by się mówiło o opiekuńczych prerostach i demoralizującym wpływie na stosunek do pracy, powstało socjalnie zdemokratyzowane społeczeństwo o powszechnym poczuciu równych praw życiowych"* (s.134)

Lecz gwoili prawdy, przynajmniej od połowy lat pięćdziesiątych uświadomiano sobie ułomności programu industrializacji. Dość powszechna była opinia, że zastosowaliśmy przestarzałą koncepcję uprzemysłowienia, że reprodukowaliśmy rozszerzenie nieefektywnej struktury przemysłu i gospodarki, że nie potrafiliśmy w ramach procesu reformatorskiego doprowadzić do przelomu w postępie ekonomicznej efektywności gospodarki. Nie udało się jak pisze A.Wasilewski: *"połączyć produktywną energię pieniądza z humani-*

tamymi rygorami socjalizmu" (s.42). Mimo wszystko nie usprawiedliwia to jednak dzisiejszych gromkich haseł typu: "cały przemysł nadaje się na złom". Czym był ten przemysł, widać już dzisiaj, będzie jeszcze wyraźniej widać jutro, kiedy, tak jak zdrowie, zaczniemy go cenić, gdy go utracimy.

Pojawia się wielkie pytanie: jakie były prawdziwe i rozstrzygające przyczyny upadku systemu realnego socjalizmu. To jest główne pytanie epoki. Autor książki pytania takiego sobie nie stawia w skali globalnej, ale jeśli chodzi o przebieg i okoliczności tegoż upadku w Polsce, to ma rację twierdząc: *"trudno byłoby na serio utrzymać, że panujący system został obalony..., że upadł pod brzemieniem błędów. (...) System został poddany przez własną elitę..."* (s.140) Tak, to prawda. Nie mają więc zwycięzcy powodów do świętowania.

"Nie zawsze pamiętamy, że ruch zwycięski - pisze Wasilewski - już u swoich narodzin obrał sobie na symbole znaki i hasła sarmackiej przeszłości, bez troski traktował materialny dorobek i nieraz igrał z interesami państwowej racji stanu"(s.77) Można rzec, że sarmatyzm i wszystko co z tym pokrewne redivivus. Powstała jednak nowa sytuacja i nic już nie jest takie same jak dawniej. Nie można wejść dwa razy do tej samej wody

plynącej rzeki. Jak grzech pierworodny będzie ciążył na formacji zwycięskiej zarzut wielkiej manipulacji na klasach, które ją do władzy wyniosły. Długo zatajano, że zmierzają się do kapitalizmu łudząc początkowo, że jest to uwalnianie socjalizmu od wypaczeń a później, że wszelkie dolegliwości trwać będą krótko, ale za to sownie się w końcu oplacą. Gdyby sprawa nie była tak poważna i tak bolesna, można by cynicznie rzec: same te klasy chciały zgotować sobie ten los.

"Socjalizm był ustrojem biednych (dla biednych - W.Z.) lecz biedni nie bronią, nie bronili swego ustroju" (s.140). To niestety także jest gorzką prawdą. Dlaczegoż jednak dzisiaj, po tak wielkich doznaniach biedy, nieszczęść i skazania na wieloletnią degradację nikt nie powie głośno, że rozwiniętego, bogatego kapitalizmu zbudować w Polsce nie można, a metodą, którą się go tworzy, stworzyć można tylko kapitalizm "trzecioświatowy", jeśli nie gorszy. Nawet Pan Prezydent przyznaje, że *"budujemy bezczelny, drapieżny kapitalizm, który pozre biednych Polaków..."*. Dlaczego nikomu nie jest wstyd za nędzę, która już zagościła i dalej narasta. Jedynie J.Kuroń odważył się przyznać do takiego wstydu. Nikt więcej.

Zarzut wielkiej manipulacji nie będzie można łatwo wymazać. Można ją tylko pokrętnie kontynu-

ować nowymi manipulacjami, jak czyni to np. organizacja "S", która broni działań swej politycznej rządzącej emanacji i jednocześnie walczy przeciw niej. To przez jakiś czas jest możliwe i nawet nie z najgorszym skutkiem. Współczesne metody rządzenia wypracowały wiele sposobów socjotechniki skutecznego rządzenia i trwania w rządzeniu. W książce A. Wasilewskiego w rozdziale zatytułowanym *"Zamęt jako podstawa rządzenia"* znajdujemy wyczerpujący przegląd tych metod obecnie stosowanych.

Nowa formacja polityczna nie tylko zastępuje poprzednią władzę polityczną, ale dokonuje zmiany ustroju, przeto, siłą rzeczy, musi przywołać do pomocy ideologię - jest nią antykomunizm. Tak więc transformacja ustrojowa uzasadniana antykomunizmem określa charakter działań zwycięskiego obozu.

W książce znajdujemy szereg uogólniających spostrzeżeń i twierdzeń i chociaż autor nie odwołuje się do źródeł i dokumentów, ani też do statystyk, to każdy, kto obserwuje dzisiejszą scenę polityczną i gospodarczą musi potwierdzić ich prawdziwość. I tak:

Pisze: *"Kraj o całkiem pokaznej infrastrukturze współczesnej wcale nie musi być sprowadzony do zera, by mogły w nim powstać zręby lepszej gospodarki"* (179). To jest

istota sprawy. Rządy prawicy charakteryzują się nie tylko spadkiem produkcji i innymi towarzyszącymi temu nieszczęściami, ale - i to jest straszne, bo w istocie nieodwracalne - rozpadem zaawansowanego, rozszabrowaniem zorganizowanego potencjału produkcyjnego. Tak jak to widać, w najjaskrawszym wydanie na przykładzie PGR.

Sytuacja ta nie jest nieuchronnym skutkiem transformacji ani też przypadkowym błędem w sztuce. Wyruszenie przekształceń systemowych *"polegało - jak pisze Wasilewski - m.in. na morderczych podatkach, odbierających możliwość istnienia zakładom państwowym. Ten nadzwyczajny i miazdzący haracz spełnia kluczową rolę ustrojową"* (s.173). Haracz - dopowiedzmy - powiększony przez zadłużenie (pułapka zadłużeniowa), co umożliwia przeczekanie aż kondycja przedsiębiorstwa jeszcze bardziej się pogorszy a cena jego wykupu obniży, co doprowadzi do sytuacji, w której jedynym wyjściem jest prywatyzacja, o którą ubiegać się będą załogi, demonstrując tym samym dobrowolność i pragnienie przejścia na nowy status własnościowy. *"Stają przed ścianą, za którą jest już tylko czyste awanturnictwo: rozdysponowanie własności państwowej za darmo, drastyczna redukcja dochodów budżetu i zawieszenie publicznych*

obowiązków państwa."(s.174) Kryzys dochodów budżetowych nie osiągnął jeszcze swego dna, choć narasta jego głębia odpowiednio jak upada główny żywiciel budżetu, sektor przedsiębiorstw państwowych. Zadziwiająca jest jednak bez troska a nawet brak instynktu samozachowawczego odpowiedzialnych za finanse państwa. Jak długo można będzie karmić budżet podatkami od osób fizycznych?

Po raz pierwszy w historii przed władzą stało zadanie przekształcenie własności społecznej, "niczyjej", we własność prywatną. Powstała w ten sposób sytuacja w której, jak się żartobliwie powiada, władza musiałaby składać się z samych świętych, by prywatyzacja była wolna od nieuczciwości. Należało to przewencyjnie przewidzieć i zbudować takie regulacje, aby pozostać poza wszelkimi podejrzeniami. Społeczeństwo bowiem nie jest wolne od skazeń "homini sovietici" i stąd zrozumiałe, że każdy najmniejszy przypadek nieprawości wywoływać będzie znaczne reperkusje. A jak wynika choćby z doniesień prasowych nad użyć nie brakuje. Przedem społeczeństwo nie przejawiało szczególnej miłości do państwowej własności, ale to nie znaczy, żeby było obojętne na to co się dzisiaj z nią dzieje.

W sferze politycznej panuje niepodzielny monopol władzy tylko dla formacji etnicznej, "rodowodowej" i "kombatanckiej", - monopol tej samej formacji na prawo do reformy, na prawdę o Ojczyźnie, na patriotyzm - a jeśli chodzi o pluralizm i demokrację to ograniczony głównie do swoich. *"W ten sposób we własnym domu znalazła się tylko część obywateli, podczas gdy ta, która nie pochodziła ze wspólnego pnia musiała się kontentować miejscem na jego obrzeżach"*.(s.144) W tej dziedzinie konsekwencja ze strony formacji władczej nie uznaje żadnej taryfy ulgowej.

Zwycięstwo dokonało się pod sztandarem niepodległości i suwerenności Polski, a tymczasem los swój złożyliśmy w ręce opiekunczego Zachodu. Co raz mniej radości z odzyskanej suwerenności obserwuje się nawet po stronie obozu władzy. Coraz trudniej będzie jej przy każdym ważniejszym głosowaniu w Sejmie znieść ciężar 106ultymatycznych przestróg ze strony dobroczynnego Zachodu. Nie bezpodstawnie Karol Modzelewski w artykule *"Szwonder, Kukliński i sprawa polska"* przestrzega: *"Polacy zaś są nie bez powodu uczuleni na wszelkie postępowanie swojej suwerenności"*.

Najistotniejszym jednak jest problem miejsca i pozycji naszego kraju w dzisiejszym i przyszłym świecie. Brońmy się przed przewrażliwieniem i fobiami, wynikającymi z sarmatyzmu, działającego w tym wypadku na rzecz wyizolowanego od reszty świata zaścianka, ale z drugiej strony słusznie obawia się A. Wasilewski pisząc: *"W nowym układzie międzynarodowym Polsce nie przypadła rola kraju o rozwiniętej aktywności industrialnej, raczej rola dodatkowego rynku zbytu, a jeśli także produkcji, to niesamodzielnej, wytwarzającej tylko części i komponenty o mniej rentownym znaczeniu rynkowym"* (s.150) Czy potrafimy sobie wywalczyć miejsce dla Polski jako kraju produkującego, czy tylko jako kraju odbiorcy? Jeśli nie potrafimy, to

znaczy, że byliśmy za słabi i podporządkowaliśmy się tzw polityce "partykularnej" w ramach współcześnie programowanej przez najbardziej rozwinięte i najbogatsze nieliczne kraje polityki globalnej - zapewniającej tymże krajom w globalnym kryzysie warunki przetrwania na poziomie nie gorszym niż dotąd, natomiast reszcie świata warunki neokolonialne..

Pisze Wasilewski: *"Interesom Polski bardziej odpowiada reformatorska koncepcja "trzeciej drogi" szanująca wytworzony urobek narodowy i nastawiona na łagodzenie podziałów"* (s.130) To wymaga odrębnego potraktowania. W książce nie znajdujemy rozwinięcia tego tematu.

DOKUMENTY

27 lutego odbyło się spotkanie różnych ugrupowań lewicowych działających w Warszawie, na którym postanowiono powłać Warszawskie Porozumienie Lewicy. Sygnatariuszami tego Porozumienia są działające na terenie Warszawy następujące ugrupowania:

- Konwersatorium "Alternatywa i Przyszłość"
- Klub Lewicy Socjalistycznej "Horyzont"
- Klub Myśli Socjalistycznej "Życie"
- Marksistowska Grupa "Ochota"
- Partia Pracy
- Rada Żołnierzy Armii Ludowej
- Socjaldemokracja Rzeczypospolitej Polskiej
- Stowarzyszenie "Pokolenia"
- Związek Komunistów Polskich "Proletariat"
- Polska Partia Socjalistyczna-Odrodzona;
Polska Partia Socjalistyczna Niezależna i
Komitet Obrony Poszkodowanych RP uczestniczą w Porozumieniu jako obserwatorzy:

Powstałe Porozumienie ma na celu łączenie wysiłków lewicowych ugrupowań w obronie politycznych i społecznych praw ludzi pracy najemnej i przeciwdziałaniu ofensywie sił prawicowych. Dążyć ono będzie do poszerzenia politycznej i społecznej platformy Sojuszu Lewicy Demokratycznej, poszerzenia lewicowego elektoratu przed kampaniami wyborczymi do sam rządów i wyborami parlamentarnymi.

Publikujemy przyjęte na tym spotkaniu dokumenty. (Red.)

OŚWIADCZENIE WARSZAWSKIEGO POROZUMIENIA LEWICY

- ♦ 1. Uznaliśmy, że mogą nas dzielić słowa lub różne ich rozumienie, przeszłość i ambicje, nie może jednak między nami, między różnymi formacjami lewicy stawać wrogość, obcość lub nieufność. Zbyt wiele ważnych dla nas celów leży na tej samej drodze. Dlatego na wspólnym spotkaniu zawarliśmy Warszawskie Porozumienie Lewicy - swobodną

WARSZAWSKIE POROZUMIENIE LEWICY

wspólnotę bliskich sobie uczestników: stołecznych struktur partii oraz samodzielnymi organizacjami.

- 2. Łączy nas poczucie solidarności z ludźmi pracy najemnej, stanowiącymi istotę narodu oraz podmiotową siłę państwa.

Nie godzimy się na zapanowanie w Polsce kapitalizmu zagrażającego gospodarczo-politycznym jej uzależnieniem i wszechstronną degradacją. Skupiamy rozproszone siły dla przeciwstawienia się politycznej agresywności prawicy.

- 3. Spaja nas motywacja socjalistyczna. Powodowani nią będziemy w wolnej wymianie myśli szukali celów i wiodących do nich dróg zgodnie przez nas akceptowanych.
- 4. Za decydujące dla Porozumienia zadanie, przesądzające o sensie jego istnienia, uznajemy prowadzenie na terenie Warszawy skoordynowanej działalności politycznej. Dlatego będziemy upowszechniali wśród ludzi pracy społeczne poglądy lewicy oraz demaskowali prawicę.
- 5. Porozumienie wiąże się z Sojuszem Lewicy Demokratycznej, lecz pozostaje otwarte również na współpracę z partiami i organizacjami nie związanymi z tym Sojuszem.
- 6. Udział w Porozumieniu nie dopuszcza dążeń do dominacji jednego z uczestników nad pozostałymi, wyklucza nieprzyjazną rywalizację o polityczne wpływy oraz publiczne wypowiedzanie się o współpartnerach w tonie napastliwym lub w duchu

zniechęcającym do nich. Nie wyklucza to problemowych polemik.

- 7. Członkowie Porozumienia, prowadząc działalność autonomijną, mają prawo oczekiwać ze strony pozostałych współpartnerów przynajmniej zycziwej neutralności a w sytuacji politycznej napaści z prawa - postawy solidarności i obrony.

II

- 1. Przystąpienie do Porozumienia następuje przez zgłoszenie upoważnionej deklaracji. Udział w nim urzeczywistnia się na zasadzie członkostwa lub statusu obserwatora.
- 2. Wszystkie partie (ich stołeczne przedstawicielstwa) i samodzielne organizacje uczestniczące w Porozumieniu zachowują swoją tożsamość programową, polityczną i organizacyjną.
- 3. Zasadniczą metodą wewnętrznej współpracy uczestników są okresowe spotkania poświęcone wymianie informacji i uzgodnieniom. Rezultatem spotkań są programy wspólnych akcji określające ich polityczne intencje oraz obowiązki organizatorskie współpartnerów.
- 4. Wspólne postanowienia zapadają na zasadzie demokratycznej większości głosów, przy czym wotum separatum któregoś z uczestników nie unieważnia decyzji większości. Nie zobowiązuje też strony zgłaszającej sprzeciw do udziału w jej wykonaniu.
- 5. Pracę Porozumienia organizuje zmieniający się okresowo (nie rzadziej niż co pół roku) uczestnik-koordynator.

- 6. Porozumienie korzysta z bazy lokalowej i materiałowej SdRP oraz ze środków własnych. Dokumenty Porozumienia przechowuje jego aktualny koordynator.

Warszawa, 13.01.1993 r.

DEKLARACJA WARSZAWSKIEGO POROZUMIENIA LEWICY

Kim jesteśmy

Jesteśmy z warszawskiej lewicy. Uznając lewicowe kryteria sprawiedliwości społecznej oraz wymogi postępu formułujemy odpowiadające współczesności programowe cele, szukamy do nich nowych dróg. Spory o wczoraj trwać będą jeszcze długo, nie mogą one jednak przeszkadzać w realizacji obecnych zadań.

Sens naszemu działaniu nadaje system wartości socjalistycznych. Wykorzystujemy z dorobku polskiej lewicy najlepsze doświadczenia, jesteśmy otwarci na dorobek lewicy europejskiej i światowej, ten który daje się przenieść na polski grunt, ten który może przybliżyć nas do celu.

Łączy nas brak zgody na panowanie kapitalizmu w Polsce. Nie kapitulujemy

przed prawicą. Tworzymy wspólny front działania w interesie ludzi pracy.

Nasze porozumienie nie oznacza zjednoczenia organizacyjnego, lecz koordynację przedsięwzięć. Nie ma wśród nas organizacji pierwszej i przewodniej. Postanowienia przyjmujemy demokratycznie.

Sytuacja w kraju

Zwycięskie elity przywódcze "Solidarności" głoszą, że wreszcie znaleźliśmy się "we własnym domu". Po upływie połowy roku mieliśmy odczuć poprawę warunków materialnych. Miały też zapanować ład i bezpieczeństwo, miało zacząć rozkwitać nowe życie "na gruzach" pozostawionych w kraju przez system totalitarny. Zapowiadano wydatną pomoc Zachodu. I ludzie pracy uwierzyli, poparli program i bohaterów styropianowego etosu.

Mija czwarty rok rządów prawicy. Mija także czwarty jej rząd. A rezultaty? Normalnością staje się postępująca degradacja wszystkich dziedzin narodowego życia, rozrost biurokracji, niewiarygodność instytucji, przywódców i demokracji w ogóle. Strach przed jutrem pogłębia apatię społeczną.

Prawica zachłystuje się suwerennością Polski uwolnionej od wpływów byłego Związku Radzieckiego. Jednocześnie wyprowadza ją bez miary i bez wstydu w każdej dziedzinie Waszyngtonowi, Bonn, Watykanowi. Uzależnia kraj od polityki imperialnej Stanów Zjednoczonych, od dyktatu światowego kapitału. Wyznacza rolę przedmurza NATO.

Zniesiono cenzurę i każdy może swobodnie głosić swoje poglądy. Jednakże lewicę, jej organizacje brutalnie pozbawiono czasopism, drukarni i dostępu do publicznych środków przekazu. W tej sytuacji niekto jest przebieżny z poglądami innymi niż "jedynie słuszne" poglądy rządowych elit lub z niemymi kościelnej hierarchii.

Popiera się przedsiębiorczość prywatną i każdy może "pognać się swoimi pieniędzmi". Wiemy, co sądzą o tym miliardy bezrobotnych oraz rzadziej robotników jeszcze pracujących w państwowych i spółdzielczych przedsiębiorstwach, celowo niszczonej w imię ekonomicznych koncepcji liberałów. Wiemy co myślą o tym strajkujący górnicy, uczestnicy łódzkiego marszu milczenia, doprowadzone do rozpacz kobiety, daremnie poszukujące pracy absolwenci szkół.

Chłopi zostali "uwolnieni" od spółdzielni i państwowych gospodarstw. Teraz pola leżą odłogiem, spichrze świecą pustkami, pustoszeją obory i chlewnie. Komomik staje się postrachem wsi. Niszczącej dorobek wielu gospodarzy.

Osobliwie rozwiązano problem mieszkaniowy. Mieszkań buduje się dziś tylko niewiele ponad 40% tego, co budowano w latach siedemdziesiątych a dziesiątki tysięcy lokali czeka na zasiedlenie. W poszukiwaniu dachu nad głową pozostawiono jednak ludziom prawo szerokiego wyboru: hotel "Bristol", willa, blok, dworzec lub lokum pod mostem. To tylko kwestia pieniędzy, co kto wybierze.

Mamy pełne towarów sklepy i bazy. Piętrzą się stosy zachodnich produktów. Nasz przemysł i rolnictwo

upadają. Płace są relatywnie coraz niższe a ceny rosną. Duża część społeczeństwa może tym towarami tylko się przyglądać. Coraz więcej dzieci idzie do szkoły bez śniadania. Niemalże emerytów szuka odpadków żywności. Poszerza się obszar nędzy, której nie zlikwiduje jałmużna i filantropia bogaczy.

Pada oświata i kultura. Rosną koszty nauki. Szkoły coraz częściej zwracają się do rodziców o pieniądze. Ludzie czytają coraz mniej czasopism i książek. Likwiduje się placówki kulturalne i sportowe. Karmi się nas filmami i literaturą gloryfikującą pieniądze, osławiającymi nawet najmłodszych z brutalnością i zbrodnią.

Coraz trudniej korzystać z pomocy lekarza i lekarstw. Ratowanie zdrowia uzależnia się od posiadanych pieniędzy. Zamykają się szpitale, sanatoria, przedszkola, żłobki oraz ośrodki wypoczynkowe. Dla bogatych najwyższe osiągnięcia medycyny, dla biednych - znachor, nawiedzony uzdrowiciel w okienku telewizora i "będzie co Bóg da".

Polska, to prawie 40 milionów obywateli. Przytłaczająca większość żyje dzisiaj gorzej niż 4 lata temu. Dochód narodowy spadł o 30 % w stosunku do 1989 roku. Bogaci stają się coraz bogatsi, ubodzy biedniejsi. Oto rzeczywistość kapitalizmu, którą funduje nam prawica pod dyktando międzynarodowej finansjery. Oto skutki zawracania koła historii.

Z czym się nie zgadzamy?

Nie wyrażamy na te poczynania zgody. Mamy dość intelektualnej i politycznej niemocy rządzących elit, które doktryn-

ktrynersko, z zadufaniem dokonują przekształceń ustrojowych. Kolejne posunięcia tych elit pogłębiają straty materialne i moralne wśród naszego społeczeństwa. Nie są one w stanie stworzyć programu ustrojowych przekształceń zgodnych z interesami i odczuciami ludzi pracy, ogromnej większości narodu.

Mówimy NIE prywatyzacji, która jest w istocie niszczeniem i grabieżą majątku narodowego, zgromadzonego przez kolejne pokolenia Polaków, przekazywaniem go za bezcen obcemu kapitałowi i polskim nowobogackim. Nie godzimy się na odbieranie nam naszej, a rzekomo niczyjej, własności i ponowne zapędzanie nas w ekonomiczną niewolę i strukturalne bezrobocie.

Przeciwstawiamy się mamowaniu polskich wysokokwalifikowanych kadr naukowych i technicznych, zmuszanych do szukania ratunku w emigracji, w odchodzeniu od zawodu, w próbowaniu szczęścia w handlu. Nie możemy się godzić na demoralizację młodzieży, która zaczyna swój życiowy start z kartą bezrobotnego.

Protestujemy przeciwko zabieraniu nam ludzkich praw, nabytych w toku długich walk społecznych i gwarantowanych w ludowej Konstytucji: prawa do pracy i wypoczynku, prawa do bezpłatnej nauki i dostępu do kultury, prawa do bezpłatnej opieki lekarskiej i wypracowanej emerytury. Proponowana prezydencka Karta Praw i Wolności to cofnięcie się o pół wieku w zakresie praw socjalnych.

Nie chcemy przekształcenia Polski w państwo kleryków i nacjonalistów, narzucających siłą swe poglądy społeczeństwu. Nie godzimy się na rządzenie dekretemi, na dublowanie władzy ustawodawczej i wykonawczej przez prezydenta, na komisarycznych władców nad samorządami terytorialnymi.

Wyrażamy stanowczy protest przeciw dyskryminacji lewicy w życiu politycznym i zawodowym, przeciw oszczerczym insynuacjom i pomówieniom uprawianym w stosunku do niej.

Co chcemy realizować?

Jesteśmy za wolną Polską pośród wolnych krajów Europy i świata. Za takimi powiązaniem i zależnościami międzynarodowymi, które służą ludziom pracy u nas i za granicą, które zapewniają bezpieczeństwo zewnętrzne.

Chcemy takiego programu przekształceń ustrojowych, który jest zgodny z interesami człowieka pracy a jego koszty pokrywane są z ożywiania produkcji przemysłowej i rolniczej. Nie z kieszeni pracownika najemnego, chłopia i emeryta.

Naszym zdaniem trzeba zagwarantować równe prawa wszystkim formom własności społecznej (państwowej, spółdzielczej, komunalnej i pracowniczej) oraz prywatnej w mieście i na wsi. Uważamy, że przedsiębiorstwa uspołecznione i prywatne mogą istnieć obok siebie, a nie jedno zamiast drugich, jak chce tego obecna władza. O przewadze określonej formy własności we wszystkich dziedzinach niechaj decyduje efektywność

ekonomiczna a nie doktryna i przymus administracyjny.

Uważamy, że w kierowaniu gospodarką narodową ważki musi być głos samorządu pracowniczego zarówno w uspołecznionych jak i prywatnych przedsiębiorstwach, a stanowisko związków zawodowych ma być szanowane i uwzględniane.

Opowiadamy się za demokracją parlamentarną. Chcemy ją umacniać. Jesteśmy za wyłączeniem jednoizbowego parlamentu w stanowieniu prawa, za efektywnym sprawowaniem przez parlament kontroli nad władzą wykonawczą. Popieramy taką demokrację parlamentarną, która nie daje przywilejów bogactwu i prawicy.

Jesteśmy za władzami samorządami na wszystkich szczeblach administracyjnego podziału państwa, których organy wyłaniane są w wolnych, powszechnych, równych, bezpośrednich i proporcjonalnych wyborach.

Opowiadamy się za tolerancją dla różnych światopoglądów i postaw, trzeba jednak postawić tamę szczeremu nienawiści między ludźmi z racji ideologicznych, politycznych, narodowościowych i religijnych. Stoimy na stanowisku rozdzielenia kościoła od państwa. Sprawa światopoglądu a więc religii jest prywatną sprawą każdego obywatela. Byliśmy i jesteśmy przeciw karalności za aborcję, za referendum w tej kwestii.

Uważamy, że państwo musi gwarantować obywatelom prawa nabyte w okresie powojennym oraz doskonalić ich realizację. Państwo powinno stwarzać takie

warunki, żeby każdą rodzinę stać było na mieszkanie. Mieszkanie nie jest tylko towarem, to także dobro społeczne. Bezpardonowe odrzucenie przez prawicę w Sejmie Karty Społecznej i Ekonomicznej wniesionej przez posłów SLD wywołuje świadectwo o wrogości tej prawicy wobec ludzi pracy.

Chcemy, aby kobiety w Polsce były równoprawnymi partnerkami w życiu publicznym, w pracy i w rodzinie. Jesteśmy za zapewnieniem młodzieży równego startu, za tworzeniem różnorodnych miejsc pracy umożliwiających wykorzystanie twórczych sił i kwalifikacji wszystkich obywateli oraz za godziwym, odpowiadającym ich wkładowi w dorobek społeczny zabezpieczeniem na starość.

Nauka i kultura nie mogą podlegać wyłącznie prawom rynku - wymagają dotowania z budżetu państwa i samorządów.

Chcemy, by Warszawa - stolica Polski - uładziła swój samorząd, stała się znowu silnym, jednolitym organizmem troszczącym się o wszystkich swoich mieszkańców i dobro całego miasta.

Czy to wszystko jest osiągalne? Tak, osiągalne, choć nie bez trudu. Dla realizacji tych zadań niezbędna jest aktywizacja społeczeństwa, ukazanie mu celów, które wyrwały by je z apatii. Cała nadzieja w lewicy, w jej programie działania bliskim ludziom pracy, konsekwentnym, przekładającym ogólne założenia na codzienne konkrety znaczące dla indywidualnych i zespołowych losów Polaków.

WARSZAWSKIE POROZUMIENIE LEWICY

Mnóżmy nasze siły

Jest nas jeszcze wielu myślicy i czujących podobnie. Jesteśmy w różnych organizacjach i poza nimi. Mogą nas dzielić słowa i pojęcia, przeszłość i ambicje, ale nie możemy być sobie obcy i nieufni. *Na lewicy tylko sojusznik* - to nasze zawołanie. Razem możemy być liczącą się siłą. Nie znamujemy szansy. Wiele celów nas łączy, wiele zadań tylko wspólnie możemy rozwiązać, grożącym niebezpieczeństwom wspólnie zapobiec. Dlatego zachowując tożsamość programową, polityczną i organizacyjną, zawiązaliśmy 2 października 1991 roku Warszawskie Porozumienie Lewicy. Porozumienie związane jest z Sojuszem Lewicy Demokratycznej, lecz otwarte na współpracę z partiami i organizacjami lewicy pozostającymi poza tym Sojuszem.

Zwracamy się do naszych działaczy wszystkich szczebli - rozszerzajmy i

umacniajmy nasze Porozumienie. Wychodźmy sobie naprzeciw. Chodźmy zawsze lewą stroną, nie czynimy koncesji prawicy.

Zapraszamy bliskie nam ideowo struktury w Warszawie, jeszcze w pojedynkę poszukujące drogi: przystępujcie do nas na prawach uczestników czy choćby obserwatorów.

Chcemy zapewnić różnorodną, lecz skoordynowaną obecność lewicy w warszawskim środowisku społecznym, w samorządach Stolicy. Mówimy także wszystkim ludziom lewicy, którzy stoją jeszcze na uboczu - przychodźcie do nas, do tej partii, do tej organizacji, która wam jest najbliższa. Wzmacnijcie Kluby Lewicy Demokratycznej. Twórzcie nowe. Razem będziecie skuteczniejsi!

Warszawa, luty 1993 r.

Z ŻYCIA LEWICY

W Warszawie istnieje kilka ugrupowań lewicowych. Chcemy informować o ich działalności. Jednocześnie zwracamy się do zainteresowanych ugrupowań o nadsyłanie do redakcji informacji o ważniejszych wydarzeniach.

I tak Konwersatorium **Alternatywa i Przyszłość** jest najstarszym, po przemianach ustrojowych w Polsce, lewicowym klubem dyskusyjnym. Skupia on grono postępowej inteligencji warszawskiej. W bieżącym roku odbyły się w tym klubie dwa spotkania. Na pierwszym referat nt. XIV Zjazdu KPCh wygłosił profesor Henryk Chołaj, a w marcu br. na kolejnym spotkaniu red. Władysław Snarski poinformował o programie i działaniach Niezależnej Inicjatywy Europejskiej.

Klub Lewicy Socjalistycznej **"Horizont"** zbierał się w ostatnich tygodniach ub.roku i pierwszych trzech miesiącach bieżącego roku - siedem razy. Na zebraniu sprawozdawczo-wyborczym podsumowano dwuletnią działalność Klubu i wybrano nowy zarząd, którego przewodniczącym został Jerzy Pyrgała a sekretarzem Włodzimierz Cymbała. W ramach spotkań dyskusyjnych, w grudniu ub.roku z udziałem posła Włodzimierza Cimoszewicza i redaktora Władysława Snarskiego omawiano sytuację na

Litwie w świetle wyników wyborów parlamentarnych w tym kraju. W styczniu br. dyskutowano na podstawie referatu Jerzego Pyrgały o znaczeniu i roli lewicy poza parlamentarną w Polsce. W lutym, z udziałem redaktora naczelnego **"Trybuny"** - Dariusza Szymczychy, zastanawiano się nad rolą **"Trybuny"** jako pisma środowisk lewicowych. Na kolejnych zebraniach referaty wygłosili: profesor H. Ślabek - o kondycji narodowej Polaków i Andrzej Żelazowski pt. **"Krajobraz polityczny po II Kongresie SdRP."**

Działające od 1990 roku **Stowarzyszenie Marksistów Polskich** odbyło swe Walne Zgromadzenie, na którym profesora Ładosza wybrano ponownie prezesem Stowarzyszenia. Na kolejnych zebraniach profesor Bronisław Minc przedstawił swoje spostrzeżenia na temat rozwoju sytuacji w Chinach a profesor Jacek Tittenbrun referat oparty na jego książce zatytułowanej **"Upadek socjalizmu realnego w Polsce"**

Po kilkumiesięcznych przygotowaniach, w lutym br. odbyło się zebranie, na którym powołano do życia **Warszawskie Porozumienie Lewicy** - grupujące warszawskie kluby, stowarzyszenia i organizacje lewicowe. Dokumenty przyjęte na tym zebraniu drukujemy oddzielnie.

Józef Zabrocki

LISTY DO REDAKCJI

Szanowny Panie Redaktorze!
(...) Jeżeli chodzi o moją ocenę wydawnictw czy prasy, jestem z reguły sceptyczny i krytycznie traktuję każdy artykuł, ale jeżeli jest na poziomie i wnosi coś nowego, warto go podbudować moralnie. Ta rzecz się ma w przypadku Waszego czasopisma, które z numeru na numer zasługuje na komplement.

Wczoraj w Gdańsku odbyło się zebranie organizacyjno-programowe nowo zarejestrowanego Klubu - Współczesnej Myśli Politycznej pod egidą piosła Ziemi Gdańskiej prof. Longina Pastusiaka. Zebrało się nas około 80 osób na 102 członków. Przekrój socjalny jest bardzo ciekawy, od profesorów (9 osób) po inżynierów, nauczycieli, oficerów, techników okrętowych i zaśluzonych działaczy emerytów.

Powołano władze i za-
twierdzono plan działania na najbliższą przyszłość. Klub ma zamiar wydawać swój biuletyn - a główne założenie to demokratyczny socjalizm. Na ile nasze zamiary się spełnią - zobaczymy!

Szkoda, że nie miałem więcej (tylko 2 egzemplarze) Opinii Krytycznych, ponieważ chętnych do nabycia było wielu. Szczególnie interesowali się artykułem Włodzimierza Lebiedzińskiego o Jakowlewie. A jak widać Lebiedziński jest dobrze znany w naszym środowisku. Gratulujemy!

Jeżeli jest możliwość, to proszę o przesłanie 5 egzemplarzy nr 2. i 3. z podaniem należności, którą prześlę na Pana adres po rozprawieniu.

Wielu mądrych, wartościowych ludzi ze strachu o egzystencję wycofało się z aktywnego życia, co jest niepowetowaną stratą dla Polski. Część elit solidarnościowych (...) panicznie boi się MFW i konsekwentnie realizuje jego zalecenia kosztem pauperyzacji społeczeństwa a nawet biologicznego zniszczenia części narodu. To straszne

Kończąc łączę serdeczne pozdrowienie dla Pana i całej Redakcji.

Z poważaniem
R. Mucha

W "TRUSKAWCE"

u J.J.S. Berlińskich
kupisz nie tylko
OPINIE KRYTYCZNE
ale i
najlepsze
paczki

Warszawa, Komarowa 70

Redaguje zespół w składzie: Jan
Główczyk, Jarosław Ładosz, Zygmunt
Najdowski (redaktor naczelny), Jerzy
Pyrgała, Józef J. Zabrocki.

Wydawca: Wydawnictwo "Promień"

Konto: PKO BP Oddz.VIII Warszawa
nr 1586-363235-136

Adres: 00-174 Warszawa, ul.Miła 8
m.29

